

Upiorna legenda z powieści *Zew nieśmiertelności* powraca

ANNE FRASIER

OGRÓD CIEMNOŚCI



ANNE FRASIER

Ogród ciemności



Prolog

Gdzie zaczyna się wiatr?

Wilgotna bryza poderwała się z ziemi jak długi oddech. Uniosła opadłe liście i pognała je wysoko w nocne niebo. Liście poruszały się, jakby wiedziały, dokąd lecą, jakby znały miejsce przeznaczenia. Przeleciały obok otwartych okien. Za nimi w łózkach leżały dzieci, porywając z ich niewinnych ust słowa, na których miejsce natychmiast pojawiały się nowe.

–Gdzie zaczyna się wiatr? – spytało jedno z dzieci.

–W rzece Tuonela – odparło drugie.

–Co się tam dzieje? – zawołała matka z dołu.

Dzieci spojrzwały po sobie przestraszone.

–Nic.

Ale czuły się dziwnie. Czy nie pogłaskała ich miękka dłoń? Ledwie muśnięcie po policzku, na którym została smuga gęziej skórki? *Słodkie, słodkie dzieciaczki.*

Zbliżył się, by móc wdychać ich mydlany zapach, a jego oddech poruszył delikatne włosy na ich główkach. Tu czas płynął inaczej.

Czuł zapach rzeki: nasiąknięte drewno, muszle i kości połyskujące na brzegu. W czarnym mule na dnie rzeki, w sączącym się przez wodę, powyginanym i zniekształconym świetle, gigantyczne sumy spały głębokim snem. Nigdy nie wypływając na powierzchnię, czekały cierpliwie, aż zdobycz zbliży się na tyle, by mogły ją schwycić i połknąć w całości.

Słodkie, słodkie życie.

Wilgotny nocny wiatr miał posmak smutku, krzywdy i tęsknoty.

Och, być kompletnym, być całością.

Niektórzy ludzie mówili, że jest zły. Ale to tak, jakby mówić, że niedźwiedź jest zły, kiedy łapie rybę. Jakby mówić, że kot jest zły, kiedy zjada ptaka. Niedźwiedź nie jest zły. Kot nie jest zły.

On nie jest zły.

Wołały go dwa miejsca: stare i nowe.

Przez chwilę był zdezorientowany. W jego myślach te dwa miejsca przeplatały się i nie potrafił ich rozdzielić. Czas płynął wprzód i w tył a sto lat wydawało się jak kilka godzin. Czas rozwijał się i zapętleł w sobie, i jego krzywda stała się czymś, co jeszcze się nie wydarzyło, a moc, którą kiedyś posiadał, mogła być odzyskana.

Zostawił dzieci i poszybował z domu w górę, przez dach. Dołączył do stada nocnych ptaków, lecących za miasto, kłębiących się, zmieniających pozycję, przesłaniających światło księżyca.

Daleko w dole, na ziemi, mężczyzna spacerujący z psem poczuł dziwny ruch powietrza. Uniósł w górę biały owal twarzy. Wzruszył ramionami jakby chciał zbagatelizować dziwne wrażenie duchoty. Jednak kiedy pies zaskomlał, zawrócił i pospiesznie ruszył do domu. Coś nadchodziło. Coś się zbliżało już od dawna. Coś wielkiego. Potężnego.

Coś, co miało wstrząsnąć mieszkańcami Tuoneli.

Poszybował.

Do starego miejsca.

Do domu.

Leciał nad rezydencją zbudowaną z miejscowego kamienia. Nad nagim, łagodnym zboczem, które spotykało się z ciemnym lasem. Między drzewami milczącymi i tajemniczymi. Światło wśród nocy.

Latarnia i odgłos szpadla uderzającego w kamienistą ziemię.

To pewnie tak człowiek odczuwa projekcję astralną. Kiedy nagle patrzy na samego siebie. Bo człowiek w dole był nim, a jednocześnie nim nie był.

Umarli – ci byli wszędzie. Widział ich twarze w korze drzew i w limach kreślonych w powietrzu przez wirujące liście. Tak jak on, szukali ciał, w których mogliby mieszkać. W przeciwieństwie do niego zadowoliliby się jakakolwiek powłoką. On chciał jednej i tylko jednej. Mężczyzna na ziemi zdawał się nieświadomy obecności zmarłych, którzy go otaczali. Skupiony na swoim zadaniu, nie podnosił głowy. Jego serce łomotało z wysiłku, z ust unosiła się para.

Wejź w niego.

Żarliwa zachęta dobiegała od twarzy w korze, od twarzy w liściach. Kim oni są?

Nie pamiętasz nas?

Nie pamiętasz tych, którzy szli za tobą?

Jedna twarz stała się szczególnie wyraźna, głos zdawał się wybijać ponad śpiewne skandowanie pozostałych.

Zapach szaławii i lawendy wdarł się do jego głowy. Nie do wiary, ale poczuł miękkość jej skóry pod opuszkami palców.

Wejź w niego, Richardzie.

Richard. Oto, kim był. Richardem Manchesterem, Nieśmiertelnym. A to była jego ziemia – ziemia zmarłych. *Wejź do środka.*

Człowiek na dole wbił szpadel w ziemię, puścił stylisko i wyprostował się, ocierając czoło wierzchem dłoni.

Nocne ptaki odleciały. Przyprawdzając go tutaj, wypełniły swój obowiązek i teraz spały na drzewach, z głowami wetkniętymi pod czarne skrzydła.

Richard zawisł nad człowiekiem ze szpadlem. Głupcze. Kopiesz w

ziemi, szukając tajemnic, kiedy tajemnica jest nad tobą. Kiedy tajemnica jest w tobie.

Rozdział 1

Trzeba było się zatrzymać na stacji benzynowej – powiedziała Brenda. Ściskając oburącz kierownicę, Joe wbijał wzrok w przednią szybę.

–Myślałem, że to ta droga, okay? Wszystkie drogi dokądś prowadzą. Przynajmniej jedziemy we właściwym kierunku.

Wiedziała, że tak będzie. Chciała być w domu, we własnym łóżku. Joe wciąż zmuszał ją do robienia rzeczy, których nie chciała robić. Wszyscy wciąż zmuszali ją do robienia rzeczy, których nie chciała robić. A teraz się zgubili. Był środek nocy, a oni jechali wąską jednopasmówką, prowadzącą niewiadomo dokąd. Ruch. Na drodze, przed nimi.

–Widziałeś to? – Bezwiednie położyła dłoń na jego ramieniu.

Pochylił się naprzód w fotelu.

–Znak? – Wskazał palcem. – Mówisz o znaku?

Westchnęła, zdjęła dłoń z jego ramienia i usiadła wygodniej.

–Wydawało mi się, że widziałam... – Ugryzła się w język. Omal nie powiedziała „małą dziewczynkę” -...Człowieka. Wydawało mi się, że widziałam człowieka.

Ciągle widywała dzieci. Małe dziewczynki. Od czasu poronienia. Właśnie o to chodziło w ich podróży. O wyrwanie jej z domu. Z łóżka. O zmianę otoczenia. Ale oni we dwójkę? Sam na sam? Cóż, nie bardzo to wychodziło. Nie byli małżeństwem długo. Tylko trzy lata. Ale to wystarczyło, żeby zacząć żałować. Czasami go nienawidziła i nawet nie wiedziała dlaczego.

Poronienie z pewnością nie było jego winą.

Dziewczynka.

Dlaczego zapytała? Dlaczego chciała wiedzieć?

Joe jej nie maltretował. O ile było jej wiadomo, nigdy jej nawet nie zdradził. Był nudny. Czy można odejść od kogoś, dlatego że jest nudny? Że jest zbyt miły? Przez cały czas? Zwolnił przed znakiem.

–Tuonela. Coś mi to mówi.

–Czy to przypadkiem nie to miasto, w którym działy się te wszystkie niesamowite rzeczy?

–Myślałem, że je przenieśli?

–Jedno to Stara Tuonela, a drugie po prostu Tuonela. Znowu.

Przebłysk bieli.

–Uważaj!

Joe nacisnął hamulec i samochód zatrzymał się z piskiem opon, zarzucając bokiem na luźnym żwirze. Oboje polecili do przodu, aż zablokowały się pasy.

–Widziałam coś! – krzyknęła Brenda. – Widziałam dziewczynkę! Cofnij. Cofnij!

–Nie ma żadnej dziewczynki – odparł smutno Joe. – Co dziecko robiłoby tutaj, na tym pustkowiu?

–Musiała się zgubić. Tak jak my. – Może mieli tędy pojechać. Żeby znaleźć to dziecko. Ocalić je. Odpięła pas i odwróciła się, by spojrzeć przez ramię.

–Cofnij! – Gorączkowo machnęła ręką. – Cofnij!

Joe westchnął i wrzucił wsteczny. Przednie opony zabuksowały i nagle wystrzelili do tyłu.

Coś huknęło o bagażnik. Brenda wrzasnęła.

Joe nacisnął hamulec, aż wóz się zakołysał.

–Potrąciłeś ją! O Boże! Potrąciłeś ją!

Otworzyła drzwi i wyskoczyła na drogę. Pobiegła na tył auta. Jedynym źródłem światła była lampka w kabinie i tylne światła pozycyjne. A jeśli dziecko jest pod samochodem?

–Nic nie widzę! – krzyknęła Brenda. – Jest za ciemno! Daj latarkę! Przynieś latarkę!

Zobaczyła, że Joe sięga do schowka przy siedzeniu pasażera. Schyliła się i zajrzała w ciemność pod samochodem.

Wytężyła wzrok.

Zdawało jej się, że widzi jakiś kształt, ciemniejszy zarys.

– Nie martw się, kochanie – powiedziała kojąco, choć gardło miała ścisnięte. – Nic ci nie będzie. Już dobrze. Pomożemy ci. Zaopiekujemy się tobą.

Poczuła na twarzy falę zimnego powietrza. Podmuch rozwiął jej włosy. Dało się słyszeć szuranie i przestraszony, ciężki oddech. Kształt się poruszył.

Przemknął obok niej – usłyszała ciche plaskanie bosych stóp na asfalcie. Reflektory auta, rzucające szeroki snop światła w gęsty las, sięgnęły białej sukienki i długich, jasnych włosów dziewczynki.

–Stój! – zawołała Brenda.

Dziecko – zamazana smuga bieli – dobiegło do skraju plamy światła i zanurkowało w czerń poza nią. Brenda pobiegła za nim.

Na drugą stronę jezdni, ile sił w nogach, z walącym sercem.

Poza zasięg świateł, między gęste drzewa rosnące w niekończących się prostych rzędach.

Joe stał przy samochodzie z niezapaloną latarką w dłoni, próbując zrozumieć, co się dzieje. Nie był najlepszy w podejmowaniu decyzji bez Brendy.

Może powinien przestawić samochód? Ktoś mógł nadjechać zza

zakrętu i uderzyć w nich. A może machnąć ręką na samochód i biec za żoną? Przeszedł na drugą stronę jezdni. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Cisza.

Przebiegł pobocze, przeszedł przez rów i zatrzymał się na skraju gęstwiny drzew. Wszystkie były takie same. Jakiś gatunek topoli z pniami grubymi jak tors człowieka.

–Brenda!

Jego głos odbił się jakby od ściany. Serce mu biło coraz mocniej. Po kręgosłupie spływał zimny pot.

–Brenda! Wracaj! Nie idź tam! Sprowadzimy pomoc. Zadzwonimy na policję!

Sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Brak zasięgu.

–Brenda!

Ruszył przed siebie, zmuszając się do każdego kolejnego kroku. Zatrzymał się na granicy drzew. Nie wiedział dlaczego.

–Brenda!

Nagle usłyszał krzyk. Daleko między drzewami. Mrozący krew w żyłach wrzask strachu, po którym nastąpiła cisza.

Rozdział 2

W Tuoneli zmrok zapadał wcześniej, a świt przychodził późno. Podczas gdy reszta okręgu cieszyła się porannym słońcem, strome doliny i wąwozy Tuoneli pozostawały okryte ciemnością jeszcze przez dobrych trzydzieści minut.

W świetle ulicznej latarni Rachel Burton wsunęła pudło z fiołkiem afrykańskim i kaktusem bożonarodzeniowym na przednie siedzenie do wynajętego meblowozu. Ciało ją mrowiło, jakby ponagłając – byle szybciej do ciężarówki i zabierać się stąd w cholerę – choć chciała jeszcze raz rzucić okiem na mieszkanie.

Powinnam była wyjechać wcześniej.

Planowała wyjechać poprzedniego dnia, ale powiedziała sobie, że to głupie.

Poczekaj do rana, aż będzie jasno. Uczucie naglącego niepokoju narastało.

Wbiegła po stromych schodkach dwupiętrowego wiktoriańskiego domu, w którym znajdowała się teraz miejska kostnica, ale zamiast wejść do środka, zamknęła drewniane drzwi i wsunęła klucz przez szparę na listy. Nie oglądając się na budynek, na swoje mieszkanie na górze, odwróciła się i odeszła.

Wolność.

Prawie.

Podciągnęła się do kabiny małej ciężarówki. Jej dobytek nie wypełniał paki, ale furgonetka byłaby za mała.

Pozwoliła silnikowi trochę się rozgrzać, wrzuciła bieg i skręciła pod górę, by wyjechać z głębokiej doliny rzeki Wisconsin.

Na zachód. Do Kalifornii.

Pojazd jęczał i skrzypiał, wydobywając się z mrocznej otchłani, aż w końcu wyjechał na płaski teren. We wstecznym lusterku błysnęło słońce. Serce Rachel zabiło mocniej.

Wyjeżdżała. Na zawsze. Tym razem jej się uda.

Evan nawet nie zadzwonił, żeby się pożegnać.

Do diabła z nim. Do diabła z Tuonelą.

Niedługo będzie tysiąc kilometrów od tego miejsca. Niedługo to miasto będzie jej się wydawało nie do końca rzeczywiste, nie tak ważne. Nie zasługiwało, by oddawać mu tyle miejsca w myślach. Niedługo będzie uważała je za to, czym jest naprawdę: za umierającą pipidówkę. Za ponure smutne miasteczko, gdzie wydarzyły się złe rzeczy.

Ciążarówka wiozła ją przez uspioną równinę, gdzie domy budowano na planie siatki, a ulice nie zapętały się. Minęła Quik Stop i Burger Kinga, Applebee's i Perkinsa. Równinna część miasta wyglądała jak setki innych miasteczek na Środkowym Zachodzie, gdzie jedynym kryterium architektonicznym była funkcjonalność. Ta część Tuoneli raniła oczy i zasmucała serce brzydotą i brakiem indywidualizmu. Ale i tak była lepsza niż druga część. Ta, która oczarowywała człowieka, oszukiwała go i usypiała jego czujność, by myślał, że wszystko jest normalnie, wszystko jest w porządku. Minęła niewidzialną linię wyznaczającą granice miasta. Poprawiła się na siedzeniu, przygotowując się do długiej jazdy. Odetchnęła głęboko. Sięgnęła do radia.

I wtedy usłyszała syrenę.

Spojrzała w boczne lusterko.

Wóz patrolowy szybko zbliżał się do niej, błyskając światłami.

Spojrzała na prędkościomierz. Jechali jednopasmówką bez pobocza. Zwolniła, spodziewając się, że policjant ją wyprzedzi. Nie zrobił tego. Zwolniła jeszcze bardziej, aż w końcu dojechała do skrzyżowania, gdzie mogła zjechać na bok. Radiowóz zatrzymał się za nią z piskiem opon. Ktoś wysiadł i podszedł do ciężarówki.

Alastair Stroud. Niedawno przerwał wcześniejszą emeryturę i wrócił z Florydy, by objąć stanowisko tymczasowego komendanta policji.

Rachel opuściła szybę.

–Przyjechałeś się pożegnać? – Jej serce znowu łomotało w piersi.

Miał ten wyraz twarzy. Tę minę, którą zbyt wiele razy widziała u swojego ojca. Minę, która mówiła, że stało się coś bardzo niedobrego.

–Miałem nadzieję, że cię złapię, zanim wyjedziesz z Tuoneli.

A ja miałam nadzieję, że się stąd zmyję, zanim mnie złapiesz, pomyślała. Powinnam była wyjechać wczoraj wieczorem.

–Dokonano morderstwa – ciągnął Alastair. – Potrzebuję twojej pomocy.

–Weź kogoś innego.

–Nie ma nikogo innego.

Nieprawda. Patolog sądowy z sąsiedniego miasta miał ją zastąpić, dopóki nie znajdą nowego patologa i koronera. Wszystko w Tuoneli było tymczasowe. Ludzie brali zastępstwa, czekając, aż zjawi się specjalista z prawdziwego zdarzenia. Mogli sobie pomarzyć. Tu nikt nie był z prawdziwego zdarzenia.

–Becker Thomas.

Alastair pokręcił głową.

–Becker jest zajęty. Pojechał do paskudnego wypadku, który zdarzył się na Dziesiątce. Poza tym obawiam się, że mógłby sobie z

tym nie poradzić. Że to dla niego zbyt wiele. Jest przyzwyczajony do bardziej normalnych zgonów.

Normalnych zgonów.

–Przepraszam – powiedział Alastair. – Wiem, że chcesz się stąd wynieść. Rozumiem to. Zwłaszcza po tym, jak zginął twój ojciec, i po wszystkim, co się wydarzyło w Starej Tuoneli, ale...

Niewypowiedziane „ale” zawisło w powietrzu.

Ale naprawdę przydałaby się nam twoja pomoc. Jeszcze jeden raz. Strzeмиennego, pomyślała.

Wszystkie drogi prowadzą do Tuoneli. Powoli się o tym przekonywała. Jak w grze planszowej, gdzie ciągle coś zawraca cię na start.

Bagno z aligatorami, cofasz się o dziesięć pól. Ruchome piaski, wracasz na start. Rana klatki piersiowej po wyciętym sercu, wracasz na start. Wariaci, którzy uważają się za wampiry, wracasz na start.

Szaleństwem jest myśleć, że miasto może kontrolować człowieka. Że jakimś cudem ziemia to coś więcej niż tylko gleba i rośliny. Więcej niż miejsce, gdzie rozwija się wegetacja i gdzie grzebie się zmarłych. Widziała, że Alastair dostrzegł rezygnację w jej oczach. Wykorzystał to bez skrupułów.

–Niecały kilometr dalej jest opuszczona farma. Zaparkuj tam i przesiądź się do mnie. Zawiozę cię na miejsce przestępstwa.

Wrzuciła bieg i ruszyła.

Powinna po prostu jechać dalej, ale to nie było w jej stylu. Wkrótce zauważyła wąski, zarośnięty zwirowy podjazd i zaparkowała na nim. Zamknęła ciężarówkę, mając nadzieję, że kwiaty nie ucierpią od przegrzania, i podeszła do czekającego w samochodzie Alastaira. Topolowy Las.

Rachel знаła to miejsce. Było częścią lasu stanowego, graniczyło z szosą i z ziemiami Evana Strouda, które obejmowały również Starą Tuonelę. Drzewa zasadzone w starannie wytyczonych rzędach. Stosunkowo łatwo jest zasadzić drzewa w równych rzędach, trudność polega na ich inspekcjach. Dzięki starej technice wykorzystującej sznurek do wytyczania grządek drzewa tworzą idealną linię prostą, niezależnie od tego, z którego miejsca się je obserwuje. Metody tej zaniechano, gdy zaczęto sadzić lasy maszynowo. Inaczej niż w sercu Tuoneli, ziemia była tutaj płaska, jakby ją wywalcowano. Gleba była czarna i drobnoziarnista jak piasek, a gdy spojrzano się wzdłuż rzędów drzew pod jakimkolwiek kątem, wydawało się, że ciągną się w nieskończoność.

–Czy to drżące topole? – zapytała Rachel.

Słońce wstało już na dobre i odcinające się na tle białych pni i szarego nieba liście niemal oślepiały jaskrawym kolorem.

–Amerykańskie – odparł Alastair.

Ręka w rękę przeszli przez wysokie do kolan chwasty na skraju drogi. Alastair schylił się, podniósł miękki żółty liść i podał go Rachel.

–Są podobne do drżących, tylko mają większe ząbki.

Liść miał kształt serca z brzegiem powycinanym w spiczaste zęby. Trochę to raziło – zupełnie jakby odkryć, że motyle mają kły.

Wejście do lasu przypominało zanurzenie się pod wodę. Temperatura spadła gwałtownie. Rachel miała wrażenie, że zatkało jej uszy. Dźwięki, z których nawet nie zdawała sobie sprawy, nagle umilkły odcięte.

–Tuż przed świtem w mieście zjawiał się facet – odezwał się Alastair. – Był w hysterii. Powiedział, że jego żona zniknęła. Rachel czuła siłę i witalność drzew. Pochłaniały dźwięk, wysysały barwę z

głosu Alastaira, sprawiając, że jego słowa brzmiały głucho. Mąż mógł zabić żonę i porzucić ją w lesie. Drzewa na obrzeżach starych dróg widziały już niejednego niewprawnego mordercę. Pierwsze zabójstwo. Panika. Pomysł, by podrzucić ciało w pierwszym miejscu, jakie się trafi, byle tylko się go pozbyć. Jeśli jednak była to tak banalna sprawa, dlaczego Alastair nie poczekał na Beckera?

–Potem przyprowadził mnie tutaj. – Alastair dostał lekkiej zadyszki. Szedł i mówił jednocześnie, a do tego dźwigał policyjny pas i broń. Jej ojciec też często się żalił, że wyposażenie to dodatkowe dwadzieścia kilo, od których gliniarze nabawiają się chorób kręgosłupa i kolan. Szli długo. Rachel pomyślała, że powinni już dotrzeć na drugą stronę lasu. Poczowała się dziwnie i odniosła niesamowite wrażenie, że wpadli w pętlę czasową. Wszystko wydaje się dziwne, kiedy człowiek nie wypije rano kawy, tłumaczyła sobie. Ale wiedziała, że to nie to. Tu nic nie działo się tak po prostu.

Miała już zadać sakramentalne pytanie: „Daleko jeszcze?”, kiedy dostrzegła coś wśród drzew.

Gdy podeszli bliżej, rozróżniła plamę beżu, która okazała się policyjnym mundurem młodego funkcjonariusza.

Wyglądał znajomo, ale Rachel nie mogła skojarzyć jego nazwiska. Był roztrzęsiony. Wyraźnie się rozluźnił, kiedy rozpoznał przybyszów.

Topolowy las mógł wytrącić człowieka z równowagi nawet w normalnych okolicznościach, a co dopiero, kiedy trzeba było w pojedynkę pilnować trupa... Nic dziwnego, że policjant był podenerwowany.

Rachel zobaczyła coś na ziemi, obok pnia drzewa. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na pięćdziesięciokilową, obdartą ze skóry wiewiórkę, ale po chwili zdała sobie sprawę, że to ludzkie szczątki.

Odwróciła się i zakryła usta dłonią.

–Przyjechaliśmy tutaj i przeszukaliśmy całą okolicę – powiedział Alastair. – Znaleźliśmy tylko to. Nigdzie nie ma skóry. – Kiedy nie odpowiadała, mówił dalej: – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, ale pomyślałem, że ty mogłaś, skoro mieszkałaś w L.A.

L.A. miało złą reputację, chociaż nawet nie umywało się do Tuoneli i Starej Tuoneli. Ale miejscowi lubili myśleć, że gdzieś są gorsze miejsca. Dzięki temu czuli się lepiej.

Myślisz, że tu jest źle? Bzdura. Pomieszkaj sobie w Kalifornii. Tam dopiero wszystko jest chore. Normalnie chore, mówię ci. Młody policjant poruszył się niespokojnie. Stał z rękami opartymi w pasie.

–To chore.

Rachel zmarszczyła brwi. Czyżby myślała na głos? Czy po prostu jej przytaknął? Spojrzała na Alastaira. Gapił się na szczątki.

Rachel była doświadczonym koronerem. Widziała wiele strasznych rzeczy, mnóstwo zbrodni dokonanych przez szaleńców, ale...

–Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

Samolubnie pomyślała o ciężarówce z fiołkiem afrykańskim i kaktusem bożonarodzeniowym, które czekały, by wyruszyć w dalszą drogę do Kalifornii. Zrozumiała, że nieprędko się doczekają.

Rozdział 3

Byliśmy kilka kilometrów od Tuoneli, gdy, wjechawszy na szczyt wzgórza, ujrzeliśmy błyskające światła alarmowe. Pochyliłam się do przodu z tylnego siedzenia, żeby mieć lepszy widok. Zobaczyłam kilka samochodów i ciemne kropki ludzi na tle sielskiego krajobrazu – trawy, żółtych liści i błękitnego nieba. Radiowozy i karetka stały zaparkowane w płytkim przydrożnym rowie.

–Zwolnij – powiedziałam.

–Już prawie dwunasta. – Stewart nie zdjął nogi z gazu. – Spóźnimy się na otwarcie muzeum.

–Nawet bardzo, jeśli nas zabijesz albo kogoś przejedziesz. – Czy naprawdę musiałam stwierdzać oczywiste?

Claire zgromiła mnie wzrokiem z przedniego siedzenia, dając do zrozumienia, że to ona tu rządzi.

Przyznam, że mam problem z uznawaniem zwierchnictwa, zwłaszcza jeśli zwierchnikiem jest ktoś prawie w moim wieku. W dodatku panicznie boję się śmierci. Żadne z trojga moich towarzyszy podróży nie wiedziało, że umarłam już dwa razy – raz od porażenia prądem i drugi, kiedy łód załamał się pode mną i spędziłam pod wodą prawie godzinę.

Czasami mam wrażenie, że śmierć się na mnie uwzięła. A teraz miałam spędzić dwa tygodnie w mieście, którego nazwa oznaczała krainę zmarłych. Kompletna pomyłka. Ale płacili mi sto dolców za dzień. Bezrobotna, głodująca artystka nie może machnąć ręką na takie pieniądze. Nie wspominając już o tym, że to zlecenie mogło być dla mnie szansą na uporządkowanie mojego pogmatwanego życia. Stewart

zwolnił. Ian i ja siedzieliśmy z tyłu od kilku godzin. Choć cała nasza czwórka była w podobnym wieku, czułam, jakbym cofnęła się do czasów dzieciństwa. Jakbyśmy ja i Ian byli dziećmi, a Claire i Stewart rodzicami. Pokręcona jazda. Tym bardziej że Iana i Stewarta poznałam zaledwie tego ranka.

Byłam zaskoczona, kiedy pozytywnie rozpatrzyli moje podanie o przyjęcie do ekipy filmowej, ale, cóż, jestem tania. Tańsza niż ktokolwiek inny w Minneapolis. Mam też własny sprzęt, a do tego umiem kręcić i kamerą wideo, i ośmiomilimetrową. Nie wszyscy to potrafią. Jednak wydało mi się zabawne, że grupka studentów ostatniego roku dziennikarstwa zatrudniła dziewczynę bez dyplomu, żeby zrobiła zdjęcia do ich filmu dokumentalnego.

Teraz, kiedy podjechaliśmy bliżej, zauważyłam białą furgonetkę z napisem „Koroner okręgowy” wymalowanym z boku czarnymi literami. Spomiędzy drzew wyłoniła się grupka posępnych ludzi. Niesli nosze, na których leżał czarny worek na ciało.

Witamy w Tuoneli.

Wierna zasadzie, by nigdy nie tracić okazji do zrobienia zdjęcia, wyciągnęłam kamerę.

–Zatrzymaj się.

Stewart spojrział pytająco na Claire. Wzruszyła ramionami.

–To się może przydać do dokumentu. Ja zaczekam tutaj.

Stewart zatrzymał minivana. Wyskoczyłam na zewnątrz. Kamera była mała i mogłam kręcić z ręki. Trzymałam ją nisko, mając nadzieję, że nikt nie zauważy. Bycie niewidzialną to moja praca. Zwykle ludzie nawet nie zdają sobie sprawy z mojego istnienia.

Patrząc w wizjer, zrobiłam długie, niskie ujęcie, obejmując pierwszy plan i trzymając szeroko otwartą przesłonę dla uzyskania

maksymalnej głębi ostrości. Stewart stanął obok mnie.

–Nigdzie nie widzę rozbitego samochodu.

Zrobiłam zbliżenie policjanta. Na jego twarzy malowały się szok i przerażenie. Inne twarze wyrażały to samo.

–Nie sądzę, żeby to był wypadek samochodowy.

Dokończyłam panoramę i zatrzymałam obiektyw na kobiecie, która najwyraźniej tu dowodziła. Stała z boku, sama, na lekko rozstawionych nogach, z rękami założonymi na piersi. Patrzyła na nosze ładowane do furgonetki. Wiał wiatr, szeleściła sucha stepowa trawa. Półświadomie pomyślałam, że to będzie ładne ujęcie.

Wiatr przeczesywał krótkie ciemne włosy kobiety i szarpał jej granatową kurtkę, napinając materiał na brzuchu, w którym nosiła dziecko. Kobieta nie wyglądała na wstrząśniętą jak pozostali. Wydawała się raczej zmartwiona, może nawet zrezygnowana.

–Kristin. – Stewart postukał mnie w ramię i wskazał faceta zgiętego wpół, z rękami opartymi o kolana. – Ten gliniarz rzyga. Nie chciałyś wiedzieć, co takiego zobaczył?

–Niekoniecznie.

–Hej!

Zostaliśmy zauważeni.

W naszą stronę szybko szedł policjant.

–Co wy tu robicie? Nie możecie tutaj filmować. – Wymachiwał rękami, odganiając nas.

Opuściłam kamerę, ale jej nie wyłączyłam.

–Przepraszam. – Spodziewałam się, że zażąda taśmy, ale nie zrobił tego.

Stewart już wsiadał do samochodu. Zanim gliniarz zorientował się, że powinien skonfiskować nagranie, odwróciłam się i uciekłam. Koła

miniva-na już się kręciły, gdy zatrzasnęłam drzwi.

–Cholera. Jak myślicie, co to było? – Stewartowi drżał głos.

Ian obudził się na siedzeniu obok mnie i powiódł dookoła zaspanym wzrokiem.

–Co jest?

–Pewnie znaleźli jakiegoś paskudnego trupa – odparłam. – Jeszcze nie dojechaliśmy do Tuoneli, a już dzieją się niesamowite rzeczy.

–A co jest takiego niesamowitego w trupie i rzygających ludziach?
– Claire spojrzała na mnie ponad oparciem fotela.

–Jasne, to niezwykle, ale nic w tym niesamowitego.

Czułam, że to nie będzie łatwa fucha. Claire działała mi na nerwy. I nie chodziło tylko o jej sposób bycia. Nie lubię osądzać ludzi na podstawie wyglądu, ale trudno było zignorować jej wyszukaną blond fryzurę i drogie ciuchy. W tej chwili miała na sobie kaszmirowy sweter, czarną spódnicę i czarne kozaki do kolan, które pewnie kosztowały tyle co mój dwumiesięczny czynsz.

–Zawsze wszystko przegapię – mruknął Ian.

–Powinniśmy o to popytać, kiedy dojedziemy do miasta – zasugerował Stewart. – Może ktoś wie, co się stało.

Po kilku kilometrach wjechaliśmy na przedmieścia Tuoneli.

Byłam rozczarowana, widząc, że miasteczko jest równie nijakie, jak wszystkie inne na Środkowym Zachodzie. Było zbieraniną nudnych budynków o płaskich dachach. Wkrótce okazało się, że to tylko nowa część. Po chwili ulica zwęziła się do dwóch pasów i zaczęła opadać ku rzece. Wjechaliśmy między strome wzgórza, zjeżdżając gwałtownie w dół do Tuoneli. Prawdziwej Tuoneli.

Nagle drogę ocieniły wiktoriańskie kamienice. Przycupnięte na zboczach, chwiały się w posadach. Zbudowane z kamienia lub

ciemnej cegły były zwieńczone wielospadowymi dachami lub płaskie u szczytu. Na dnie doliny dosięgnął nas zapach wilgotnej zgnilizny. Niebo pociemniało i przyłapałam się na tym, że spoglądam w górę, by sprawdzić, czy słońce wciąż jest na niebie. Umierające miasto.

W całych Stanach jest tysiące podobnych miejsc. Miast, w których czuje się minioną nadzieję i pustkę przyszłości.

–Hej, karaoke. – Claire wskazała piętrowy bar obity szarymi deskami, z zapalonym neonem „Otwarte”.

–Jutro wieczorem – dodał Ian. Roześmiał się. – Na pewno przyjdę popatrzeć.

Przyjechali tutaj, żeby wyśmiewać się z ludzi. Żeby obnażyć ich ignorancję i pokazać ją światu. Pewnie powiedzieli sobie: „Jedźmy do tego miasteczka na Środkowym Zachodzie. Ludzie mówią, że mieszkał tam wampir”. Tak naprawdę właśnie po to przyjechali. Żeby nakręcić dokument o Richardzie Manchesterze, człowieku, który umarł sto lat temu.

Zamierzaliśmy skupić się na Manchesterze, Tuoneli oraz kulturze strachu i przesądów, idących w parze z małomiasteczkową ignorancją. Mieliśmy robić wywiady. Przede wszystkim chcieliśmy porozmawiać z Evanem Stroudem, który, jak utrzymywali niektórzy mieszkańcy, sam był wampirem. Zapowiadał się niezły ubaw.

Lekkie traktowanie tematu było jedyną stroną tej fuchy, która mi nie odpowiadała. Oczywiście nie wierzę w wampiry, ale mam swoje zasady. Kieruję się etyką dokumentalisty. Nie wyśmiewam się z ludzi, chyba że sami bardzo się o to proszą. Jeśli wampiry są częścią czyjejś kultury, nic mi do tego. Jestem od utrwalania rzeczywistości, ale nie od ośmieszania.

–Patrzcie! – Claire wskazała kolejny budynek. – Cukiernia Pod

Wampirem. – Roześmiała się. – Musimy to nakręcić. I kupić trochę słodyczy. Może uda się zrobić wywiad.

Kierowaliśmy się wskazówkami, które Claire ściągnęła z Internetu. Nietrudno było znaleźć muzeum.

–Boże święty. – Claire wyjrzała przez okno na kolejkę ludzi skręcającą aż za róg.

–To chyba tutaj – powiedział Stewart. – Ale cyrk. Wygląda na to, że nie tylko my przyjechaliśmy uwiecznić to wydarzenie. Mówiłem wam, że powinniśmy zrobić dyplom na jakiś mniej okrzyczany temat.

Ekipa wiadomości stacji WXOW ulokowała się nieopodal z wozem transmisyjnym, talerzem satelitarnym do przekazów na żywo i czarnym warkoczem kabli wijącym się po parkingu. Sprzedawano hot dogi i watę cukrową. Wyglądało to jak wielki uliczny festyn.

Nie wszyscy byli zadowoleni z otwarcia nowej wystawy. Mężczyzna ze zmierzwioną siwą brodą spacerował przed muzeum z transparentem z napisem „Kajajcie się grzesznicy” z jednej i „Spalić wampira” z drugiej strony. Nakręciłam to.

–To wampiry się pali? – zapytał Ian. – Myślałem, że pali się czarownice, a wampiry dźga się kołkiem.

Claire się roześmiała.

–Widać nie mogą dojść do ładu z własnym folklorem.

Podjazd muzeum był pełny. Ostatecznie zaparkowaliśmy kilka przecznic dalej.

–Zajmijcie mi miejsce w kolejce. – Zaczęłam przewijać taśmę. – Chcę zobaczyć, co nakręciłam w drodze.

Poszli beze mnie.

Uwielbiam taśmę filmową i technikę wideo za to, że potrafią uchwycić drugoplanową akcję i niuanse, których ludzki mózg nie jest

w stanie przetworzyć w chwili zdarzenia. Zawsze jestem zaskoczona, kiedy oglądam materiał. Jest całkiem nowy i inny – prawie tak, jakby nie było mnie przy nagraniu. Oczywiście, pamiętam, co na pierwszym planie, ale to małe dramaty w tle często opowiadają coś ważniejszego.

Obejrzałam ujęcie dwóch mężczyzn, wsuwających nosze do białej furgonetki. Twarze policjantów, obnażone, wymowne. Cofnęłam taśmę i jeszcze raz obejrzałam ten fragment.

Jak to możliwe, że nagrane emocje wydają się o wiele bardziej intensywne niż oglądane na żywo? Wciąż mnie to zdumiewa.

Sfilmowanie wydarzenia zmienia je. Nie jestem pewna, dlaczego tak się dzieje, ale nagranie pozwala człowiekowi dostrzec rzeczy, których nie zauważył wcześniej. Jakby prawdziwe wydarzenie nie było wcale prawdziwe, a rzeczywistością było nagranie.

Niektórzy twierdzą, że oglądanie nagrania pozwala wszystko uporządkować, daje czas na skupienie się na szczegółach, ale chyba nie o to chodzi. Coraz częściej myślę, że nagranie naprawdę zmienia rzeczywistość.

Puściłam cały fragment.

Tym razem dotarłam do smutnej kobiety z krótkimi czarnymi włosami. Miała piękną, wyrazistą twarz i duże, zamyślane oczy. Patrzyłam, jak bezwiednie kładzie rękę na brzuchu, a wyraz jej twarzy zmienia się niepostrzeżenie, gdy myśli o dziecku w jej łonie.

Matczyny strach.

Trawa poruszała się na wietrze ale nie całkiem tak jak wtedy, gdy filmowałam. Wszystko działo się jakby z lekkim opóźnieniem, cienie były głębsze. Słyszałam urywki rozmów, na które wtedy nie zwróciłam uwagi. „Nigdy nie widziałem czegoś takiego”. „Nawet nie wyglądało jak człowiek”. „Co mogło zrobić coś takiego?” „Dziki

zwierzę".

Coś błysnęło w cieniu żółtego lasu za ciężarną kobietą. Drobna postać z długimi włosami.

Mrugnęłam i postać zniknęła. Przewinęłam taśmę i puściłam nagranie od nowa, ale tym razem niczego nie zauważyłam. Spróbowałam jeszcze raz. Tutaj. Stop. Do tyłu. Pauza.

Niewyraźna postać w lesie, pojawiająca się zaledwie na ułamek sekundy. Zbyt zamazana, by dokładnie ją określić.

Artefakty często pojawiają się w dziwnych miejscach, szczególnie jeśli taśma była wcześniej używana. Nawet nowa taśma nie daje stuprocentowej gwarancji, że nie pojawią się na niej jakieś kształty, których tak naprawdę nie ma.

Dziwne, ale się zdarza.

Ale to coś niesamowicie przypominało człowieka.

Małą dziewczynkę.

Rozdział 4

To niezwykle, jak obecność ludzi naładowuje miejsce energią. Nie muszą się nawet poruszać. Większość po prostu stała w kolejce, czekając na otwarcie muzeum, ale Graham Stroud czuł ich tam, za drzwiami. Aż mrowił go mózg. Nieświadomość zbiorowa? Czy to było to?

–Minuta do otwarcia drzwi!

Okrzyk rozległ się w pierwszej sali muzeum i był przekazywany dalej, aż dotarł do Grahama w mrocznych głębinach dolnego poziomu, gdzie on i pozostali pilnowali nieodsłoniętego jeszcze eksponatu.

–Ostatnia szansa – powiedziała Amy. – Możemy zerknąć. Zobaczyć go przed resztą.

Wszyscy strażnicy byli ubrani jednakowo, w czarne spodnie i niebieskie koszulki polo z dyskretnym logo muzeum na piersi z lewej strony. Pomieszczenie zostało świeżo odmalowane, ale to nie wystarczyło, by zabić odór piwnicznej wilgoci, przywodzący na myśl mokre kamienie i pleśń. Oświetlenie też robiło swoje. Okrągłe, wpuszczone w sufit lampy oświetlały słabym pomarańczowym blaskiem tylko płaskie powierzchnie, nie docierając do kątów i szczelin.

–Boisz się? – Amy posłała mu wyzywające spojrzenie.

Znał ją ze szkoły. Klasowy błazen. Bystra, ale wiecznie pakowała się w kłopoty. Był zaskoczony, że ją tu zatrudnili. Drugi strażnik – chłopak o imieniu Bradley – przestępował nerwowo z nogi na nogę, ale nic nie mówił.

Oświetlenie tego pomieszczenia było przedmiotem poważnych

dyskusji. Ostatecznie zdecydowano, że przydymione światło ustrzeże eksponat przed gniciem, a do tego spotęguje atmosferę grozy. Boisz się?

Jego ojciec i dziadek dziwili się, że zdecydował się na tę pracę po wszystkim, co się stało.

Przyciągały go rzeczy, budzące strach. Nie jego jednego. Może to przyciąganie było pozostałością po czasach, kiedy ludzie nie mieszkali w domach i miastach? Jeśli coś cię przerażało, musiałeś to obejrzeć, upewnić się, czy w ogóle warto się bać, i ocenić, czy jest nieszkodliwe, czy też stanowi dla ciebie zagrożenie.

Pomijając kwestie psychologiczne, Graham chciał po prostu wyrwać się z domu i zarobić trochę pieniędzy. Typowy nastolatek. I może tylko o to chodziło. Może kiedy siedział w domu, jego umysł zaczynał zbyt intensywnie pracować. Miał do wyboru dwie możliwości: muzeum albo bar szybkiej obsługi. Nietrudno się domyślić, dlaczego wybrał muzeum.

Za dużo myślał. Czasami chciał, żeby jego mózg po prostu się wyłączył.

Amy schyliła się i pogłaskała palcem róg aksamitnej płachty przykrywającej wysoką na ponad dwa metry gablotę. W słabym oświetleniu dziewczyna wyglądała, jakby brakowało jej fragmentów twarzy. Graham próbował wypełniać sobie te puste miejsca wspomnieniami jej wyglądu sprzed paru chwil.

Nie bardzo mu się udawało.

Rozległ się dźwięk trąbki na sprężone powietrze. Amy pisnęła, puściła róg materiału, który trzymała w garści, i wyprostowała się jak poderwana sprężyna. Bradley zachichotał. Nagle drzwi na parterze się otworzyły i budynek eksplodował.

Spojrzeni na sufit – nad ich głowami zadudniły setki kroków, zlewając się w jednostajny pomruk. Ludzie pędzili przed siebie, chcąc zająć jak najlepsze miejsce.

Sala się wypełniła.

Burmistrz i jego świta utorowali sobie drogę przez tłum. Towarzyszyła im ekipa stacji telewizyjnej. Po krótkiej i nudnej przemowie na temat muzeum, znaczenia turystyki, rewitalizacji Tuoneli i cieplejszym spojrzeniu na przeszłość miasta burmistrz McBride podszedł do eksponatu i zamaszystym gestem zerwał aksamitną płachtę.

Zebrany ukazało się szklane pudło osłaniające stojącą mumię w staroświeckim surducie.

Nieśmiertelny.

Tłum wydał cichy okrzyk, po którym nastąpiła cisza.

Ktoś w końcu coś wymamrotał i czar prysł. Rozmowy przybierały na sile, aż po chwili w sali huczało jak w ulu.

Graham myślał, że jest na to przygotowany. Widywał już mumie w telewizji i w innych muzeach. Do licha, przecież nawet siedział obok tego gościa. Ale wtedy było ciemno, no i myślał, że to żywy człowiek.

To tylko kawał skóry w surducie.

Patrząc na zmumifikowane zwłoki, zaczął się zastanawiać, czy jego ojciec i Rachel Burton nie mieli przypadkiem racji: Nieśmiertelny nie był kimś, kogo można traktować półserio czy wystawiać na pokaz.

Zwiedzający przesuwali się gęsiego przed gablotą.

Niektórzy byli podenerwowani. Niektórzy chichotali. Kilkoro dzieci rozryczało się i matki musiały wyprowadzić je z sali. Kto przyprowadza małe dziecko, żeby oglądało zaszuszonego trupa? To

chore.

Ludzie wciąż napływali.

Na razie szło nieźle. Nikt nie łamał przepisów. Nikt nie próbował wejść za sznur ani wnieść jedzenia. Nagle Graham zauważył niedbale ubraną, rudowłosą dziewczynę, która wyciągnęła z wojskowego płóciennego chlebaka aparat.

–Proszę pani... – Proszę pani?

Czy powinien do niej mówić „proszę pani?” Była na to za młoda.

–Tu nie wolno robić zdjęć. – Wpuścili tylko jedną ekipę filmową. I wystarczy.

Zdjęła zatyczkę z obiektywu.

–Nie mam flesza.

–Nie o to chodzi.

To nie był aparat, tylko mała kamera wideo. Zielone światelko było zapalone. Do diabła. I co teraz?

–Filmować też nie wolno.

–Nie? Myślałam, że nie wolno tylko używać lampy błyskowej.

Udawała idiotkę, cały czas filmując. Trzymała kamerę dyskretnie przy boku z obiektywem wycelowanym w gablotę. Stał między kamerą a mumią.

–Żadnych kamer.

Stał może trzy kroki od niej. Wyglądała na dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Nietutejsza. Z całą pewnością nietutejsza. Nawet pachniała inaczej. Słodko, jak mandarynka. Przeniosła spojrzenie z jego twarzy na plakietkę z nazwiskiem, a potem znowu na jego twarz.

–Stroud?

Widział, jak kojarzy fakty, domyśla się, z kim rozmawia.

W takich chwilach myślał, że nie powinien był zmieniać nazwiska na Stroud. Powinien zachować nazwisko matki. Albo wymyślić zupełnie inne. Jesienią wybierał się do college'u i miło byłoby pozbyć się etykiety odmieńca. Zostawić ją w Tuoneli, gdzie jej miejsce.

Tak, był zgorzkniały. Młody i zgorzkniały. Jego dziewczyna nie mogła się z nim być z powodu jego przeszłości. Tak naprawdę nie dziwił się jej rodzicom. Gdyby miał dzieci, też pewnie nie pozwoliłby im zadawać się z kimś takim jak on. Ale bez kojącego wpływu Isobel, bez jej spokoju, wiedząc, że ojciec robi to, co robił, Graham przez większość czasu był wściekły.

–Wiem, że kamera pracuje – powiedział. Dziewczyna poczerwieniała i się roześmiała.

Może teraz, kiedy wie już, kim on jest, przestanie go ignorować.

Cóż za ironia losu. Wyłączyła kamerę.

–Przepraszam. – Uśmiechnęła się z zażenowaniem. Zakryła obiektyw i schowała kamerę do torby.

–Kręcimy film dokumentalny – powiedziała. – To część projektu dyplomowego na Uniwersytecie Minnesoty. Szukali dziwadł do oglądania. Nie oni pierwsi i nie ostatni.

–Jesteś spokrewniony z Evanem Stroudem?

–To mój ojciec. – Nie było sensu kłamać. I tak by się dowiedziała.

–Bardzo chcielibyśmy zrobić z nim wywiad. – Podała mu wizytówkę. – Z tobą zresztą też.

Wywiad z jego ojcem?

–Nic z tego. – Próbował oddać wizytówkę, ale nie wzięła jej. Spodziewał się, że kiedy wreszcie odnajdzie ojca, wszystko jakoś się ułoży, ale pod wieloma względami było gorzej.

–Będziemy w mieście przez dwa tygodnie, zatrzymamy się w

Zajeżdźcie Tuonela. Na wizytówce jest numer mojej komórki.

Było jasne, że dziewczyna nie weźmie wizytówki z powrotem, więc schował kartonik do kieszeni. Byłoby niegrzecznie wyrzucić go przy niej.

–Jesteś na ostatnim roku UM?

–Nie ja.

Obróciła się, popatrzyła na kogoś i znowu spojrzała na niego.

–Nie jestem studentką. Byłam, ale zrezygnowałam. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Wiesz, jak to jest w college'u”. – Pracuję dla grupy studentów. Są gdzieś w tłumie. Będą naprawdę wkurzeni, jeśli tego nie nakręcę. Głównie po to przyjechaliśmy. Pewnie mnie zwolnią i nie zapłacą ani grosza. Urabiała go. Nie był idiotą.

–Przecież nie sprzedamy tego do telewizji. Nie zobaczy tego nikt poza profesorami. To do szkoły.

Sala była zapchana, ludzie się niecierpliwili. Ktoś wpadł na nią z tyłu.

–Lepiej już idź – powiedział Graham.

–Kristin! – Dziewczyna stojąca przy wejściu do sali zamachała obiema rękami. – Masz to? – krzyknęła ponad tłumem.

Kristin odwróciła się do Grahama i przewróciła oczami.

–Wywiad z twoim tatą naprawdę uratowałby mi tyłek. – Poprawiła pasek chlebaka. – Zadzwoń. – Minęła gablotę, ludzie znowu zaczęli się przesuwać.

Nie chciał, żeby narobiła sobie kłopotów i straciła pracę. Może sam udzieli jej wywiadu, bo na pewno nie zamierzał dopuszczać nikogo do ojca.

Rozdział 5

Rachel przykryła prześcieradłem obdarte ze skóry ciało. Nie zdejmując pochłapanego krwią jednorazowego fartucha, wyszła z prosektorium w suterenie na korytarz, gdzie czekali burmistrz McBride i Alastair Stroud.

Zaprosiła ich do środka, by byli obecni przy sekcji. Burmistrz spaso-wał. Komendant poddał się po dwóch minutach.

Jej asystent wytrzymał dziesięć, zanim uciekł z sali.

Jej nie przeszkadzał ani widok zwłok, ani nawet zapach, co było dziwne, biorąc pod uwagę ciążę i fakt, że żołądek podchodził jej do gardła nawet od zapachu zbyt mocnych perfum.

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na jej brzuch i unieśli wzrok. Na ich twarzach malowało się zmieszanie.

Z wyjątkiem dwójki przyjaciół nikt w mieście nie pytał jej o ciążę. I nikt, ale to nikt, nie znał tożsamości ojca.

Burmistrz schował komórkę do kieszeni.

–No i?

Był spoza miasta. Osiedlił się tu jakieś dziesięć lat temu, czyli z punktu widzenia mieszkańców Starej Tuóneli, stosunkowo niedawno. Był młodym biznesmenem z głową pełną planów i nie chciał, by ktoś mu te plany pokrzyżował.

–Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. – Rachel pomyślała o ciężarówce z meblami, zaparkowanej przed domem.

Jak daleko byłaby o tej porze? W połowie drogi przez Minnesotę? Może i była samolubna, ale przecież nie myślała tylko o sobie.

Alastair Stroud poklepał się po kieszeni. Wyciągnął długopis i

mały notes.

–To było dzikie zwierzę?

–A cóż by innego? – zapytał burmistrz.

–Nie wiem.

–Ale to mogło być dzikie zwierzę? – nie ustępował McBride.

–Skóra została zdjęta szybko i z wielką precyzją. Nie wiem, jak robi się coś takiego. Nie jestem pewna, czy dokonałby tego najbardziej doświadczony chirurg świata. A jeśli nawet, zajęłoby to wiele godzin. To żmudna robota i straszna papranina. Skóra czasami sama się zsuwa, gdy ciało jest martwe od kilku dni. Sama często zdejmuję całą rękawiczkę z dłoni, żeby uzyskać dobre odciski palców, ale to... – Pokręciła głową.

–Mąż powiedział, że stracił ją z oczu tylko na chwilę, zanim ją znalazł. – Alastair pstryknął długopisem. – Co mogło zrobić coś takiego?

–Kojoty - powiedział McBride. – Założę się, że to kojoty. Wychowałem się na farmie. Wiem, co stado kojotów potrafi zrobić w parę minut.

–Nie znalazłam śladów zębów. Kojoty zjadłyby przynajmniej część ciała.

–Może mąż je spłoszył – zasugerował Stroud. – A może to nie były kojoty, tylko zdziczałe psy. Albo nawet domowe. Domowe nie zabijają dla pożywienia. Zabijają dla zabawy. Prawda.

–Naradzaliśmy się z komendantem Stroudem i mamy nadzieję, że zostanie pani, dopóki nie znajdziemy zastępstwa - powiedział burmistrz.

Znalezienie specjalisty, który zgodzi się łączyć role koronera i patologa sądowego nie będzie łatwe, pomyślała Rachel.

–To trochę uspokoi mieszkańców i przyjezdnych – ciągnął burmistrz. – Chcemy uniknąć paniki, zwłaszcza że zaczynamy rozkręcać turystykę w mieście. Pani wyjazd tuż po tej koszarnej śmierci będzie wyglądał dziwnie.

–Ale ja chciałam wyjechać, jeszcze zanim to się stało.

–Większość mieszkańców o tym nie wie. Pomyślałam, że pani uciekła, bo się czegoś wystraszyła. A przecież wiemy, że nie ma się czego bać. Zamierzam zebrać ludzi i przeszukać okolicę. Znajdziemy te kojoty czy psy i wyłapiemy je. Rachel wątpiła, by był to dobry pomysł. Oczami wyobraźni widziała bezsensowną rzeź niewinnych zwierząt.

–Dobrze się czujesz? – zapytał Alastair. – Jesteś trochę blada.

Tego było już za wiele. Miała ochotę krzyknąć: „Myślałam, że się stąd wynoszę do diabła”.

Musiała się wynieść, zanim urodzi się dziecko. Miała nadzieję, że zdąży się urządzić w Kalifornii, znaleźć dobrego położnika i pediatrę. Nie mogła urodzić tutaj, w Tuoneli.

Zdjęła fartuch i zgniotła go w kulkę.

–Nic mi nie jest.

–Więc zostanie pani? – zapytał burmistrz.

–Zastanowię się.

Zadzwoiła jego komórka. McBride przeprosił i wyszedł na dwór, żeby mieć lepszy zasięg. Rachel została sama ze Stroudem.

Alastair postarzał się, od kiedy widziała go ostatnio. Wciąż był przystojnym mężczyzną. Jego gęsta czupryna była teraz śnieżnobiała, jakby posiwiiał w jedną noc.

–Jak się miewa Graham? – zapytała. Alastair zamknął notes i schował go do kieszeni.

–Próbuję namówić jego i Evana, żeby przeprowadzili się z

powrotem do miasta. Dom jest duży, znajdzie się dość miejsca dla nas wszystkich. Zresztą to nie jest mój dom, tylko Evana. Nie wiem, po co się wyniósł do Starej Tuoneli. Pewnie mu się wydaje, że ratuje ważną część historii.

–Nie powinno się jej ratować. – Dla nikogo nie było tajemnicą, że Rachel i Evan nie zgadzali się w sprawie Starej Tuoneli.

Alastair zrobił zmieszaną minę.

–Evan i ja nie rozmawiamy o tym.

Burmistrz znowu wetknął głowę do środka.

–Muszę lecieć. Prasa czeka na oświadczenie. Proszę szybko skrobnąć jakiś raport, coś, co będę mógł podać do wiadomości publicznej. Dziękuję, Rachel. Mam nadzieję, że pani zostanie. Proszę to przemyśleć. Postaramy się, żeby się to pani opłaciło.

I wyszedł.

–Ja też mam nadzieję, że zostaniesz – powiedział Alastair. – Nie tylko z powodu tego, co się stało, ale również ze względu na Grahama.

Znów zadzwoniła komórka, tym razem jego. Pożegnał się i szybko wyszedł za drzwi z telefonem przy uchu.

Gdy obaj mężczyźni wyszli z prosektorium, Rachel wróciła do wozu meblowego.

Jej fiołek afrykański i bożonarodzeniowy kaktus wciąż stały na przednim siedzeniu, gdzie je zostawiła. Tylko że teraz były martwe. Cholera. Nie myśl.

Była na siebie wściekła za swoją słabość. Przed chwilą przeprowadziła sekcję oskórowanego ciała kobiety i nie uroniła ani jednej łzy. Teraz, patrząc na swoje biedne rośliny, zaczęła szlochać.

Rozdział 6

W Starej Tuoneli nigdy nie było wiadomo, kiedy skończy się dzień. Czasami słońce znikало szybko, jak zdmuchnięty płomień świecy, innym razem światło mętniało powoli, czepiając się dnia, jakby nie chciało ustąpić miejsca nocy.

Evan Stroud nienawidził długich wieczorów. Drażniły go obietnicą ciemności. Kiedy noc wreszcie nadchodziła, czuł się jak zwierzę uwolnione z klatki.

Teraz, gdy słońce zaszło, Evan wyszedł wściekły ze zrujnowanego domostwa, ze szpadlem i latarnią w ręce, i skierował się ku ścianie drzew wyznaczającej prawdziwą granicę Starej Tuoneli.

Gniew pomagał mu na wiele sposobów.

Otworzył bramę, przecisnął się przez wąskie przejście i znowu zamknął kłódkę.

Nie chciał żadnych niespodziewanych gości.

Mocno wydeptana ścieżka wciniała się między trawę a zarośla. Była późna jesień i kilka ostrych przymrozków zahamowało roślinność. Kończył mu się czas.

Stara Tuonela była miastem duchów, założonym dawno temu przez Richarda Manchestera – Nieśmiertelnego. Gdy Manchestera zabito, mieszkańcy miasta wynieśli się osiem kilometrów dalej i zaczęli wszystko od nowa. Porzucili historię i przeszłość, pozostawiając mroczne sekrety ukryte w ziemi i ścianach rozpadających się budynków.

Evan szukał tych sekretów.

Frustracja i gniew sprawiały, że kopanie szło mu szybko.

Nie wiedział, dlaczego kopie akurat w tym miejscu. Filozoficznie pomyślał, że jest zapewne równie dobre, jak każde inne.

Zaczął wykopaliska w budowlu, która była kiedyś czyimś domem. Stamtąd przeniósł się do młyna, a teraz rozkopywał przykościelny cmentarz.

Czuł, że tym razem trafił. Ale przedtem też tak myślał. Zaczął kopać.

Tuonela i Stara Tuonela leżały w obrębie wielkiego obszaru płaskowyżu paleozoicznego – ziemi, która jakimś cudem uniknęła wędrówki lodowców. Tutaj strumienie wciąż miały kręte koryta, a urwiska były strome.

Dziwne rośliny bez nazwy i rzadkie gatunki zwierząt zamieszkiwały nietknięte, głębokie i mroczne parowy.

Kieszenie zimnego powietrza, pozostałego po epoce lodowcowej, uciekały czasem z ziemi i spowijały kostki piechura.

Posługując się szpadlem jak dźwignią, Evan obluzował duży kamień. Obiema rękami wyjął go z ziemi i zaniósł na rosnącą stertę. Wyszarpnął szpadel z ziemi i wrócił do kopania tą samą metodą.

Pracował, aż niebo zaczęło jaśnieć na wschodzie. Zgasił latarnię. Kłęby pary unosiły się z jego zlanego potem ciała.

Evan Stroud miał dwie obsesje: Starą Tuonelę i Rachel Burton.

W przytomniejsze noce potrafił przyznać sam przed sobą, że obsesja na punkcie Starej Tuoneli pomaga mu stłumić obsesję na punkcie Rachel Burton. W mniej przytomne noce, kiedy jego umysł oziębiało potworne zmęczenie, niemal zapominał o istnieniu Rachel. Lubił zapominać o jej istnieniu. Chciał zapomnieć.

Całonocne wykopaliska nie przyniosły żadnego rezultatu.

Może jutro.

Bolały go kości, dłonie miał zdarte do krwi. Ale wiedział, że przynajmniej będzie w stanie zasnąć. A kiedy się obudzi, znów zacznie kopać. Ruszył do domu.

Wrócił przez bramę, zamknął ją za sobą i zaczął się wspinać pod górę. Od pobliskiego głazu oderwał się cień. Evan uniósł szpadel i przygotował się do ciosu, kiedy cień przemówił.

–Wiedziałem, że to potrwa dłużej niż parę godzin. – Z ciemności dobiegł głos Grahama. – Wiedziałem, że posiedzisz tam do świtu.

Evan chwiał się ze zmęczenia.

–Jak długo czekasz?

–Całą noc. Odmroziłem sobie tyłek.

W coraz mocniejszym świetle Evan dostrzegł koc na ramionach chłopaka. Graham wziął od niego latarnię. Ręka w rękę ruszyli w górę nagiego zbocza, w stronę domu.

–Czego tam szukasz? – zapytał Graham. Zadawał to pytanie już wcześniej.

–Przeszłości. – Evan wiedział tylko tyle. Graham pokręcił głową.

–Czemu ci tak zależy? Przeszłość to przeszłość. Już jej nie ma. A co z twoją książką? Nie powinienes jej czasem pisać? Ma być wydana za miesiąc.

Evan potarł brew dłonią. Książka? Tak. Pamiętał jak przez mgłę, że jest jakaś książka. Redaktor. Wydawca. Kontrakt. To było jego stare życie. Był głupi, że zmarnował tyle lat na książki, kiedy to przedsięwzięcie czekało tu na niego.

–Mógłbym ci pomóc – powiedział Graham. – Nie w pisaniu, ale w porządkowaniu notatek albo czymś w tym stylu.

–Może zimą.

Miał nadzieję, że Graham zapomni o tym do tej pory.

Dni ciągnęły się w nieskończoność i ciężko było doczekać się zmroku. Ledwie Evan opuścił Starą Tuonekę, a już czuł nieodpartą potrzebę powrotu na miejsce wykopalisk. Pracowałby okrągłą dobę, gdyby to było możliwe. Graham spojrział w górę.

–Za długo pracowałeś. Robiło się jasno.

Graham zdjął koc i narzucił go na głowę Evana. Złapał ojca za rękę i zaprowadził do domu, gdzie Evan osunął się na krzesło przy kuchennym stole.

–Zrobie śniadanie. – Graham spojrział w dół. – Musisz umyć ręce. Evan spojrział na oblepione błotem, zakrwawione dłonie. Tak, przydałoby się. Wciąż się na nie gapił.

–Chodź. – Graham pomógł mu dojść do zlewu. Wetknął dłonie Evana pod kran i wycisnął na nie zielony płyn do naczyń. – Rozmawiałem dzisiaj z Alastairem. Evan patrzył, jak Graham myje mu ręce. Interesujące.

–To twój dziadek. Powinieneś mówić do niego „dziadku”.

–Nie mogę się przyzwyczaić. Chyba na razie zostanę przy Alastairze. W każdym razie on uważa, że powinniśmy się przeprowadzić z powrotem do Tuoneli i mieszkać razem z nim w twoim starym domu. – Graham zakręcił wodę i ręcznikiem osuszył dłonie Evana.

–Nie mogę się stąd wyprowadzić. Przecież wiesz.

Graham zarzucił ręcznik na ramię.

–Musisz przestać tam chodzić.

–Nie mogę.

–Musisz.

–Mógłbyś kiedyś pójść ze mną. – Evan usiadł z powrotem przy stole. – Pomógłbyś mi.

–Wiesz, że tego nie zrobię. Po co w ogóle o tym wspominasz?

Graham usmażył jajecznicę, nałożył ją na talerz i podsunął Evanowi.

–W Starej Tuoneli zdarzyły się straszne rzeczy – powiedział Graham. – Nie tylko mnie, ale i innym ludziom.

–Wiem. – Evan nie był głodny, ale wziął widelec i zjadł kęs przez wzgląd na Grahama. – Dlatego robię to, co robię. Ci inni ludzie mają historie do opowiedzenia. Trzeba ich wysłuchać.

Graham stał oparty o zlew, ze skrzyżowanymi kostkami i rękami założonymi na piersi. Przełknął ślinę.

–Nie boisz się?

–Czego? – Że ich wypuścisz.

Evan zastanawiał się przez chwilę.

–Myślę, że właśnie tego mogą chcieć.

Graham zamrugał, by odpędzić łyż strachu.

–A nie pomyślałeś, że mogą być źli? Bo ja akurat wiem, że tam jest cholernie dużo złego.

–Nie przeklinaj.

–Będę, kurwa, przeklinał, kiedy będę chciał. - Teraz już krzyczał.

Coś pękło w umyśle Evana. Krew zadudniła mu w skroniach. Wyprostował się i zerwał z krzesła. Jednym ruchem zrzucił talerz z jedzeniem na podłogę. Błyskawicznie wyciągnął rękę w stronę Grahama, złapał go za gardło i pchnął na ścianę.

–Coś ty do mnie powiedział? – Pytał, choć Graham nie mógł odpowiedzieć. – Nie chcę więcej słyszeć takich odzywek pod moim adresem, zrozumiano?

Twarz Grahama była jasnoczerwona. Pokiwał głową.

–Zrozumiano?

Graham znów przytaknął.

Evan miał ochotę ścisnąć dalej. Trzymać tak Grahama, aż zwiotczeje. Zmusił się jednak, by go puścić. Graham opadł na podłogę, kilka razy wciągnął ze świstem powietrze, zerwał się i uciekł.

Rozdział 7

Komendant Policji Alastair Stroud jechał za miasto. Stara Tuonela leżała osiem kilometrów za rogatkami, na surowym, nienadającym się pod uprawę skrawku Wisconsin, gdzie ziemię przecinały głębokie wąwozy, a starożytne pnie drzew pokrywały peleryny mchu i cienia. Wszyscy zachodzili w głowę, dlaczego ktoś chciał się osiedlić w tak odizolowanym i niedostępnym miejscu, skoro dolina rzeki przebiegała zaledwie kilka kilometrów dalej.

Odosobnienie. Izolacja.

Alastair podejrzewał, że Richard Manchester chciał wykorzystać naturalne ukształtowanie terenu, by odciąć swoje małe miasteczko od świata. Rzeki Tuonela i Wisconsin były blisko, ale nie dość blisko. Człowiek nie mógł tak po prostu wyjść z domu, wskoczyć do łódki i popłynąć.

Na przykład po pomoc.

Wylęgarnia szaleństwa.

Nikt nie wiedział dokładnie, co się tam wydarzyło, i nikt nie chciał wiedzieć. Najlepiej zamknąć drzwi i przekręcić klucz. Dawni mieszkańcy mieli rację.

Skręcił z szosy w wąską drogę, wijącą się między ogromnymi topolami. Przymrozki spłynęły już z Kanady, przynosząc zmianę w przyrodzie. Drogę pokrywał wyciszający dywan liści. Złotozielone listowie na drzewach i na ziemi odbijało światło tak, że zdawało się, iż emanuje ono z ziemi. Trujący sumak i dzikie wino nabrały głębokich odcieni fioleto i czerwieni. Blżej gruntu przekwitały astry i amarantusy.

Piękne.

Miejsce śmierci nie powinno być aż tak piękne.

Jesień była kiedyś ulubioną porą roku Alastaira. Teraz już prawie nie zauważał pór roku. Rozejrzał się dookoła i ze zdumieniem stwierdził, że jesień już niemal minęła i zima puka do drzwi.

Podjechał pod okazałą rezydencję, która, jak głosiła plotka, należała kiedyś do Nieśmiertelnego. Niektórzy nazywali ją nawet „domem Manchestera”. Większa część budynku znajdowała się w opłakanym stanie i nie nadawała do zamieszkania – okna straszły powybijanymi szybami, ze ścian odpadał tynk, a ogród porastały chwasty.

Alastair wyłączył silnik i przez chwilę siedział za kierownicą.

Samochodu Evana nie było nigdzie widać, ale to nie znaczyło, że młodszego Strouda nie ma w domu. Najmłodszy Graham zrobił niedawno prawo jazdy i używał auta, żeby dojeżdżać do szkoły.

Alastair zapukał do frontowych drzwi, ale nikt nie otworzył.

Zszedł z werandy, obszedł dom od tyłu i zastukał w drzwi prowadzące do kuchni.

Nic.

Opierając dłonie na skórzanym pasie, spojrzął w dal, próbując ocenić, jak daleko jest od domu Evana do miejsca, gdzie znaleźli ciało bez skóry. Wyglądało na to, że jakieś trzy, cztery kilometry w linii prostej.

Spróbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Wszedł do środka.

Na podłodze leżał rozbity talerz i resztki jajecznicy. Czarne mrówki pracowicie wnosiły wszystko, co dały radę unieść. Całymi tysiącami maszerowały krętą mrówczą autostradą.

–Evan! – Alastair ominął stłuczony talerz. Przeszedł korytarzem i wspiął się na pierwsze stopnie schodów. – Evan!

Mówią, że człowiek nigdy nie przestaje martwić się o dzieci, niezależnie od tego, ile mają lat. To prawda. I zrobi wszystko, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Serce Alastaira zabiło mocniej, ściśnięte starymi lękami, dawnym przerażeniem.

Wbiegł po schodach do pierwszego podestu i skręcił. Znów schody i kolejny korytarz. Szybko odnalazł pokój Grahama.

Omiótł wzrokiem komputer, plakaty zespołów muzycznych, ciuchy na podłodze, książki i zeszyty, i stojące na biurku oprawione zdjęcie dziewczyny Grahama.

Biedne dzieciaki. Rodzice Isobel wywieźli ją z kraju, żeby ustrzec ją przed Grahamem i Tuonelą. Pokój Evana był trzeci w korytarzu. Okna były zamalowane na czarno. Przez szyby nie przenikał nawet promień światła.

Alastair ledwie dostrzegł wybrzuszenie pod kołdrą. Zapalił słabe sufitowe światło, podszedł do łóżka i wyciągnął rękę w kierunku pościeli.

–Evan?

Evan zerwał się gwałtownie, wyrzucając kołdrę w górę. Alastair cofnął się odruchowo.

Syn rozpoznał go i się uspokoił.

–Co ty tu robisz, do diabła?

–Drzwi nie były zamknięte na klucz. To niebezpieczne.

Evan się roześmiał.

–Nikt nie wejdzie do tego domu.

–Dobrze się czujesz? Widziałem talerz na podłodze...

–Mały wypadek i tyle. – Evan opuścił bose stopy na podłogę.

Kiedy Alastair widział go ostatnio? Dwa, trzy tygodnie temu? Evan wyglądał, jakby stracił z dziesięć kilo. Policzki miał zapadnięte, oczy podkrążone.

Młodszy Stroud podniósł rękę, by odgarnąć z czoła skołtunione strąki ciemnych włosów. Alastair zauważył, że paznokcie ma czarne od brudu. Pod bladą skórą rysowały się żebra. Wypukłe, czerwone blizny na piersi i przedramionach przypominały o niedawnych przeżyciach.

–Słyszałeś o tej zabitej kobiecie? – zapytał Alastair.

–O jakiej kobiecie?

–W lesie znaleziono zwłoki kobiety. Została obdarta ze skóry.

Evan uniósł gwałtownie głowę.

–Morderstwo?

–Jeszcze nie wiemy. Mogły to zrobić dzikie zwierzęta. Nie widziałeś może stada kojotów albo psów biegających po okolicy?

Evan zmarszczył brwi i pokręcił głową.

–Gdzie znaleziono ciało?

–Kilka kilometrów stąd. – Alastair uważnie obserwował syna.

Dawniej bez trudu potrafił odgadnąć, co chodzi Evanowi po głowie, jednak od swojego powrotu z Florydy miał wrażenie, że syn stał się dla niego obcym człowiekiem, a wszelkie próby wyczytania czegokolwiek z jego zachowania były bezcelowe.

–Widziałeś coś? – zapytał Alastair. – Może słyszałeś coś przedwczoraj w nocy?

–Nie. – Evan zmarszczył podejrzliwie brwi. – Dlaczego mnie pytasz oto?

–Jestem policjantem. To moja praca. – Evan podniósł z podłogi

dżinsy, włożył je i wstał, zapinając guzik i rozporek.

–Chyba nie tylko o to chodzi.

–Martwię się, że mieszkacie tutaj z Grahamem. Uważam, że to zły pomysł. Szczególnie że nadchodzi zima. Zasypie was tu. A teraz jeszcze to...

Evan zastanawiał się chwilę nad jego słowami.

–Ja nie wrócę, ale może masz rację co do Grahama. Może powinien przemieszkać zimę w Tuoneli.

–Ty też powinienes. – Alastair rozejrzał się po gołych ścianach. – Pewnie dom nie jest ocieplony.

–Grahamowi będzie z tobą lepiej.

–Nie tylko Grahamowi. Tobie też.

–Ktoś musi tutaj zostać.

–Po co? – Żeby pilnować Starej Tuoneli.

–Nikt nie musi jej pilnować.

Evan przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

–Dlaczego wróciłeś z Florydy?

–Żeby pomóc.

–Myślę, że chodziło o coś więcej. Myślę, że to miało coś wspólnego z tym, co wydarzyło się dawno temu. Kiedy zachorowałem.

Serce Alastaira zabiło mocniej, poczuł suchość w ustach.

–O czym ty mówisz?

–O Nieśmiertelnym.

Nie mógł wiedzieć. Skąd miałyby o tym wiedzieć?

Alastair myślał gorączkowo, próbując usprawiedliwić przeszłość. Robił, co w jego mocy, żeby ratować syna. Evan wziął z nocnej szafki szklankę wody, upił duży łyk i spojrzał na ojca.

–O sercu. Mówię o sercu. Mówię o wywarze, który zrobiłeś z serca Nieśmiertelnego i którym mnie poiłeś.

O Jezusie. Jezusie, nie. Alastair przełknął ślinę. Czuję, jak pot spływa mi po plecach.

–Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli usłyszałeś jakieś zwariowane plotki, możesz o nich zapomnieć. Cała ta historia o Nieśmiertelnym to tylko legenda i plotki. A to kolejna z nich.

–Znalazłem je. Znalazłem resztę serca, bo nie podałeś mi całego. Założę się, że się przestraszyłeś i przerwałeś to. – Evan stanął tuż przed nim. Jego oczy. Oczy Evana były inne. Ciemniejsze. Źrenice były wielkie, jak u narkomana. W środku był ktoś inny. – Znalazłem je – powtórzył Evan. – Znalazłem i wypilem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to jest. Myślałem, że to herbata. – Roześmiał się ochryple. – Wiesz, jak lubię herbatę. Myślałem, że to jakaś egzotyczna mieszanka z grzybami i ziołami. Ale nie potrzebowałem wiele czasu, by odkryć prawdę.

–Wypiłeś wszystko? Całą puszkę?

–A jak myślisz? Spójrz na mnie. Wypiłem wszystko? Gdyby tak było, musiałbyś ponownie zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcesz, żebym wrócił do miasta i z tobą zamieszkał. Musiałbyś się nad tym bardzo poważnie zastanowić.

Alastair sięgnął za siebie. Zrobił kilka kroków do tyłu, aż wymacał drzwi.

–Czym jestem? – zapytał Evan. – To właśnie chciałbym wiedzieć. Kogoś ty ze mnie zrobił?

Alastair się odwrócił. Oszołomiony zszedł po schodach. Wyszedł z domu.

Wsiadaj do samochodu. Przekręć kluczyk. Jedź.

Byle dalej stąd.

Na ostatniej prostej leśnej drogi, tuż przed wjazdem na szosę prowadzącą do Tuoneli, zatrzymał samochód.

Zamknął oczy i oparł głowę na kierownicy. Z jego gardła wyrwał się szloch, wstrząsając całym ciałem.

Rozdział 8

Graham wyszedł ze szkoły, włączył komórkę i zadzwonił do dziewczyny z kamerą, którą poznał w muzeum.

Nie uśmiechało mu się wracać do domu, a ponieważ był wściekły na Evana, pomysł wywnętrzenia się w wywiadzie nie budził w nim już takich oporów.

Nazywała się Kristin Blackmoore.

Czuł się trochę dziwnie, dzwoniąc do dziewczyny, ale przecież nie zapraszał jej na randkę. Nawet mu się nie podobała. Mimo to, kiedy odebrała, jego serce zabiło szybciej. Uspokoił się dopiero po chwili.

–Możemy się spotkać u ciebie w domu? – zapytała Kristin. – Zależy nam na filmowaniu ludzi w ich naturalnym otoczeniu.

Byłoby niezłe jaja, gdyby nagle zjawił się w Starej Tuoneli z ekipą filmową. Evan dostałby jednego ze swoich napadów, rzuciłby talerzami. Albo mamrotał o tym, co wykopał w nocy. Graham roześmiał się na samą myśl o jego reakcji.

–Nie, nie możemy jechać do mnie. Spotkajmy się na piętrze w Brzoskwince. To kawiarnia na Main Street, trzy przecznice od zajazdu, w którym mieszkacie. Możesz udawać, że jesteśmy w moim domu. Aha, i nie chcę całej bandy ludzi, zgoda? Przyjdź sama.

–Ja nie udaję. To nie jest film fabularny.

Wyświadczał jej przysługę, na litość boską.

–Chcesz to zrobić czy nie?

Ostatnio był cholernie drażliwy. Wiedział, że powinno mu być głupio, i pewnie jutro będzie. Ale nie w tej chwili. Teraz był zły jak osa i podobało mu się to.

Rozłączył się, wskoczył do czarnego samochodu ojca i pojechał do Brzoskwinki.

Kawiarnia mieściła się w zaadaptowanej piętrowej kamienicy. Drewniana podłoga była wydeptana do gołych desek, kanapy były przetarte prawie na wylot, a krzesła się chwiały. Na górze nie było nikogo.

Graham usadowił się przy małym stoliku przy oknie z widokiem na Main Street. Gdyby zjawił się ktoś jeszcze, on i Kristin mogli wyjść na balkon.

Wydało mu się, że dostrzegł czuprynę rudych włosów.

Dwie minuty później Kristin weszła na piętro. W ręku trzymała puszkę dietetycznej coli, z ramienia zwiisał zielony płócienny chlebak. Od razu zauważyła Grahama. Postawiła puszkę coli na stole, usiadła i zaczęła rozpakowywać torbę.

Graham w życiu nie widział tak sztucznego rudego koloru włosów. Podobał mu się.

Może była punkową anarchistką? Nie. Punky były brudasami, a ona nie wyglądała na brudasę. Jej dzinsy były znoszone i połatane, a zielone tenisówki wyblakłe i zniszczone, ale wszystko było czyste.

–Szybko się zjawiłaś – powiedział. – Pewnie byłaś niedaleko.

–W zajeździe. Rano bolała mnie głowa, więc reszta poszła szukać plenerów beze mnie. – Wyciągnęła kamerę i zaczęła przy niej majstrować. – Ból głowy minął, ale pewnie wróci. Jak zwykle.

–Mieszkasz w Minneapolis? Zastanawiam się nad Uniwersytetem Minnesoty.

–W Saint Paul. W dzielnicy o nazwie Żabie Miasto. – Roześmiała się. – Słynie z etnicznej różnorodności, biedy mieszkańców i z dziwek. Powinieneś tam kiedyś pojechać. – Wyjęła mały teleskopowy

statyw, rozłożyła go, dokręciła śruby i rozstawiła na podłodze. – Co zamierzasz studiować?

–Nie wiem. – Graham wzruszył ramionami. – Po prostu chcę się stąd wyrwać.

–Tuonela jest piękna. – Przykręciła kamerę do statywu. – Myślę, że mogłabym tu pomieszkać jakiś czas. Choć pewnie z czasem można zacząć się nudzić.

Boże kochany. Chciałbym.

–Materiał zostanie mocno okrojony albo w ogóle nie będzie wykorzystany – uprzedziła.

Włączyła kamerę i zaczęła od pytań o zwykłe, nudne rzeczy. Po chwili Graham się rozluźnił, zapomniał o wycelowanym w siebie obiektywie. Wtedy pytania stały się bardziej osobiste. Przestał się tak pilnować i zaczął się całkiem dobrze bawić.

To było jak wizyta u psychoterapeuty, tylko o wiele ciekawsze.

Tak naprawdę był w Tuoneli nowy, mówił więc o mieście i jego mieszkańcach z punktu widzenia przybysza. Kiedy doszli do tematu jego nieżyjącej, sadystycznej matki i Evana, zamilkł. Kristin czekała, by zaczął mówić dalej, a on pomyślał, jakie to pokręcone, zamienić jednego szalonego rodzica na drugiego. Nie tego się spodziewał.

–Szukałem bajki – powiedział w końcu. – Bo jeśli jakieś miasto może być bajkowe, to właśnie to. W końcu dzieją się tu cholernie dziwne rzeczy. Powiedziałem „cholernie”. Możesz to wyciąć? Chcesz, żebym to powtórzył? Nie? Tak naprawdę Tuonela nie różni się niczym od innych miast. Serio. Przysięgam na Boga. To znaczy jest trochę dziwna, wiesz, przez tę całą historię z Nieśmiertelnym, ale ludzie są tacy jak wszędzie. Grają w softball. Urządzają pikniki. Chodzą na ryby. Kochają się i nienawidzą. Jak w każdym innym mieście.

–Ale inne miasta nie mają wampirów.

–Wierzysz w to? Wierzysz w wampiry?

Uśmiechnęła się.

–A ty?

–Daj spokój.

–A twój tata?

–Pytasz mnie, czy jest wampirem? – Graham pokręcił głową.

–Myślałem, że szukasz prawdy, a ty wykręcasz wszystko po swojemu. Chcesz, żebyśmy wyszli na bandę idiotów. – Przyjrzał się jej uważnie i dostrzegł, że trafił w czuły punkt. – A więc to o to chodzi. Szukacie dziwolaków do pokazania.

–Ja szukam prawdy – odparła Kristin. – Dowodu, że wszystkie te historie o wampirze to bujda.

–Przecież wiesz, że mój ojciec ma chorobę skóry, zgadza się? Jest uczulony na światło słoneczne. Lekarze mają na to jakąś mądrą nazwę, ale większość ludzi nazywa to po prostu chorobą wampirów. Poszukaj informacji w Internecie. – Skrzyżował ręce na piersi i odchylił się na krześle.

–Skończyłem. Wyłącz kamerę.

Widziała, że mówi poważnie. Wyłączyła kamerę, zdjęła ją ze statywu, wyjęła kasetę wielkości pudełka od zapalek i załadowała inną.

–Chcę ci coś pokazać. – Przez chwilę patrzyła w wizjer, po czym obróciła kamerę.

Graham pochylił się naprzód i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Dopiero po chwili zorientował się, że ogląda nagranie z otwarcia muzeum. Dziwny kąt filmowania, słabe światło i podskoki kamery sprawiały, że trudno było rozpoznać miejsce. Oto i on,

mówiący Kristin, że w muzeum nie wolno filmować. Dziewczyna go zignorowała. Kamera działała dalej, a operatorce jakimś cudem udało się wycelować ją w gablotę zawierającą zmumifikowane ciało. Refleksy na szkle spowodowały, że obraz był zamazany i zniekształcony, ale nagle Grahamowi wydało się, że twarz Nieśmiertelnego przybrała ludzkie rysy.

–Niesamowite, co? – powiedziała Kristin.

–Odbicie w szkle – stwierdził Graham. – To pewnie twarz kogoś z tłumu.

–Czyżby?

Przewinęła taśmę i jeszcze raz puściła nagranie. Zrobiła stop-klatkę ujęcia twarzy.

Graham długą chwilę przyglądał się Nieśmiertelnemu. Jakoś dziwnie przypominał jego ojca. Nie powiedział o tym Kristin.

–To tylko odbicie – powtórzył, kiedy dziewczyna zaczęła pakować sprzęt.

–Idziemy dziś wieczorem do baru karaoke. – Zasuwała pokrowiec.
– Chcesz iść z nami?

–Mam siedemnaście lat.

–Mam program komputerowy, na którym robię fałszywe legitymacje. Jeśli chcesz, wydrukuję jedną dla ciebie.

–Po prostu próbujesz wydebić ode mnie wywiad z moim ojcem. To nie zadziała.

Roześmiała się. Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się na całe gardło. Może jednak trochę działa.

–Jesteś zabawny.

–Ludzie ciągle mi to mówią. Zupełnie tego nie kumam.

–I masz więcej niż siedemnaście lat. W środku.

Miała rację.

Zrobił w życiu coś, czego nigdy nie zrobiła większość dorosłych. Coś, co będzie go prześladować aż do śmierci. Nie pytała go o to. Może nie wiedziała. Miło było pobyc w towarzystwie kogoś, kto nie wiedział.

–Idę do pracy w muzeum. A potem muszę wracać do domu.

–Okay. – Wstała. – Nie próbowałam cię przekupić. Dzięki za wywiad. Jeśli zmienisz zdanie w sprawie karaoke, daj znać.

Wyszła, a Graham poszedł do muzeum, gdzie odbębnił czterogodzinną zmianę. Nie chciał wchodzić do sali z mumią, ale właśnie tam go przydzielili.

Zwiedzających było o wiele mniej niż w dniu otwarcia, ale budynek wciąż był nieprzyjemnie zatłoczony. Gdy Grahamowi przeszła początkowa nerwowość, wypróbował swoją teorię z odbiciem, stając w różnych miejscach i obserwując gąbłotę, ale nie zdołał odtworzyć efektu z nagrania wideo. Kiedy skończył pracę, pojechał do domu dziadka. Zaparkował na chodniku.

Wcisnął guzik szybkiego wybierania w komórce, by zadzwonić do Evana. Ojciec nie odebrał. Graham zostawił mu wiadomość na poczcie głosowej:

–Chyba zostanę dzisiaj na noc w Tuoneli, u Alastaira. Jeśli masz coś przeciwko, daj znać, to wrócę do domu. – Rozłączył się, złapał plecak i wysiadł z samochodu.

Dom stał przy Benefit Street, w miejscu, gdzie stroma dolina przechodziła w równinę. Zaledwie kilka miesięcy temu matka wysadziła tutaj Grahama z samochodu.

Kilka miesięcy... Wydawało się, że minęły lata. Teraz matka nie żyła. Ile osób w sumie straciło życie? Cztery?

Dom był stary. Otynkowane na biało ściany zdobiły ciemne belki. Od frontu znajdowała się wielka weranda. Z pozostałych stron dom otaczał las. Dziadek otworzył dopiero po dłuższej chwili.

Mimo siwych włosów Alastair Stroud nie był starym człowiekiem. Żyłasty i ciągle jeszcze trochę opalony po setkach godzin spędzonych na polach golfowych Florydy, zawsze nosił wyprasowane kraciaste koszule i pachniał wodą po goleniu. W tej chwili zalatywało od niego alkoholem. Graham natychmiast zorientował się, że dziadek jest zalany w pestkę. Świetnie.

Najwyraźniej żaden z dorosłych w jego rodzinie nie potrafi zachowywać się jak dorośli. W dodatku dziadek był gliną. Chociaż, jeśli się nad tym zastanović, gliniarze pewnie upijają się jak wszyscy inni, kiedy nie są na służbie.

Dziwne, ale prawdziwe. Alastair z całych sił starał się wyglądać na trzeźwego, ale był za mocno dziabnięty.

Zamrugął i klapnął niezgrabnie na fotel.

–Siadaj. - Machnął słabo ręką. Graham stał przy drzwiach.

–No nie wiem. Może jednak pójdę.

–Nie, zostań! Zostań! To by było na tyle, jeśli chodzi o nocowani© u dziadka. Nie było mowy, żeby został.

–Właśnie miałem wrzucić do piekarnika mrożoną pizzę.

Graham opuścił plecak na podłogę i przeszedł przez salon do aneksu kuchennego. Wszystkie szafki były otwarte. Na podłodze i blatach wały się talerze, rondle, a także produkty i sprzęty powyciągane z szafek.

–Co ty robisz?

–Szukam czegoś. – Alastair zerwał się z fotela. – Nie widziałeś czasem małej blaszanej puszki na herbatę? Mniej więcej takiej? –

Narysował kształt dłońmi.

–Srebrnej?

–Tak!

–Zdaje się, że widziałem taką w rzeczach ojca. W drugim domu. Dziadek przeszedł przez kuchnię i złapał go za ramiona.

–Jeśli ją jeszcze kiedyś zobaczysz, trzymaj się od niej z daleka. – Lekko nim potrząsnął. Oczy miał przekrwione i szkliste. – Rozumiesz? Trzymaj się z daleka.

–Okay. – Graham ugiął kolana i uwolnił się z jego uchwytu. – Wiesz, chyba jednak nie zostanę. – Podszedł do drzwi i podniósł plecak. – Idź do łóżka. Połóż się i odeśpij to.

–Jeśli ją zobaczysz, zadzwoń do mnie. Jeśli zobaczysz tę puszkę.

–Jasne.

Graham wyszedł. Wsiadł do samochodu.

Zawrócił na trzy i zjechał ze wzgórza, mijając po drodze kostnicę, nad którą mieszkała Rachel Burton. Przed wiktoriańskim dworkiem stał ten sam meblowóz, który Graham widział tu wcześniej. Czyżby Rachel nadal była w mieście?

Wjechał na podjazd na tyłach domu i obiegł budynek kostkowym chodnikiem, prowadzącym do masywnych drzwi frontowych. Zadzwoił do mieszkania Rachel. Rozległ się brzęczyk – wpuściła go.

Szedł ciemnymi korytarzami z wykładziną na podłogach. Przemknęło mu przez myśl, by pojechać windą, ale w końcu wbiegł po schodach na drugie piętro.

Otworzyła drzwi i Graham natychmiast zauważył, że płakała. Miała czerwone oczy i nos. A jej brzuch... Co jest, do cholery?

–Jesteś w ciąży? – Słowa po prostu wyskoczyły z jego ust.

–Nie wiedziałeś? – Odwróciła się i poczłapała w głąb mieszkania

po pudełko chusteczek. – Myślałam, że wszyscy w mieście wiedzą. Jasny gwint.

Wrócił myślą do dnia, kiedy widział ją po raz ostatni. Prowadziła furgonetkę koronera. Brzuch miała zasłonięty. Nawet nie wiedział, że Rachel ma chłopaka. A może i nie miała. Może to było sztuczne zapłodnienie. To już za bardzo zakręcone. Poczuł, że się czerwieni. Zatrzymał się w drzwiach.

–Wejź.

Mieszkanie było puste, został tylko stylowy czerwony stół i krzesła. Na środku stołu stały w doniczkach dwa zwiędnięte kwiatki.

–Wiesz co...? – Wskazał kciukiem przez ramię. – Chyba lepiej pójdę...

–Zostań chwilę. – Wydmuchała nos i rzuciła chusteczkę na bok. Graham dostrzegł sporą stertę zmiętych chusteczek na podłodze obok krzesła.

–Widziałem meblowóz przed domem. Co się dzieje? Nie wyprowadzasz się?

–Nie mogę się stąd wyrwać. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy – nic z tego nie będzie. – Machnęła bezradnie ręką. – Nie mogę wyjechać. Tuonela mi nie pozwoli. Chciał ją zapytać o dziecko, ale nie wiedział jak.

–Muszę iść. – Cofnął się. – Przepraszam za najście. Cieszę się, że się nie wyprowadzasz. Przykro mi ze względu na ciebie, ale cieszę się za siebie. Muszę lecieć.

Wykonał dziwny, niezręczny podryg, odwrócił się i uciekł. Gdy wrócił do samochodu, wyjął komórkę i wybrał numer Kristin Blackmoore. Jeszcze nie wyszli do baru.

Dołączył do nich w zajeździe, gdzie Kristin wyrobiła dla niego

falszywą legitymację. Wystarczyło jej parę minut, by wydrukować ją na drukarce dostępnej w recepcji i wsunąć w używaną plastikową koszulkę. Teraz miał dwadzieścia jeden lat i nazywał się Kevin Graham. Sprytnie.

Do baru było około kilometra, więc poszli pieszo. Claire – kierowniczka ekipy – nie wybrała się z nimi. Była zajęta namawianiem jakiegoś medium na przyjazd do Tuoneli i pogawędkę z tutejszymi duchami. Była ich więc czwórka: trzech chłopaków i dziewczyna.

Szli razem chodnikiem, gadając o niczym: Dopiero teraz Graham zdał sobie sprawę, jaki jest samotny. Szczególnie odkąd wyjechała Isobel. Znał ludzi ze szkoły, ale tak naprawdę z nikim się nie kolegował. Jego rówieśnicy bali się go. Był outsiderem. Z nieprzyjemną przeszłością.

Może dlatego tak go ciągnęło, żeby spędzić trochę czasu z ekipą filmową. Oni też byli z zewnątrz. I nie wiedzieli o nim. W każdym razie nie wszystko. Falszywa legitymacja spełniła zadanie. Wszedł do baru.

–Mówiłam ci, że nie ma się o co martwić – powiedziała Kristin. - Ich nie obchodzi, czy jesteś wystarczająco dorosły, żeby pić, dopóki masz coś, dzięki czemu oni sami nie będą mieli kłopotów.

Upił się. A raczej schlał.

Przez chwilę myślał o Alastairze i o tym, jak nieciekawie wygląda pijany człowiek, ale szybko odepchnął od siebie to wspomnienie. Zamówili drinka o nazwie Poncz Nieśmiertelnego. Podany w wielkiej misie, zwałił ich z nóg.

Piosenkarz był z Grahama jak z koziej dupy trąba, ale i tak wstał, i odśpiewał piosenkę Pogues, *Stare podłe miasteczko*.

Zrobiło się późno i ludzie zaczęli się wykruszać, Ian i Stewart wrócili do zajazdu. Graham i Kristin zostali, dopóki obsługa nie wyłączyła maszyny do karaoke, nie uzupełniła piwa w lodówkach i nie zgasła neonowego napisu „Otwarte”.

Trzymali się siebie, żeby nie upaść.

Osrebrzeni światłem księżyca w pełni, gadali i śmiali się, wracając stromym chodnikiem na Main Street.

Liście szumiały na drzewach, choć nie było najłżejszego wiatru, a z pęknięć w chodniku wypęły cienie.

Zachowywali się tak głośno i byli tak pijani, że nie zorientowaliby się, gdyby ktoś ich śledził. Nie zauważyliby, gdyby coś nie całkiem ludzkiego, przywabionego hałasem, obserwowało ich i przemykało za nimi, wydając odgłosy przypominające szelest liści.

Zatrzymali się pod uliczną latarnią.

–Zabiłem człowieka – oznajmił Graham. Kristin gapiała się na niego.

–A ja umarłam. – Chwiejąc się wystawiła dwa palce. – Dwa razy.

Oboje wybuchnęli śmiechem i ruszyli dalej w głąb doliny, gdzie domy zasłaniały księżyc, a cienie były tak głębokie, że nie widzieli nawet własnych stóp, gdzie wydawało się, że każdy krok prowadzi w przepaść.

–Ćśśś – syknęła Kristin, kiedy dotarli do zajazdu. Wyłowiła z kieszeni klucz i sprawnie otworzyła drzwi. Graham był pod wrażeniem. Z pijackim przejęciem, na palcach, wspięli się na drugie piętro do pokoju Kristin.

Gdy znaleźli się w środku, za zamkniętymi drzwiami, Kristin zdjęła buty i dzinsy, rzucając je na kupie koło łóżka.

–Naprawdę powinieneś przyjechać do szkoły do Minneapolis. –

Wsunęła się pod kołdrę. Graham zdjął dżinsy i dołączył do niej.

Rozdział 9

Odgłos skrobania wyrwał Evana z głębokiego snu. Leżał w łóżku, wyteżając słuch.

I znowu. Dźwięk dobiegał z dołu. Jakby naga gałąź drapała w okno.

Spojrzał na zegarek przy łóżku. Druga w nocy. Zwykle nie mógł się doczekać, aż zapadnie zmrok. Jakim cudem dziś spał tak długo? Wstał i się ubrał.

W pokoju syna zobaczył schludnie zaścielone łóżko. Ani śladu Grahama. Powinien zadzwonić do Alastaira. Po chwili namysłu zszedł na dół, by sprawdzić pocztę głosową. Graham zostawił wiadomość, że zostaje na noc w Tuoneli, u dziadka. Evan się uspokoił.

Znów to skrobanie. Teraz, gdy był bliżej, słyszał wyraźnie, że dobiega z zewnątrz. Poszedł za dźwiękiem do frontowych drzwi.

Na ganku ujrzał cuchnącą, obrzydliwą masę bezkostnej, bezkształtnej skóry z czarnymi dziurami w miejscach, gdzie powinny być oczy. Zakrył dłonią nos i cofnął się o krok.

Czy to sen? Czy do reszty zwariowałem?

Gdy tak patrzył, skóra odwróciła się i ześliznęła ze schodków werandy, upadając na chodnik. Minęła minuta i skóra znów zaczęła się poruszać. Wychyliła się ręka, paznokcie wbiły się w ziemię. Podciągnęła się kilka kroków i powtórzyła ruch.

Evan złapał szpadel i latarnię i ruszył za skórą, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Patrzył, jak przeczołguje się pod bramą i podąża ścieżką prowadzącą w samo serce Starej Tuoneli.

Matthew Torrance był nocnym sprzątaczem w muzeum od ponad dwudziestu lat. Lubił tę pracę. Lubił być sam.

Podobało mu się, że przy sprzątanu może słuchać muzyki z iPod'a, że może wypalić jointa, kiedy tylko ma na to ochotę, albo się zdrzemnąć. Nikt mu nie zawracał gitary.

Był kawalerem – nigdy się nie Ożenił – i lubił heavy metal. Czytywał science fiction i na początku lat dziewięćdziesiątych był nawet na dwóch zjazdach fanów *Star Treka*. Poznał tam dziewczynę, ale po trzech latach uznał, że *Star Trek* to za mało, żeby połączyć ludzi na dłużej. Nie był nawet pewny, czy w ogóle lubi dziewczyny.

Albo chłopaków. Albo ludzi w ogóle.

Wyszedł na dach muzeum i zapalił.

Niebo było czyste, księżyc w pełni. Trawka była świeża i mocna jak diabli. Do licha. Po kilku machach czuł się aż za bardzo uwalony. Jeśli to w ogóle możliwe. Zgasił skręta, schował go do pojemniczka po filmie fotograficznym i wsadził pudełeczko do kieszeni.

Wow. Musiał usiąść. A nawet się położyć.

Rozciągnął się na plecach na dachu krytym papą. Gwiazdy wirowały nad jego głową.

Założył słuchawki i włączył iPod'a. Muza. Muza doprowadzi go do równowagi.

Stracił poczucie czasu.

Leżał tak może trzy minuty, a może trzy godziny.

Zerknął na fluorescencyjną tarczę zegarka, ale natychmiast zapomniał, co wskazywała.

Muszę posprzątać muzeum. Muszę zrobić swoje.

Dźwignął się i wrócił do budynku. Zamiast zejść schodami, zjechał windą towarową do sutereny, gdzie zostawił prowiant.

Pogrzebał w swojej torbie z kolacją i zaczął wyjadać wszystko, co w niej było.

Może jeśli się porządnie naje, trochę mu przejdzie.

Pochłonał kanapkę z kurczakiem. Chipsy też. Dietetyczna cola też zniknęła, podobnie jak wielkie ciastko z masłem orzechowym, które kupił na stacji benzynowej koło domu. Teraz był upalony, napchany i dalej myślał o jedzeniu.

Zjadłoby się coś czekoladowego...

Wyjął listę obowiązków na ten dzień.

„Wyfroterować podłogi”.

Cholera. Naprawdę nie miał siły. To już wystarczająco trudne, kiedy nie jest się na haju. Froterka miała własne widzimisię i czasem lubiła płatać figle. Zrobi to jutro. Dzisiaj po prostu przeciągnie podłogi suchym mopem.

Tak zrobił.

Pochłonał go rytmiczny ruch czerwonego mopa, ślizgającego się po klonowym parkiecie, kontrast między głęboką czerwienią a jasnym drewnem, to, jak cień rączki przesunął się z prawa na lewo, prosty i wyraźny.

Nagle cień zniknął.

Może żarówka się przepaliła? Zorientował się, że coś zasłania światło. On sam?

Z mopem w dłoni przesunął się trochę.

Nic się nie zmieniło.

Coś jest nie tak.

Coś jest bardzo nie tak.

Nie chciał się odwracać i patrzeć za siebie. Jeśli ktoś tam był, Matthew nie chciał, by wiedział, że on zdaje sobie sprawę z jego

obecności.

Jak gdyby nic wyłączył iPoda. Wrócił do pracy.

Szur, szur, szur.

Obrót i spojrzenie.

Nic.

Nikogo.

Odwrócił się z powrotem. Coś wciąż zasłaniało światło.

Miał ochotę uciec, wynieść się stąd do wszystkich diabłów. Ale zmusił się, żeby zrobić obchód.

Zajrzał do toalet, składziku i w końcu do nowej sali.

Krzyknął cicho i upuścił mopa. Cofnął się o dwa kroki, szeroko otwierając usta.

Jasna cholera.

Gloria Raymond obudziła się, odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Nie włożywszy butów ani płaszcza, nie związawszy włosów ani nawet nie schowawszy ich pod kapeluszem, wyszła przez frontowe drzwi, przecięła chodnik i weszła na środek ulicy.

Przeszła prawie dwa kilometry przez park, przez puste parcele i las, przez tory i zaśmiecone zakamarki pełne stłuczonego szkła. Nie czując bólu, ze stopami pokaleczonymi i krwawiącymi tak, że zostawiała za sobą czerwone ślady, dotarła do nabrzeża. Wspięła się na siatkę, którą postawiono poprzedniego roku, po tym jak utopił się tu trzyletni chłopczyk. Jej różowa koszula nocna zaczepiła się i rozdarła, gdy Gloria zeskoczyła po drugiej stronie.

Choć brakowało jej niecałego miesiąca do siedemdziesiątych piątych urodzin, swobodnie wskoczyła na pomost do cumowania i przeszła na jego koniec, wcinający się w nurt rzeki Wisconsin.

Księżyc odbijał się od powierzchni wody.

Księżyc w pełni, okrągły jak ludzka twarz. Woda marszczyła się, tworząc ładny, regularny wzór – wręcz hipnotyzujący.

Pod powierzchnią wody Gloria zobaczyła swojego męża. Uśmiechał się do niej z szeroko otwartymi oczami. Sięgnął ku niej, więc i ona wyciągnęła rękę...

Evan poszedł za skórą do Starej Tuoneli, gdzie natura objęła we władanie walące się zabudowania. Skóra znieruchomiła w ciemnym kącie pod kamiennym murem. Evan wreszcie zrozumiał.

Wbił szpadel w ziemię i zaczął kopać.

Rachel nie mogła spać.

Wciąż śniło się jej, że ktoś jest w mieszkaniu. Budziła się gwałtownie i leżała, słuchając tykania zegara, po czym znowu zasypiała. Po chwili wszystko się od nowa powtarzało. Sen był tak realistyczny, że nawet po przebudzeniu czuła czyjąś obecność i wydawało jej się, że słyszy oddech niedaleko łóżka.

Wcześniej tego dnia burmistrz przysłał ekipę, by rozpakowała wóz meblowy. Po godzinie od przyjścia tragarzy jej mieszkanie wyglądało prawie tak samo, jak wtedy, kiedy postanowiła wynieść się z Tuoneli. Powstawiali nawet naczynia do szafek i książki na półki. Pudła, które pakowała tygodniami, zostały rozpakowane. Poskładane, czekały teraz, by zabrała je firma zajmująca się recyklingiem.

Przewiń i wykasuj, pomyślała.

Część jej duszy buntowała się, że poddała się tak łatwo. Ta część chciała wezwać taksówkę, pojechać na najbliższe lotnisko, wsiąść w samolot, i raz na zawsze wszystko zakończyć. Gdyby oddaliła się fizycznie od Tuoneli, jej wpływ nie byłby tak silny. Wiedziała to z doświadczenia. Bliskość miasta powodowała zagubienie i umysłowy chaos.

Jednak druga część była niemal zadowolona, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Może gdzie indziej miałyby lepsze życie, ale to tu było jej miejsce. Wszystkie drogi prowadzą do Tuoneli.

Znowu zasnęła.

Przewracając się z boku na bok, śniła o jedzeniu. Najnowszy sen przemieszał się ze snem o mężczyźnie w domu, przeszedł w marę o obdartym ze skóry ciele w prosektorium na dole, a potem znów wrócił do jedzenia.

Lodówka była pusta.

Rachel wstała, włożyła dżinsy i kurtkę i pojechała do całodobowych delikatesów w pasażu handlowym na obrzeżach miasta.

Ulice były puste. Światło księżyca wywoływało głębokie cienie, które nieustannie poruszały się na skraju jej pola widzenia. Słyszała niewyraźne głosy. Sprawdziła nawet, czy radio nie jest włączone.

Nie było.

Nadstawiała ucha.

Odgłos silnika furgonetki i opon na asfalcie przypominał głosy. A może to był wiatr, który gwizdał cicho, ilekroć trafił pod odpowiednim kątem w uchylone okno od strony kierowcy. A może szelest liści, maszerujących przez skrzyżowania...

Parking był pusty. Zajęła miejsce obok wejścia.

Półświadomie zarejestrowała automatyczne drzwi i stalowe poręcze. Gdy weszła, jej oczy zaatakowało oślepiające światło jarzeniówek.

–Szuka pani czegoś konkretnego?

Drgnęła, uświadamiając sobie, że stoi przy chłodziarce z mięsem. Jakimś cudem przeszła przez cały sklep. Nie pamiętała, jak ani kiedy to zrobiła. Spojrzała na młodego pracownika delikatesów.

–Na razie się rozglądam.

Wszystko, co działo się w środku nocy, nabierało dziwnego zabarwienia. Czyżby jednak spała? Czy przyjechała tu w jakimś sennym widzie? Ludzie nie są nocnymi stworzeniami, nie powinni funkcjonować po zachodzie słońca. Dostrzegła własne zniekształcone odbicie w chromowanej listwie lady chłodniczej. Popielatą skórę, ciemne sińce pod oczami.

Chłopak odszedł. Spojrzała z powrotem na mięso – i dostała ślinotoku. Złapała kilka kubeków i płaskich tacek i zaniósła je do kasy.

Dlaczego nie mogła mieć apetytu na lody i kiszzone ogórki jak większość ciężarnych? Kasjerka, skanując kody, komentowała jej zakupy.

–Przeszła pani na surowiznę, co? Ja zaczęłam tak karmić moje psy trzy miesiące temu i teraz aż miło popatrzeć na tę lśniącą sierść i błyszczące oczy. Oczywiście zbankrutuję, jeśli dalej będę im tak dogadzać. – Podała należną kwotę. – Jakiego ma pani psa? Rachel oderwała wzrok od kałuży krwi, która wyciekła na taśmociąg.

–Co?

–Psa. Jakiego ma pani psa?

–Ach. – Wyjęła kartę kredytową i podała ją kobiecie. – Mieszkańca. – Nie mogła uwierzyć, że kłamie, iż ma psa. – Ma trochę z owczarka. I może coś z collie. – Nie chciała mówić tej kobiecie, że całe to mięso kupuje dla siebie. Kobieta przesunęła kartę przez czytnik i zwróciła Rachel.

–Mieszkańca to mocne psy. Kiedy się hoduje wymyślne rasy, człowiek ma same kłopoty. Ślepotą, problemy z biodrami. I powinno się je uśpić, jeśli mają jakiś defekt. Nie wyobrażam sobie, że

mogłabym to zrobić.

–To by było straszne – przyznała Rachel, nie bardzo mogąc się skupić na rozmowie.

Kobieta podwójnie zapakowała kapiące mięso i wręczyła plastikowe siatki Rachel.

–Proszę poczekać. – Schyliła się i wyjęła spod kasy psie ciasteczko. – Trzymam je dla psów przewodników, ale proszę je dać swojemu psiakowi, kiedy wróci pani do domu.

Rozległ się szcęk automatycznych drzwi. Obie kobiety odwróciły się, ale nikogo nie zobaczyły.

–Wiatr zupełnie dzisiaj zwariował – powiedziała kasjerka. – A za każdym razem, kiedy włączam odkurzacz, wydaje mi się, że słyszę gadającą całą bandę ludzi.

Rachel przypomniała sobie radio czy raczej to, co z początku wzięła za radio.

W czasie drogi powrotnej do kostnicy czuła mocny zapach krwi. Jechała za szybko, ale ulice były puste. Sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniach wciąż działała, choć nie było żadnego ruchu. Zniecierpliwiona wcisnęła gaz i przejechała na czerwonym. Przez chwilę nasłuchiwała syreny i zerknęła we wsteczne lusterko, spodziewając się policji. Nic.

W domu wyjęła patelnię i postawiła ją na gazowej kuchence. Zdjęła wieczko z jednego z plastikowych pojemników i widelcem uniosła kawał wątroby. Płat mięsa rozwijał się, aż okazało się, że ma ze trzydzieści centymetrów długości i piętnaście szerokości.

Zaskwierczał, kiedy rzuciła go na patelnię.

Chwyliła pojemnik i podeszła do zlewu, by wylać zawartość. Nagle zmieniła zdanie, uniosła plastikowe wiaderko do ust i wypięła

krew.

Zdarzało jej się miewać przed okresem napady niekontrolowanego apetytu na czekoladę. Jeden batonik czy ciastko nigdy nie wystarczały. Głód, który czuła teraz, był podobny, tylko tysiąc razy silniejszy. Gdy poczuła intensywny, słonawy smak krwi, zapragnęła więcej.

Zgasiła gaz pod patelnią i zsunęła wciąż surową wątrobę na talerz. Odkroiła kawałek i włożyła do ust. Był gumowaty, ale chłód lodówki zniknął na ciepłej patelni. Przeżuła go i połknęła. Niezaspokojona, podniosła wątrobę gołymi rękami.

Szpadel Evana trafił na coś twardego. Pewnie kamień. Mężczyzna przysunął latarnię i odgarnął poruszoną ziemię. Czaszka, zmiażdżona uderzeniem szpadla. Kopiać ostrożnie dalej, odsłonił resztę ciała. Potem kolejny szkielet, tym razem mniejszy.

Znalazł masowy grób.

Rachel śniła dziwne sny, przeplatane obrazami Nieśmiertelnego. Obudziła się zdezorientowana, z ciałem mrowiącym od złowieszczego dotyku, który wydawał się równie rzeczywisty jak pokój i łóżko.

To pewnie przez ciężę.

Koszulę nocną miała przesiąkniętą potem. Kosmyki mokrych włosów kleiły się do szyi. Pościel była skotłowana i wilgotna.

Zapaliła nocną lampkę, zdjęła przepoconą koszulę i rzuciła ją na podłogę obok łóżka. Z szuflady wyjęła obszerny T-shirt i wciągnęła go przez głowę. Gdy chwyciła za brzeg koszulki, by ją obciągnąć, spojrzała w dół. Głośno wciągnęła powietrze.

Na jej brzuchu widniały dwie czerwone plamy, które wyglądały jak odciski dłoni. Bledły coraz bardziej, aż w końcu zupełnie zniknęły.

Rozdział 10

Alastair był pijany.

Nie był dumny z tego powodu. Dawniej miał problemy z alkoholem, które zaczęły się wkrótce po ujawnieniu się choroby Evana, ale ostatecznie wziął się w garść i pokonał nałóg. Teraz bał się, że na nowo otworzył tamę. Jednak picie było najmniejszym z jego zmartwień. Coś się działo – coś, co zaczęło się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ciało Nieśmiertelnego zostało przeniesione z miejsca, gdzie było przechowywane w tajemnicy, do muzeum.

Tak naprawdę można by uznać, że wszystko zaczęło się już wiele miesięcy temu od bandy dzieciaków i wariata, który uważał się za wcielenie Nieśmiertelnego. Właściwie można powiedzieć, że zaczęło się sto lat temu.

Zadzwonił telefon.

Niech sobie dzwoni, pomyślał Alastair.

Nie zamierzał odbierać, ale przypomniał sobie, że jest komendantem policji, i jeśli nie odbierze, ktoś w końcu zacznie dobijać się do jego drzwi. A tego by nie chciał.

Dzwoniący zameldował, że kilkoro ludzi w miasteczku widziało dziwne rzeczy. Nie chodziło o UFO, ale Nieśmiertelnego lub kogoś, kto wyglądał jak on, krążącego po mieście. Były też zgłoszenia, może nawet bardziej niepokojące, na temat szwendającego się po mieście typu ubranego w coś, co wyglądało jak ludzka skóra. To otrzeźwiło Alastaira.

Rozłączył się i natychmiast odebrał kolejny telefon od swojego zastępcy i asystenta, Briana Finna.

–Dostałem zgłoszenie z muzeum. Nieśmiertelny się poruszył. – Głos Briana był podszyty śmiechem, ale i odrobiną niepokoju. W końcu to Tuonela.

–Poruszył się? Co to znaczy?

–Nie wiem.

Alastair wstał z łóżka, napił się mocnej kawy, która stała w dzbanku od Bóg wie jak dawna, przepłukał gardło miętowym płynem do zębów, chlapnął na twarz trochę wody po goleniu, włożył do ust gumę i wyruszył do miasta. Jego zabiegi, by zamaskować zapach alkoholu, pomogły tylko trochę. Wciąż czuł od siebie nieprzyjemny odór, sączący się z porów skóry.

Kiedy dotarł do muzeum, słońce jeszcze nie wzeszło. Pod drzwiami stały zaparkowane dwa radiowozy. Uśmiechnięty młody policjant wpuścił go do środka. Z zażenowaną miną wymamrotał coś o wpuszczaniu w maliny. Nieśmiertelny stał w gablocie z pleksiglasu, czyli tam, gdzie powinien stać, i wyglądał tak, jak powinien wyglądać.

–Przepraszam, że ściągnąłem was tu bez powodu – powiedział nocny sprzątac.

Matthew Torrance był miłym gościem, ale miał problem z narkotykami. Wszyscy w mieście o tym wiedzieli, ale przymykali oko, bo facet był dyskretny i nie handlował. Człowiek robi, co może, żeby przetrwać. Żeby jakoś przejść przez życie. Niestety w tym przypadku narkotyki czyniły z Matthew niewiarygodnego świadka.

–Dałbym sobie rękę uciąć... – Matthew zawiesił głos i zawstydzony spuścił głowę.

–Dużo dziwnych rzeczy się dzisiaj dzieje – stwierdził Alastair, by jakoś rozładować atmosferę. – Coś wisi w powietrzu. – Powiedział pierwszą lepszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy, żeby facet lepiej się

poczuł, choć wiedział, że w jego słowach jest trochę prawdy. Matthew pokiwał głową.

–Słyszałem mruczenie. Gwar. Jakby gadała cała kupa ludzi. Nigdy się panu nie zdarzyło położyć wieczorem do łóżka i słyszeć ich tuż przed zaśnięciem? Jakby siedział pan na wielkiej, pełnej widowni. Kiedyś myślałem, że słyszę myśli innych ludzi, taką zbiorową świadomość. Człowiek dociera do tego miejsca, granicy między snem a jawą, i słyszy ich. Wtedy nawiązuje łączność. Ale teraz sam już nie wiem. Teraz się zastanawiam... – Zerknął na mumię.

W Tuoneli wszyscy byli spokrewnieni. Jak jakaś makabryczna dynastia z horroru. Większość mogła prześledzić swoje pochodzenie aż do mieszkańców ze Starej Tuoneli. A te raporty o Nieśmiertelnym chodzącym po mieście... Zbiorowa histeria.

Czasem Alastair postrzegał czas jako coś płynnego. Przeszłość zlewała się z przyszłością, i na odwrót. Czy mieszkańcy Tuoneli widzieli cienie przeszłości? Przeszłe wydarzenia, które rozgrywały się na nowo? Czy niespokojne duchy naprawdę błąkały się po mieście, szukając odpowiedzi na pytania, na które nikt im nigdy nie odpowiedział?

Alastair spojrział na podłogę wewnątrz gabloty. Wydawało mu się, że kurz został poruszony. Nie wspomniał o tym. Nic nie powiedział. Wyszedł z muzeum i pojechał do Starej Tuoneli.

Słońce już wstało, ale nie dosięgło jeszcze mrocznej, zasłoniętej górskim zboczem drogi prowadzącej do domu Evana. Mgła unosiła się kłębamii z mokrej ziemi i zalegała ciężko w zagłębieniach i dolinach, czepiając się niskiej roślinności.

Samochodu Evana znowu nie. było. Nagle Alastair przypomniał sobie, że wczoraj wieczorem wpadł do niego Graham. Znowu załała

go fala palącego wstydu.

Przed drzwiami leżały latarnia i oblepiony błotem szpadel – dowód nocnych wykopalisk Evana. Alastair ruszył w kierunku lasu wyznaczającego granicę Starej Tuoneli. Przeszedł górą przez bramę i ruszył wydeptaną ścieżką w las, czując, jak ciężka rosa wsiąka mu w nogawki spodni.

Wysokie sosny i topole, które nie zrzuciły jeszcze liści, zasłaniały słońce. Powietrze pachniało wilgotną ziemią, zdeptanymi roślinami i kompostem. Rozkładem i fermentacją. Życiem i śmiercią.

Wcześniejszy telefon z meldunkiem wyrwał go z pijackiego snu. Komendant zdawał sobie sprawę, że w muzeum nie był całkiem trzeźwy. Prawdę mówiąc, miał jeszcze sporo alkoholu we krwi. Teraz, gdy zaczynał odczuwać odstawienie, bolało go całe ciało. Głowa łupała jak diabli i było mu trochę niedobrze. Ale najbardziej wstydził się tego, że ma ochotę na kolejnego drinka. Wódkę popił piwem. Niemal czuł jej smak...

Zatrzymał się i oparł dłonie na kolanach, by złapać oddech, a także zwalczyć przerażenie, które mieszkało w jego sercu od czasu, kiedy wrócił do Tuoneli. Chciał spakować syna i wnuka i zabrać ich stąd jak najdalej, do innego miasta, gdzie szybko zapomnieliby o tym mrocznym, zgniłym miejscu.

Evan nigdy nie zgodzi się na wyjazd. Wiedział to. Mógł sobie marzyć o innym życiu dla syna, ale w głębi serca wiedział, że nic z tego nie będzie.

Wspiął się na szczyt ostatniego wzgórza i przystanął.

Przed nim rozciągała się mała, porośnięta lasem dolina, usiana rozpadającymi się szkieletami zabudowań.

Budynków, w których kiedyś mieszkali i pracowali ludzie. Teraz

były one zaledwie bezkształtnymi ruinami, pokrytymi mchem i bluszczem, zamkniętymi i zasłoniętymi przez roślinność, a jednocześnie przez nią pożeranyymi.

Doły.

Wszędzie.

Niektóre szerokie jak podstawa małego budynku. Inne mniejsze, mniej więcej wielkości grobu. Ile ich było? Setka?

Więcej? Jezu.

Jak jeden człowiek mógł przerzucić tyle ziemi? Po chwili w głowie Alastaira zaświtała myśl, która czaiła się tam już od dawna. Jego syn zwariował.

Alastair wrócił do domu i wszedł bez pukania. Wczorajsza jaceznica została posprzątana. Uznał to za dobry znak.

Tym razem nie wołał Evana. Po cichu przeszedł przez milczący dom i wspiął się na piętro.

Pokój Grahama był pusty, łóżko zaścielone.

Pomyślał, że to dziwne, iż chłopak wyjechał tak wcześnie rano. Dzieciaki lubią sobie pospać. Może przed szkołą umówił się z kolegami w Brzoskwince.

Nagle poczuł smród. Obrócił się i przyłożył dłoń do twarzy, by zakryć nos. Śmierć. Zapach śmierci.

A potem to usłyszał.

Znał ten dźwięk. Ciche bzyczenie much.

Z łomoczącym sercem, chory z niepokoju, zmusił się, by ruszyć naprzód, w kierunku drzwi Evana. W pokoju – jego syn. W łóżku.

Milczący i nieruchomy.

To, czego Alastair obawiał się od tylu lat, wreszcie nastąpiło. Evan nie żył. Akurat gdy ta przerażająca myśl wypełniła jego głowę, Evan

wydał cichy dźwięk i przekręcił się na bok. Spał, z białą, nagą ręką na kołdrze.

Ale muchy... Alastair wciąż słyszał muchy...

W pokoju było zupełnie ciemno, tylko pojedyncze igły światła przebijały się przez pęknięcia w ścianach i szpary między spaczonymi deskami.

Alastair podszedł bliżej po skrzypiącej podłodze. Namierzył źródło dźwięku po drugiej stronie łóżka. Gdy jego oczy przyzwyczyły się w końcu do ciemności, dostrzegł rój much wirujący wokół sterty ubrań.

Zrobił jeszcze krok.

Przycisnął pięść do ust.

To nie były ubrania.

Na podłodze przed nim leżała skóra. Cuchnąca, zgniła ludzka skóra.

Rozdział 11

Doktor Ted Jacobs jeździł głowicą aparatu USG po brzuchu Rachel. Oboje patrzyli na monitor.

–Wszystko w porządku – powiedział. Rachel się uspokoiła.

–Tu jest serce. – Wskazał palcem. – Widzisz? Cztery komory. Tu jest mózg i kręgosłup. Widzisz oko? Jest otwarte.

–Boże. A tu jest rączka.

–Nie mogę określić płci. Ma skrzyżowane nóżki. – Doktor Jacobs wyłączył ultrasonograf.

–Mam ochotę na dziwne potrawy i śnię mi się niepokojące rzeczy.

–To się często zdarza. Maggie też tak miała. – Wytarł żel z jej brzucha, wcisnął pedał stalowego kosza na śmieci i wrzucił do niego papierowy ręcznik. – Myślałem, że wyjechałaś z miasta.

Rachel obciągnęła bluzkę i wsparła się na łokciach.

–Próbowałam. Ale wiesz, jak to jest.

–Wszystkie drogi prowadzą do Tuoneli? – Roześmiał się. – Coś o tym wiem. – On też próbował wyjechać. Spędził dwa lata na stażu w Milwaukee, ale wrócił. – Potrzebujemy świeżej krwi. Inaczej niedługo po ulicach zaczną biegać ludzie z dwiema głowami i z płetwami zamiast stóp.

–Nikt nie chce się tu osiedlać.

–Mam nadzieję, że zwiększony ruch turystyczny ściągnie nowych mieszkańców i tchnie w miasto nowe życie. Do gabinetu zajrzała pielęgniarka. Podała Jacobsowi arkusz papieru i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

–Masz duży niedobór żelaza – powiedział Ted. – Poza tym

wszystko wygląda okay. Brałaś witaminy, które ci zaleciłem?

–Mogłam przegapić jedną czy dwie dawki. Mam straszną ochotę na mięso. – Nie zdobyła się na wyznanie, że chodzi o surowe mięso.

–To zrozumiałe, kiedy ciało odczuwa niedobór żelaza. Czulaś się ostatnio przemęczona?

–Tak, ale byłam zajęta. Przeprowadzką, czy raczej próbą przeprowadzki, a potem ciałem, które znaleziono za miastem. – Położyła rękę na brzuchu. – Martwię się o dziecko.

–Mówisz o swojej pracy? Nie masz się czym martwić, chyba że obcowanie ze śmiercią zaczęło ci nagle sprawiać dyskomfort, jakiego nie czulaś przedtem. Wiele matek pracuje do dnia porodu.

–Nie, sekcje mi nie przeszkadzają. Chodzi o... całokształt. Jestem zestresowana. Martwi mnie to.

–To nie moja sprawa i mówię to bardziej jako twój przyjaciel aniżeli lekarz, ale czy powiedziałaś już ojcu?

–Nie. – Usiadła na leżance.

–A zamierzasz powiedzieć? Nie twierdzę, że nie poradzisz sobie doskonale sama z wychowaniem dziecka, ale uważam, że ta tajemnica może być po części źródłem twojego stresu. Poza tym, gdyby kobieta nosiła moje dziecko, chciałbym o tym wiedzieć.

–Zamierzam mu powiedzieć.

–To już trzeci trymestr – przypomniał jej.

–To nie takie proste. Już kilka razy chciałam z nim porozmawiać, ale nie odpowiada na moje telefony. – Nie była w związku z ojcem dziecka. To nie był romans, który nie wypalił. To po prostu Tuonela robiła to, co zawsze: mieszała ludziom w głowach. – Zgadzam się, że ma prawo wiedzieć, ale czuję, że niewiele go to obejdzie.

–Wiesz, co najbardziej pamiętam ze szkoły, jeśli chodzi o ciebie?

– Uśmiechnął się. – Jaka byłaś nieustraszona. – Jego uśmiech się zmienił. Teraz była w nim troska. Jakby wiedział, że Rachel coś ukrywa. – Teraz widzę w twoich oczach strach.

Tak, bała się. Przerazało ją więcej rzeczy, niż myślał.

–Cięża zmienia kobietę. Teraz martwię się o wszystko.

Chronić dziecko. Muszę chronić dziecko, pomyślała. Nie dopuszczę, żeby ludzie uważali je za wampira.

Rozdział 12

Teraz wiedział, co czuje morderca. Ślełą panikę. Potrzebę jak najszybszego pozbycia się ciała, zlikwidowania dowodu zbrodni. Natychmiast. Był to brak logiki, który stwarzał pozory logicznego myślenia.

Ukryj ją. Pozbądź się jej. Udawaj, że to się nigdy nie stało.

Alastair wyjechał z miasta i nie zatrzymywał się. Przejechał osiemdziesiąt kilometrów, czując, jak smród sączący się z bagażnika wypełnia samochód. Fetor tak silny, że aż palił w gardle, wżerał się w jego ubranie.

Za słupkiem osiemdziesiątego kilometra zaczął szukać ustronnego zakątka przy bocznej drodze. Porzuci skórę w jakimś nieuczęszczanym miejscu. Może wrzuci ją do rzeki albo jeziora. Woda jest dobrym sposobem na zatarcie śladów. Ale teraz, kiedy jechał już ponad godzinę, zaczął się uspokajać i myśleć jaśniej. Porzucenie skóry było zbyt ryzykowne. Potrzebował czasu.

Zawrócił i ruszył do domu. Myśl.

Przestępcy, którym najdłużej udawało się ukrywać swoją zbrodnię, nie panikowali, nie pozbywali się dowodów w pośpiechu. Trzymali ciało gdzieś blisko.

Wrócił do domu i zaparkował samochód w wolno stojącym garażu. Dom stał co prawda w obrębie miasta, ale był otoczony lasem, który Evan nazywał swoją strefą demarkacyjną.

Alastair poszedł do domu i wrócił do garażu z kilkoma dużymi czarnymi workami na śmieci. Upchnął skórę do jednego z nich, po czym okrył ją jeszcze dwiema warstwami plastiku. Kiedy skończył,

okleił pakunek taśmą i przylepił na nim kartkę z napisem „Jeleń”. Wniósł paczkę do domu, zaniósł do piwnicy i upchnął na dnie zamrażarki, przykrywając zamrożoną dziczyzną.

Ojciec zrobi wszystko, żeby chronić syna.

Alastair wziął prysznic i wrzucił ubranie do pralki. Wciąż czuł skórę. Smród wzał się w jego zatoki. Zadzwoił telefon. W rzece znaleziono ciało. Czyżby Evan znowu zaatakował?

Samochód Alastaira cuchnął śmiercią. Pootwierał więc wszystkie okna i pojechał nad rzekę. Mógł zahaczyć o komendę i przesiąść się do służbowego auta, ale nie chciał zostawiać śmierdzącego pojazdu na parkingu.

Zaparkował przecnicę wcześniej od miejsca zdarzenia.

Koło przystani stał tłumek ludzi. Furgonetka koronera była już na miejscu. Dwa radiowozy i o wiele za dużo gapiów.

Odszukał w tłumie Rachel Burton.

–Gloria Raymond – poinformowała Rachel.

–Przyczyna śmierci?

–Wygląda na zwyczajne utonięcie. Będziemy wiedzieć więcej po autopsji. Jeden z mundurowych dostrzegł Alastaira i podszedł.

–Sąsiedzi mówią, że brakowało jej piątej klepki od czasu śmierci męża.

–Miała skłonności samobójcze? – Błagam, niech to będzie samobójczyni.

–Nie wiemy, ale była w depresji. Alastair potarł podbródek.

–Mówicie, że to się stało ostatniej nocy? To by wyjaśniało zgłoszenia, że widziano kogoś błakającego się po mieście. To musiała być nieszczęsna pani Raymond.

Na miejsce podjechał kolejny radiowóz. Ze środka wysiadł

funkcjonariusz.

–Sprawdziliśmy dom. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Żadnych śladów włamania. W środku wszystko wydaje się nietknięte. Wygląda na to, że po prostu wyszła z domu i przyszła nad rzekę.

–Gdzie mieszkała? – zapytał Alastair.

–Na rogu Fairmont i Adamsa.

–To kawał drogi dla kogoś w jej wieku.

–Ale zgadzałyby się – wtrąciła się Rachel. – Jej stopy są paskudnie pokaleczone. Pewnie całą drogę szła bosą, biedaczka.

–Smutna sprawa – stwierdził Alastair, choć w środku rozpierała go radość. To nie Evan. Nie on to zrobił.

–Nie rozumiem – powiedział młody policjant. – Jeśli chciała się zabić, dlaczego nie zrobiła tego w domu? Po co iść taki kawał? Mogła przynajmniej podjechać samochodem.

–Nie wiemy, czy popełniła samobójstwo – przypomniała mu Rachel.

–Może lunatykowała. Albo cierpiała na demencję.

–Czy mógłbym zerknąć na ciało, zanim ją zapakujecie do samochodu – poprosił Alastair.

Podszedł z Rachel do noszy, przy których stali asystent koronera i dwóch policjantów. Rachel rozsunęła czarny worek. Ciało kobiety było owinięte poskręcaną i podartą koszulą nocną.

–Kawałek koszuli znaleźliśmy na ogrodzeniu – powiedziała Rachel.

–Tam.

–Przeszła przez siatkę? – Alastair pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Nie do wiary.

Oczy Glorii Raymond były otwarte, przesłonięte jakby białą błoną. Ale jej usta uśmiechały się słodko. Alastairowi przeszły po plecach ciarki.

–Dlaczego jej twarz tak wygląda? Stężenie pośmiertne?

–Nie, nie jest stężała. – Rachel patrzyła na kobietę. – Wydaje mi się, że jest po prostu szczęśliwa. Skóra w zamrażarce, rozległ się głos w głowie Alastaira. Ludzka skóra w zamrażarce.

Co on sobie wyobrażał? Co on wyprawiał?

–Dobrze się czujesz? Alastair zamrugął.

Rachel przyglądała mu się uważnie. Czyżby wyczuła smród? Czy poczuła od niego śmierć?

Nosił swoje koszarne przestępstwo jak ubranie, jak flagę. Pewnie wystarczyło na niego spojrzeć, by zorientować się, co zrobił. To było od niego.

Wstyd przygniatał go do ziemi. Był policjantem, na miłość boską. Komendantem policji.

Samobójstwo wydało mu się całkiem niezłym pomysłem. Chciał po prostu, żeby to wszystko się skończyło. Ale nie mógł zostawić swojego syna. Nie mógł zostawić Grahama.

–Alastair? Dobrze się czujesz? - Wciąż nie odpowiadał.

–Wstałem bardzo wcześnie. Mieliśmy mały problem w muzeum. I jeszcze nic dzisiaj nie jadłem. Przyglądała mu się z troską.

Był czas, kiedy był pewien, że Rachel zostanie jego synową. Ale wszystko się zmieniło. Przyszła choroba. Między innymi. Mimo to traktował Rachel jak córkę. Jej ojciec był jego przyjacielem. Najlepszym przyjacielem. Co powiedziała by Seymour, gdyby wiedział, co Alastair zrobił? Nie pochwaliby tego. Rachel również.

–Ja też jeszcze nie jadłam. Co powiesz na śniadanie? –

Uśmiechnęła się. – Ja stawiam.

Rozdział 13

Ostatniej nocy sprawy wymknęły się spod kontroli.

Wiedziałam o tym aż za dobrze. Za dużo wypiałam. Teraz był ranek i miałam koszmarne kaca, a czekał nas cały dzień pracy.

Pewnie to znacie. Te pierwsze minuty, kiedy człowiek wstaje i myśli, że może jednak mu się upiecze, że może nie będzie się czuł tak fatalnie. Kwadrans później okazuje się, że lepiej było nie wyłazić z łóżka.

Reszta ekipy wyszła już z zajazdu i czekała na mnie na zewnątrz. Zeszłam po schodach, jakbym była ze szkła. Moja skóra wydawała się za ciasna. W połowie schodów zalała mnie fala gorąca i zatrzymałam się z ręką na poręczy.

Wzięłam kilka głębokich oddechów i ruszyłam dalej.

Chłodne poranne powietrze uderzyło mnie w twarz i przez sekundę myślałam, że może jakoś przeżyję.

Samochód czekał zaparkowany przy krawężniku. Myślałam, że Graham sobie pojechał.

Nie.

Stał na chodniku, jakby czekał na zaproszenie, żeby jechać z nami, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie dżinsów, z ramionami przygarbionymi dla osłony przed porannym wiatrem, który zwiewał mu na oczy kręcone włosy.

Serce mi zmiękło.

Ale ślicznota. Aż za śliczny. I za młody. Choć wydawało się, że ma więcej niż siedemnaście lat. Tak odważnie spoglądał ludziom w oczy. Nie patrzył w ziemię ani nie odwracał wzroku. Miał dziewczynę, która

wyjechała za granicę. Przez to wydawał się jeszcze bardziej pociągający. Uwikłanie w związek, celibat – to zawsze było wyzwanie.

Czasami naprawdę siebie nienawidzę.

–Mógłbym pomóc – powiedział, kiedy nikt nie zwrócił na niego uwagi. – Oprowadzić was po mieście. Siedząca na przednim fotelu pasażera Claire podniosła poskładaną płachtę papieru.

–Mamy mapę.

–Tak, ale nie znacie ludzi. Ja znam.

–Nie powinieneś iść do szkoły?

Przypominanie mu, że jest dzieckiem, było okrutne, ale ktoś musiał to zrobić. Nie kochaliśmy się, ale i tak czułam się dziwnie, że został na noc. Reszta zachowywała się, jakby coś wiedziała. Nie wiedzieli nic.

Prawda była taka, że był nieletni. Niewiele ode mnie młodszy, ale nieletni. Nie potrzebowałam dodatkowych komplikacji. W tej chwili chciałam tylko znaleźć coś tłustego do jedzenia. Zaklinałam go telepatycznie: Proszę cię, idź sobie.

Jego czarny samochód stał zaparkowany tam, gdzie go wczoraj zostawił. Powinien do niego wsiąść i odjechać. Tak byłoby dla niego lepiej. Dla mnie też. Po prostu odjedź. Graham wzruszył ramionami.

–Nie zawsze chodzę do szkoły. Poza tym nauczę się więcej, spędzając dzień z wami. Stewart westchnął i zabębnił palcami w kierownicę.

–Znam jednego dziadka – pochwalił się Graham. – Zwykle przesiaduje w knajpie nad rzeką. Opowiada historie o Starej Tuoneli.

–Myślałam, że ludzie nie opowiadają o Starej Tuoneli. – Wrzuciłam chlebak na tylne siedzenie i wsiadłam do vana.

–Nikt nie mówi o Starej Tuoneli. Niektórzy twierdzą, że ich

przodkowie poprzysięgli milczenie, czy jakoś tak. Ale matka tego gościa była szurnięta i opowiadała mu różne rzeczy. Rzeczy, o których nie mówi nikt inny.

Pozwoliliśmy mu jechać.

Poprowadził nas do obskurnego baru nad rzeką, przy wąskiej, pełnej dziur ulicy. Przesiadawali tu wyłącznie miejscowi. Było to jedno z tych miejsc, gdzie wszyscy gapią się na ciebie, kiedy przekraczasz próg. Wnętrze pachniało podłą kawą, jajecznicą i syropem klonowym. Stoliki pamiętały lata sześćdziesiąte albo siedemdziesiąte XX wieku. W wystroju dominowały radosna czerwień i biel. Duże okno wychodziło na rzekę. Wielki, czerwony napis głosił „Bar u Betty”. Obok widniały marnie narysowane filiżanka kawy i talerz naleśników. Dziadka nie było. No tak. Pewnie Graham wymyślił całą tę historię, żebyśmy mu pozwolili jechać z nami. Irytujące. Usiedliśmy i zamówiliśmy śniadanie, mając nadzieję, że dziadek się pokaże. Kiedy zjedliśmy, nie czułam się już tak fatalnie, ale Pan Kopalnia Tajemnic nadal się nie pojawił.

Zanim wyszliśmy, wyjęłam kamerę i nakręciłam kilka ujęć wnętrza baru. Na dworze Graham trącił mnie łokciem.

–Tam jest. – Spojrzałam za jego wyciągniętym palcem.

Stary, najwyraźniej bezdomny mężczyzna siedział na ławce w cieniu, obserwując promienie słońca tańczące na rzece. Był to ten sam człowiek, który z transparentem protestował przeciwko otwarciu muzeum. Claire przedstawiła się i opowiedziała mu o filmie dokumentalnym, który kręca.

Był naprawdę stary. Na moje oko po osiemdziesiątce. Miał na sobie grubą dżinsową kurtkę. Jego dłonie, pokryte plamami wątrobowymi, spoczywały na główce drewnianej laski. Brakowało mu

kilku zębów, jedno oko miał zasnutę bielmem. Na czubku jego głowy sterczała przekrzywiona brudna, czerwona czapka z reklamą miejscowego sklepu żelaznego. Miał na imię Harold.

Nie chcę się zestarzeć. Czuję okropny lęk przed starością.

Bez wahania zgodził się na kręcenie. Miałam wątpliwości, czy rozumie, co to znaczy. Spojrzał na Claire.

– To ty jesteś wybraną? – Kiedy nie odpowiedziała, zwrócił się do mnie. Poczułam na plecach ciarki. – To ty? – I do Grahama – To ty? Ty jesteś wybranym?

Nikt z nas nie wiedział, co począć z dziadkiem. Graham opuścił ręce, które trzymał skrzyżowane na piersi, i podszedł bliżej, by włączyć się do rozmowy.

–O czym mówisz?

W moim mózgu błysnęło nagle wspomnienie z ostatniej nocy. „Zabiłem człowieka”. – „Wnet odmienił swoje kształty, przybrał postać całkiem obcą – wyrecytował Harold. – Czarną wstęgą pomknął w morze niczym wydra mknie w turzycę; pełzał jak żelazny robak”.[\[1\]](#)

–Cytuje *Kalevalę* – wyjaśnił Graham. – To jego konik.

Claire posłała Grahamowi zirytowane spojrzenie i odciągnęła mnie na bok. Nie puszczając mojego rękawa, powiedziała:

–Nic z tego nie będzie. Facet najwyraźniej jest stuknięty. Ale nie chcę urazić jego uczuć czy zdenerwować go.

Poudawaj, że go kręcisz przez minutę czy dwie, a potem nas dokoń. Będziemy nad rzeką. Chcę, żebyś zrobiła trochę wprowadzających plenerów, kiedy tu skończysz. – Potruchtała po trawie, kiwając na Iana i Stewarta. Graham i ja zostaliśmy z dziadkiem.

Zdjęłam osłonę obiektywu i włączyłam kamerę.

–Zdaje się, że zostaliśmy sami. – Pomyślałam, że równie dobrze mogę naprawdę nagrać ten wywiad. Zawsze mogłam wykorzystać taśmę jeszcze raz, gdybym uznała, że nie chcę zachowywać materiału ze staruszką. Graham przyniósł sobie krzesło i postawił naprzeciwko ławki. Usiadł rozluźniony, z łokciami na kolanach i splecionymi palcami.

–Opowiesz nam te historie, które opowiadała ci mama? – zapytał. – O Starej Tuoneli? – Najwyraźniej był przyzwyczajony do rozmów z ludźmi, którzy mieli nierówno pod sufitem.

–Powiedz nam o dniu, w którym wszyscy odeszli – zachęcił Harolda. Mężczyzna wydawał się lekko spłoszony.

–Chcecie o tym słuchać? – Przyłożył palec do ust. – Wiecie, że zabroniono im mówić o tym dniu.

–To było dawno temu. Już mi o tym opowiadałeś. Siedzieliśmy w tym samym miejscu.

–Naprawdę? Nie pamiętam.

–Mógłbym sam powtórzyć to, co mówiłeś, ale wolałbym to usłyszeć od ciebie. Ty to lepiej opowiadasz.

–Zamknęli ją. W tym dużym domu za miastem. No wiecie.

–W szpitalu psychiatrycznym?

–Właśnie. Chodziliśmy ją odwiedzać. Ja i moja siostra, kiedy byliśmy mali. Nasza mama siedziała w ogrodzie, słońce połyskiwało w jej złotych włosach, wyglądała tak ładnie i pachniała kwiatami... Ale chyba przypominaliśmy jej o przeszłości. Ilekroć przychodziliśmy ją odwiedzić, robiła się smutna i wszystko jej się plątało. Zaczynała mówić o Starej Tuoneli. Jakby nie mogła się powstrzymać. Jakby musiała to z siebie wyrzucić. Nie miałam czasu rozstawić statywu. Klęczałam na ziemi, starając się trzymać kamerę możliwie

nieruchomo.

– Powiedziała mi, że pochowali mnóstwo ludzi w jednym grobie - ciągnął Harold. – Matki i dzieci. Po prostu wykopali wielką dziurę, wrzucili ich i przysypali ziemią. Graham spojrział na kamerę, a potem znów na Harolda.

– Co się stało ludziom z masowego grobu? Jak umarli?

– Moja matka była wtedy małą dziewczynką. Miała może z siedem lat. Tamci wymordowali jej kolegów. Ona schowała się pod łóżkiem, ale wszystko słyszała. – Wargi mu drżały. Do oczu napłynęły mi łzy i musiałam zamrunąć, by widzieć wyraźnie.

– Potem patrzyła na pogrzeb. – Prychnął. – Jeśli można to tak nazwać. Pewnie nikt nie zwrócił uwagi na dziecko. Mówiła, że po prostu zwalili ciała do wielkiego dołu. Zaraz potem wszyscy się wyprowadzili. Opuścili Tuonelę. Ktoś zabił Manchestera. Jakaś kobieta, mówiła moja mama. Jakaś Florence. Zawsze kiedy opowiadała mi tę historię, widziałem w jej oczach strach. A najbardziej mnie wścieka, że nikt jej nie wierzył. Mówili, że jest wariatką. Spojrzął w przestrzeń, na chwilę odpływając.

– „Młodzieńcy powstają. Mężowie wychodzą na świat”.

– Co się stało potem? – zapytał Graham, naprowadzając staruszkę z powrotem na temat.

– Jej strach nigdy nie minął. Umarła z nim. Poszedłem ją zobaczyć w domu pogrzebowym. Została skremowana. Zawsze chciała zostać skremowana. „Nie wrzucajcie mnie do dołu”, mówiła. Ale nawet przed kremacją wystawiają nieboszczyków na pokaz. Podniosłem jej powieki. Musiałem spojrzeć jej w oczy. Wiecie, że je zaklejają? Te powieki, znaczy? Nie wiedziałem o tym i rozdarłem skórę. Ale musiałem wiedzieć, czy strach zniknął. Przełknęłam ślinę. Jezu.

–I zniknął? – szepnął Graham. Harold wbił w niego oczy.

–Nie. – Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy dziadek zaczął myśleć o czymś innym. – Nie ma żadnych zapisków o tych biednych ludziach pochowanych w wielkim dole. – Teraz był pobudzony. – Chcieli zapomnieć, że to się kiedykolwiek stało. Chcieli się wynieść i zacząć od nowa. Udawać, że tamci ludzie nigdy nie zginęli. Udawać, że Stara Tuonela nigdy nie istniała. Ale ja ich czuję. Wy nie? – Spojrzał mi prosto w oczy. – Czuję, jak powstają. Widziałam, jak wpatruje się we mnie przez obiektyw.

Coś było nie tak, cholernie nie w porządku. Wszystko było dziwnie wypaczone, jak cyfrowy obraz, który uległ zniekształceniu. Nagranie wideo nie pokazuje prawdy. Zdjęcie nie pokazuje prawdy.

Czy prawdę w ogóle da się ukazać w ułamku sekundy zatrzymanym w kadrze? Czy prawdę da się ukazać w pikselach?

Mimo dziwnej atmosfery czułam radosne podniecenie na myśl o zdjęciach, które właśnie kręciłam. O zdjęciach, o których Claire nic nie wiedziała.

Może ten rok będzie dla mnie przełomowy. Może wreszcie uporządkuję swoje porąbane życie? Do tej pory nie bardzo mi to wychodziło. Możliwe, że stoję na progu czegoś ważnego. Czy zdjęcia, które właśnie kręcę, sprawią, że w moim życiu nareszcie zaczniesz coś dziać?

–To jak mrowienie na języku. – Harold nie dawał za wygraną. – Jak wiatr prześlizgujący się po skórze, a właściwie tuż nad nią. – Przesunął dłonią nad przedramieniem, pokazując, o co mu chodzi. – Nie czujesz ich?

–Nie. – Na chwilę prawie uwierzyłam, że jest normalny. Że to, co mówi, jest prawdą. A dziewczynka? Samotna dziewczynka w lesie?

–Nie wierzę ci – powiedział. Uniosłam głowę i spojrzałam mu w twarz bez pośrednictwa kamery.

–Dlaczego miałabym kłamać?

–Bo całe to miasto zostało zbudowane na kłamstwie i oszustwie. Chodnik pod twoimi stopami? Kłamstwo. – Wskazał Grahama. – On? Kłamstwo.

–Ja nie jestem stąd – wyjaśniłam. To powinno mi wystarczyć za ochronę, utrzymać na dystans to... cokolwiek to było. – Ja tu nie mieszkam.

–Nie musisz być z Tuoneli, żeby słyszeć szeptu. Nie musisz być stąd, żeby dotknęło cię to, co tam jest. Czy kobieta, która umarła przedwczoraj, była stąd?

–Zabiły ją zwierzęta.

–Jesteś pewna?

Jakim cudem wywiad zmienił się w rozmowę poza kamerą?

–Jasne, tak mówią ludziom. I pewnie sami też chcą tak myśleć. Ale to było coś ze Starej Tuoneli. Duchy, które burzą się, że Nieśmiertelny dostał w mieście honorowe miejsce. Nie obdarza się honorami masowego mordercy, człowieka, który zabijał niewinne kobiety i dzieci.

–Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek obdarzał go honorami. Po prostu jest wystawiony na pokaz.

–Ludzie, których zabił, nie mieli nawet przyzwoitego pogrzebu. Nikt nawet nie odnotował, że umarli. – Spojrzał w dal. – A tamto? – Wskazał łaską tłum zbierający się nad rzeką. – Dziś rano znaleziono w rzece Głorię Raymond. Ludzie mówią, że miała uśmiech na twarzy. I że jej oczy były szeroko otwarte, jakby wpatrywała się w coś nie z tego świata. Nadal uważasz, że wszystko jest w porządku.

Zamknął powieki.

–„Przyszło samo, samiusieńkie, ciemną nocą, potajemnie, niesłyszane przez podłego, uszło oczom, nikczemnego”.

–Wciąż cytował *Kalevalę*...

Zostawiliśmy dziadka i ruszyliśmy przez szeroką łąkę trawy, by odszukać Claire i resztę.

Nasza wycieczka nagle nabrała dla mnie sensu. Serce zabiło mi szybciej. Wczoraj nie miałam przyszłości, a dziś ją widziałam. Mogłam to zrobić. I to dobrze. Mogłam zrealizować własną wizję, zamiast pomysłów Claire.

Złapałam Grahama za rękę. Zatrzymał się i odwrócił, zaskoczony.

Wiedziałam, że mu się podobam, chociaż powiedział mi, że ma kogoś. Nie należę do dziewczyn, które wykorzystują taką wiedzę, by osiągnąć cel. Nie cierpię lasek, które to robią.

–Musisz mi umożliwić wywiad z twoim tatą.

Odrzuciło go jak od węża. Widziałam, że jest zirytowany, iż poruszyłam ten temat, i rozczarowany, że chcę go wykorzystać po tym, jak zbrataliśmy się przy piwie i spaliśmy w jednym łóżku.

–Proszę cię. – Patrzyłam mu błagalnie w oczy. Chciałam, żeby widział, jak bardzo mi na tym zależy.

Miałam ochotę krzyknąć: Nie wiesz, jaka byłam zagubiona. Jaka rozbita.

Błagałabym, gdybym musiała. Nie zawahałabym się.

–Proszę cię. – Zacisnęłam mocniej dłoń. Rozpaczliwy uścisk przekazywał moją desperację... i może coś więcej.

Może obietnicę.

W końcu się złamał.

Więc tak to się robi. Po prostu.

Tak. Czasami naprawdę siebie nienawidzę.

Rozdział 14

Nie wyobrażam sobie tej drogi zimą – powiedziała Kristin. – Jak dojeżdżacie do domu, kiedy pada śnieg?

Samochód zarzucił tyłem. Graham zwolnił tak, że teraz ledwo się toczyli.

–Nie wiem. Nie mieszkałem tu w zimie.

Nagle uświadomił sobie, że cieszy go perspektywa przedstawienia Kristin Evanowi. Po ostatnim numerze ojciec zasłużył sobie na niespodziewanego gościa. Niech Kristin poprosi go o wywiad. Graham miał powyżej uszu chronienia go. Evan potrafił mówić sam za siebie. Poza tym przyda im się towarzystwo. Obecność w domu kogoś trzeciego może podziałać jak bufor i sprawić, że Evan będzie w mniej wrogim nastroju.

Samochód powoli wspinał się po kamienistej, porytej koleinami drodze. Kristin włączyła kamerę. Był wczesny wieczór. Zrobiło się ciemno, ale jeszcze nie czarno, jak w środku nocy. Przed ostatnim zakrętem Graham zatrzymał samochód.

–Wyłącz to. Nie chcę, żebyś filmowała dom bez jego zgody. Opuściła kamerę.

–Wyłącz – powiedział Graham, przypominając sobie jej podchody w muzeum. Westchnęła i wyłączyła sprzęt.

–Zakładam nawet osłonę. – Usłyszał pstryknięcie. – Widzisz? Dodał lekko gazu.

–Nie, ale wierzę ci na słowo.

Przez całe popołudnie padało z przerwami, a teraz robiło się mgliście. Graham włączył długie światła, ale to tylko pogorszyło

widoczność, więc z powrotem przełączył na krótkie. Przejechali płytki, kamienisty strumień, pokonali ostatni zakręt i przy dźwiękach rżącego silnika podjechali pod górę. Graham zaparkował przed okazałym budynkiem.

Ani jednego światła.

Witamy w domu.

Za każdym razem, kiedy wracał do niszczonego dworku na obrzeżach Starej Tuoneli, czuł strach, płynący z niewiedzy, jakie лихо zastanie, kiedy przestąpi próg. Czy Evan będzie starym Evanem, czy może nieludzko zmęczonym, otępiałym furiatem?

Grahama niepokoiły też inne rzeczy. Nieokreślone i niewyjaśnione, czające się wszędzie. W ścianach, w ziemi, ale głównie w lesie zaczynającym się na skraju polany, lesie, który skrywał Starą Tuonelę i jej sekrety.

Sekrety, które Evan wykopywał z ziemi.

Kiedy Graham mieszkał z matką, nauczył się, że wystarczy dać sobie chwilę na ochłonięcie, by sprawy wróciły do normy. Wystarczyło przez jakiś czas trzymać się z daleka albo nie rzucać matce w oczy, a kiedy znowu zaczęła go zauważać, po szale i hysterii nie było śladu. Wszystko szło w zapomnienie.

Zresetować się.

Lubił to.

Jednak Evan nadal był zagadką.

Mieszkali razem dość krótko. Do niedawna ojciec nawet nie wiedział o jego istnieniu. Graham nie nauczył się jeszcze, jak rozgrywać śliskie sytuacje. Nie rozgryzł, czego potrzeba do spacyfikowania tego konkretnego dorosłego.

Gdy już to zrobi, wszystko jakoś się ułoży.

Jego komórka zapiknęła, informując, że dostał SMS. Wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz.

Isobel.

Czasami komórka miała tutaj zasięg, a czasami nie. Wiadomości przechodziły łatwiej niż połączenie telefoniczne. „Anglia jest zajefajna! Dzisiaj zwiedzaliśmy londyńską Tower. Jutro idziemy do pałacu. Może wypijemy herbatkę z królową”.

Herbatka. Z królową. Kontrast z szambem, w którym tkwił w tej chwili Graham, był porażający.

Wiadomość od Isobel była najlepszym dowodem na to, że poza Starą i Nową Tuonelą toczyło się życie. Toczyło się bez niego.

Zaraz po wyjeździe Isobel pisała do niego kilka razy dziennie. Teraz pisała co parę dni. Niedługo w ogóle przestanie.

Plask.

Zamknął telefon i schował do kieszeni, nie odpowiadając.

–Twoja dziewczyna? – zapytała Kristin.

–Nie.

Nie chciał z nią o tym gadać. Spędzając czas z Kristin, miał poczucie winy, ale sprawiało mu to również przyjemność. To trochę jak z waleniem głową w ścianę, kiedy ma się migrenę: ból uderzenia sprawia, że człowiek na chwilę zapomina o migrenie. Isobel zajadała herbatniki w Anglii, a on włączył się z jakąś dziwaczką. Nawet nie był do końca pewny, czy lubi Kristin.

–Poczekaj tutaj – powiedział. – Sprawdzę, czy możesz wejść. – Otworzył drzwi auta, po czym zatrzymał się jeszcze na chwilę. – Żadnego filmowania.

–Obiecuję.

–Mówię poważnie.

–Nie obrażaj mnie. Jestem zawodowcem, a nie jakimś paparazzim.

–To samo mówią paparazzi.

Kiedy zrobił się taki zgorzkniały? Nie był zgorzkniały, nawet kiedy jego matka jeszcze żyła i tłukła go, ile wlezie. Ale wtedy wierzył, że wszystko zmieni się na lepsze, kiedy pozna tatę. Że przy nim będzie miał normalne życie. Był pieprzonym kretynem. Jego ojciec miał nierówno pod sufitem, a jego dziewczyna była na drugim końcu świata i piła herbatkę z cholerną królową Anglii. I nie wróci. Nie zamierzał się łudzić. Nie chciał iść przez życie jako idiota. Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę domu praktycznie na oślep. Oczy miał szeroko otwarte, ale nie widział nic poza ciemniejszymi zarysami krzaków. Znowu padało.

Krople były tak lekkie, że padały bezszelestnie. Ich obecność zdawała się jeszcze bardziej zacieśniać świat wokół Grahama. Chłopak miał wrażenie, że nie istnieje nic poza jego najbliższym otoczeniem, tym, co na wyciągnięcie ręki.

Podszedł do domu od tyłu. Kuchenne drzwi nie były zamknięte na klucz. Nieraz suszył o to głowę Evanowi.

Wymacał włącznik i zapalił światło. Jego spojrzenie natychmiast powędrowało na podłogę, w miejsce, gdzie leżała jajecznicza.

Posprzątane.

Nie jest źle.

Próbował poruszać się po cichu, ale dom był stary i podłogi skrzypiały. Na piętrze drzwi do sypialni Evana były uchylone. Pchnął je, krzywiąc się na hałas.

–Evan? – szepnął w ciemność.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wycofał się, zapalił światło w korytarzu i jeszcze raz zajrzał do sypialni. Łóżko było puste.

Siorb, siorb. Jeszcze racuszka do herbatki, moja droga? Och, dziękuję, Wasza Wysokość. Ależ proszę, nie krępuj się. Powinien pogodzić się z faktem, że jego życie nigdy nie będzie normalne, nieważne jak bardzo by tego pragnął. Że choćby zresetował się tysiąc razy, zawsze wszystko wróci do domyślnego stanu kompletnego popieprzenia. Miał ochotę położyć się już do łóżka. Bolały go mięśnie, a jego skóra wydawała się za ciasna, jak zawsze, kiedy był niewyspany. Jutro musi iść do szkoły. Nie może przebumelować ostatniej klasy. Jeśli nie będzie miał dobrych ocen, przepadnie mu szansa na stypendium. A jedyną rzeczą, na jakiej mu teraz zależało, był college – bo był daleko. Graham od zawsze szukał drogi ucieczki.

Wrócił do kuchni i odszukał latarkę. Ruszył do Starej Tuoneli, po drodze zatrzymując się przy samochodzie. Palila. W samochodzie. W aucie Evana.

Graham widział, jak koniec papierosa rozżarzył się i oświetlił jej twarz, kiedy dziewczyna się zaciągnęła. Evan miał węch jak pies, zabije Grahama. Mimo to Graham nie zamierzał jej prosić, by wysiadła. Nie chciał, żeby się tu szwendała. Otworzył drzwi samochodu i schylił się.

–Niedługo wrócę. Zaczekaj tutaj. – i ruszył do Starej Tuoneli. Brama była lekko uchylona.

Graham się zatrzymał. Da radę?

Nie chodził tą ścieżką od czasu tamtych strasznych wydarzeń. Może powinien dać sobie spokój. Wrócić do samochodu i odwiedzić Kristin do Tuoneli.

Deszcz gęstniał, plaskając cicho o opadłe liście. Dźwięk się nasilał, aż Grahamowi zaczęło się wydawać, że dochodzi z wnętrza jego głowy. Czy Evan naprawdę tam jest i kopie, jak zwykle? W lejącym

deszczu?

Do diabła. Graham miał dość roli dorosłego w tym układzie. Dlaczego ktoś inny nie mógł przez chwilę побыć dorosłym? On chciał być nastolatkiem, póki jeszcze nim był. A czas uciekał.

W głębi duszy wiedział, że i tak jest na to za późno, co nie zmieniało faktu, że czuł żal.

Zaczerpnął głęboko powietrza i przeszedł przez bramę. Starając się nie myśleć o tym, co robi, pospiesznie ruszył błotnistą ścieżką, ślizgając się i potykając, aż dotarł pod osłonę gęstych drzew. Baldachim nieopadłych jeszcze liści częściowo tłumiał deszcz i hałas.

Już wcześniej powinien tutaj przyjść. Może gdyby to zrobił, oswoiłby to miejsce i zaczął traktować jak każde inne.

Ale już wystarczająco trudno było mieszkać na skraju Starej Tuoneli. A to... Tego było po prostu za wiele.

Jego kroki stały się niepewne. Przystanął, by spojrzeć przez ramię w kierunku samochodu. Nie było go już widać.

Przy okazji chciał się upewnić, że jej tam nie ma.

Jego matki. Nie widział jej od dawna. Wystarczająco długo, by mieć nadzieję, że więcej jej nie zobaczy.

Zawsze najpierw ją czuł.

Budził się z głębokiego snu ze smrodem gnijącego ciała w nozdrzach. I wiedział, że jest – siedzi na końcu jego łóżka i nawija o czymś bez końca.

Odwrócił się i ruszył dalej ścieżką.

Odsunął na bok gałąź z mokrymi liśćmi. Promień latarki odbił się od kropel deszczu, tworząc migotliwą tarczę, która na chwilę go oślepiła. Zamrugął, czekając, aż wzrok znowu przywyknie do ciemności.

Chryste.

Dziury.

Wszędzie.

Ile ich było? Sto? Więcej?

Wiedział, że Evan tutaj kopie, ale... kurczę.

Tania latarka ledwie świeciła. Powiódł nią dookoła, szukając jakiegoś znaku życia. Prawdziwego życia. Nie zgniłej imitacji żywej istoty, jak jego matka.

Co ja tutaj robię?

Nagle stanął mu przed oczami obraz człowieka, którego zabił. Wyras jego twarzy, gdy spojrział na niego, zanim umarł. To zdumione niedowierzanie. „Idź stąd. Uciekaj”.

Czy głos, który usłyszał w głowie, należał do niego? Czy mówił ktoś inny? „Cśśś. Już dobrze”.

Tego nie usłyszał w głowie.

Czy to był głos Evana? Brzmiał trochę podobnie, a jednocześnie zupełnie inaczej.

Serce łomotało Grahamowi w piersi, ale zmusił się, by ruszyć naprzód, klucząc między dołami. Pochylał się do przodu, choć odrzucało go od jam. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był rwącym się szepem.

–Evan?

Czy ktoś odpowiedział? Ktoś coś mówił? Mamrotanie. Dobiegające z dołu. Z ziemi.

Graham miał ochotę zawrócić i wiać, ile sił w nogach. Mimo to zrobił krok naprzód, a potem drugi.

Skierował snop latarki na dziury w ziemi, przesuwając go w tę i z powrotem, aż znalazł zajętą.

Zamrugnął, bo deszcz zalewał mu oczy.

To, co zobaczył, poraziło go. Napiął mięśnie nóg, gotowy do ucieczki. Evan.

Graham wpatrywał się w niego.

Dziura, w której siedział ojciec, była większa niż pozostałe. Szeroka na jakieś cztery metry, głęboka na dwa. Evan siedział w niej, jak gdyby nigdy nic. Jakby nie przeszkadzały mu deszcz ani chłód, a jego koszula i dżinsy nie były przesiąknięte błotem.

Graham uważał, by nie świecić Evanowi w twarz, ale to, na co padło światło...

Boże. Czy to jest to, co myślę?

Evan spojrzał na niego niewidzącymi oczami.

Powiedz coś.

–C-co ty tu robisz?

Deszczówka przebiła sobie kanał do jamy i zbierała się na dnie, tworząc błotniste bajoro.

To był grób. Evan siedział w ziemnym grobie, otoczony zmumifikowanymi szczątkami zmarłych.

Graham poczuł odór, który kojarzył mu się z matką.

Dobrze, że nie przyprowadził tu Kristin. To sobie powtarzał, na tym się koncentrował, próbując oderwać myśli od horroru, który miał przed oczami.

To wszystko jego wina. Powinien był poszukać pomocy, zamiast ukrywać problem Evana w nadziei, że samo mu się polepszy. Ale gdyby ojca zabrali, gdyby zamknęli go w wariatkowie, co stałoby się z Grahamem? Pewnie trafiłby do rodziny zastępczej. Bo jego dziadek też nie miał całkiem równo pod sufitem.

–Chodź. – Wyciągnął rękę do ojca. – Musisz stamtąd wyjść. Evan

gapił się na niego otepiały, półprzytomny. Graham usłyszał za sobą dźwięk. Obrócił się, oświetlając latarką Kristin. Stała z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia.

–Wynoś się! – Machnął na nią ręką. – Uciekaj stąd! Odwróciła się i uciekła. Nie wiedział, czy miała w ręce kamerę. Czy filmowała ten makabryczny cyrk? Spojrzał na Evana.

Facet nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

Graham musiał wezwać pomoc. Ale do kogo się zwrócić? Czy znał w Tuoneli choć jedną osobę przy zdrowych zmysłach?

Rozdział 15

To było takie zwyczajne. Tak przyjemnie normalne.

Rachel uśmiechnęła się do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stolika.

David Spence.

Znała go jeszcze z ogólniaka. Był rozwodnikiem, którego małżeństwo rozpadło się przez Tuonelę. Pani Spence była spoza miasta i nigdy nie przystosowała się do życia tutaj. Niewielu osobom się to udawało.

Tylko nieliczni, jak na przykład burmistrz, czuli się tu doskonale, jakby nie zauważali, że z miastem jest coś nie tak. David był tak samo dowcipny i czarujący jak dawniej. Udało im się nawet odgrzebać kilka historyjek z liceum. Ale miał w sobie ten dziwny smutek, który dotyczył mieszkańców Tuoneli, a który pojawiał się, gdy do człowieka docierało, że z Tuonelą nie można wygrać. Nie da się zmienić przeszłości, tak jak nie da się udawać, że Tuonela nie ma na człowieka wpływu. On to rozumiał. A to oznaczało, że do pewnego stopnia rozumiał również Rachel. Było w tym coś pocieszającego.

–Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że wróciłaś – powiedział David. Natychmiast się zawstydził, kiedy przypomniał sobie, dlaczego wróciła.

–Przykro mi z powodu twoich rodziców. Musiało ci być ciężko, kiedy straciłaś ich oboje jedno po drugim. Gdyby przyznała mu rację, poczułby się jeszcze gorzej.

–Brakuje mi ich.

–To wszystko wydarzyło się tak niedawno. Takie rzeczy wymagają

czasu.

To nie była tylko pusta, zdawkowa odpowiedź. Rachel czuła jego troskę i żal. Coraz bardziej się jej podobał. Podobał jej się pomysł bycia z nim. Pomysł, by w jej życiu był mężczyzna. Może to nie jest niemożliwe. Może da się stworzyć coś normalnego w małym świątku Tuoneli. Intrygująca myśl.

Za bardzo wybiegała w przyszłość.

Zamówili pizzę.

Nie chciała iść do wykwintnej restauracji. Nie chciała, żeby ten wieczór nabrał zabarwienia i wagi prawdziwej randki. Woląла udawać, że dwoje kolegów po prostu umówiło się na pizzę, żeby odświeżyć znajomość.

Porozmawiali jeszcze trochę i Rachel na chwilę zapomniała, że siedzą w pizzerii w Tuoneli. Mogli być gdziekolwiek. W Iowie lub w Kalifornii.

Zadzwoiła jej komórka.

Sięgnęła do kieszeni i spojrzała przeprasząco na Davida.

–Wybacz. Muszę odebrać.

–Jasne. – Rozumiał obowiązki związane z jej pracą. Rachel otworzyła kłapkę telefonu i spojrzała na wyświetlacz. Evan Stroud.

Jej serce zabiło szybciej.

Nie. Nie tutaj. Nie teraz.

Kolejny dzwonek. Wzięła głęboki wdech i odebrała. Dopiero po chwili rozpoznała głos Grahama.

–Czy możesz tu przyjechać? Mówił szybko, zdyszany.

–Tu to znaczy gdzie?

–Do nas. Do domu Evana. Do Starej Tuoneli.

Pizzeria i David zniknęły i nagle Rachel wyobraziła sobie siebie w

domu Evana. Nie była tam od czasu tamtych strasznych wydarzeń. Nie chciała tam jeździć po śmierci ojca.

–Co się stało? – Dlaczego Graham nie zadzwonił do kogoś innego? Powinien wiedzieć, jak trudna będzie dla niej wizyta w Starej Tuoneli. Ale był dzieciakiem. Dzieciaki nie myślą o takich rzeczach.

–Chodzi o Evana. Dziwnie się zachowuje. Robi dziwne rzeczy. Nie wiedziałem, do kogo zadzwonić. Nie wiedziałem, co robić.

–Przyjadę najszybciej, jak się da.

–Kiedy? Jak szybko?

Spojrzała na Davida, siedzącego po drugiej stronie stolika. Przyglądał się jej z troską w oczach, jeszcze próbował ją zatrzymać, choć wiedział, że już jej tu nie ma. Ale wciąż miał nadzieję.

–Za dwadzieścia minut.

–Okay. Dobrze. – Grahamowi wyraźnie ulżyło. – Dzięki. Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni.

–Davidzie, strasznie mi przykro, ale muszę jechać. Wyskoczyła mi nagła sprawa.

–Nic nie szkodzi.

Widziała, że jest rozczarowany. Może nawet urażony. Jak można urazić kogoś, kogo się prawie nie zna? Okazuje się, że bardzo łatwo.

–Chcesz, żebym pojechał z tobą? Co za koszmarny pomysł.

–Nie, ale dzięki za propozycję. Jesteś kochany. – Otworzyła portfel. David pokręcił głową.

–Co ty wyprawiasz? – Skrzywił się z udawanym oburzeniem, więc schowała portfel.

–Następnym razem ja stawiam. – Dlaczego to powiedziała? Dlaczego obiecała następny raz? Tak jakoś samo wyszło. David uśmiechnął się i rozluźnił.

Sięgnęła za siebie po płaszcz. Włożyła go i zapięła, zanim wstała. Żeby ukryć swój stan? Pewnie tak. Choć David wiedział o jej ciąży, nie chciała mu świecić w oczy brzuchem.

–Dzięki – powiedziała.

–Zadzwoń – odparł.

Zniknął z jej myśli jak zdmuchnięty płomień świecy, gdy tylko wyszła z pizzerii. Pobieгла do furgonetki i wystrzeliła z parkingu z łomoczącym sercem, kierując się w stronę Starej Tuoneli. Co się stało?

Kiedy Evan za jej plecami kupił Starą Tuonelę, przysięgła sobie, że więcej się do niego nie odezwie. Czuła się zdradzona. Mógł jej przynajmniej powiedzieć. Tchórz. Może dlatego tak bardzo chciała stąd wyjechać. Przeżyła tu za dużo bólu. Śmierć rodziców. Brak wsparcia ze strony Evana, kiedy go potrzebowała.

A teraz uciekła z randki i pędziła tam, gdzie przysięgała nigdy nie wracać, do mężczyzny, który ją zdradził. Zjechała z szosy na wąską, krętą drogę prowadzącą do domu Evana. Gałęzie drapały o boki furgonetki, zielsko głośno tarło o podwozie. Zatrzymała się obok małego, czarnego samochodu Evana, wyłączyła silnik i wyskoczyła z auta.

Ktoś wynurzył się z ciemności na werandzie. Graham. Przeciął podjazd, wybiegając jej na spotkanie.

–Próbowałem się do ciebie dodzwonić, zanim dojechałaś, de połączyłem się z pocztą głosową. Komórki nie działają tu najlepiej.

–Nie słyszałam dzwonka. Ruszyła w stronę domu. Graham położył dłoń na jej ramieniu, zatrzymując ją.

–Chyba nie powinnaś wchodzić. Evan już czuje się lepiej. Dlatego próbowałem cię złapać. Chciałem ci powiedzieć, że nie musisz

przyjeżdżać.

–Lepiej? – Zmarszczyła brwi.

–Będzie zły, że do ciebie zadzwoniłem. Powinnaś odjechać. Proszę, jedź stąd.

Graham był roztrzęsiony. Spojrzał na dom, potem na samochód. Chce wskoczyć do auta i zwać stąd, pomyślała Rachel.

–Graham, co się dzieje?

–Widziałaś może kogoś, kiedy jechałaś dróżką? Dziewczynę? Z rudymi włosami?

–Nie.

–Muszę ją znaleźć. – Ruszył biegiem do samochodu. – Wracaj do domu – zawołał przez ramię. – Uwierz mi, nie chcesz z nim rozmawiać.

–Jest pijany? – To było niepodobne do Evana. Ale ostatnio wiele rzeczy było do niego niepodobnych. Graham zatrzymał się w otwartych drzwiach samochodu i prychnął z goryczą.

–Chciałbym. Wtedy może po prostu padłby spać, jak to robiła moja matka. – Pokręcił głową. – Odwaliło mu. Zwyczajnie odwaliło. Wracaj do domu. Proszę. Dzięki, że przyjechałaś, ale wszystko jest w porządku. A raczej będzie, kiedy zaciągnę go do psychiatry.

–A co z tą dziewczyną?

–To moja znajoma. Znajdę ją.

–Nie powinna biegać sama po tym lesie. – W końcu zaledwie kilka kilometrów stąd popełniono morderstwo. Graham machnął niecierpliwie ręką, zapalił silnik i odjechał.

Rachel, z rękami w kieszeniach, odwróciła się i popatrzyła na dom. Paliło się kilka świateł. Jedno na górze, jedno z tyłu, może w kuchni. Odetchnęła głęboko. Zrobiła krok.

Biegłam między drzewami. Drobne gałązki smagały mnie po twarzy. Dyszałam głośno, płuca mnie paliły. Zatrzymałam się i oparłam ręce na kolanach. Jasna cholera.

Co to było, u diabła? Co ja właściwie widziałam? Wyjęłam komórkę. Zero sygnału.

Umysł płatał mi figle i tyle. Tak naprawdę wcale nie widziałam tego, co mi się zdawało. Chyba. Miałam cholernego pietra, a w dodatku lało jak z cebra. I było ciemno.

Miałam włączoną kamerę. Kiedy wrócę do Tuoneli, obejrzę nagranie. Przekonam się, że niczego tam nie było, że mój mózg wymyślił jakieś niestworzone bzdety. Tak właśnie działa ludzki umysł. Wypełnia puste miejsca bzdetami. Film może kłamać, ale zawsze pokazuje trochę prawdy. Powie mi, czy faktycznie widziałam to, co widziałam. Oślepiły mnie światła samochodu. Auto gwałtownie zahamowało. Trzasnęły drzwi.

Odwróciłam się i pobiegłam.

Nogi mi się trzęsły, a na dodatek dźwigałam kamerę.

W biegu wymacałam klapkę kieszeni na kasetę. Czułam się jak kowboj przeładowujący pistolet, w czasie ucieczki przed Indianami. Nie wiedziałam, na jak długo starczy mi tchu. Roześmiałam się w duchu, choćby po to, żeby mniej się bać.

Otworzyłam kieszeń, wyjęłam kasetę, zatrzasnęłam klapkę i upchnęłam taśmę do biustonosza.

–Kristin! Stój! Graham.

Bardzo się co do niego myliłam. Myślałam, że to słodki, naiwny dzieciak.

A on był częścią tamtego świata, świata swojego ojca. Świata, w którym za przydomowy basen służy dół pełen błota, kości i gnijących

ciał. „Zabiłem człowieka”. A jeśli to nie był nieszczęśliwy wypadek. Jeśli Graham jest jakimś diabelskim pomiotem, tylko udającym człowieka. Nieźle mu to wychodzi.

Słyszałam go za sobą, jak przedziera się przez krzaki, coraz bliżej. Nie znam modlitwy na taką okoliczność. Rzucił się na mnie i poleciałam do przodu. Upadając, instynktownie objęłam kamerę, żeby ją ochronić. Padłam i przeturlałam się na bok z głośnym "umf".

–Mówiłem ci, żebyś została w samochodzie – wysapał Graham.

–Jeśli mi rozbiłeś kamerę, to cię zatłukę.

–Daj mi ją. Przycisnęłam ją mocniej do siebie.

–Nie. Zaświecił mi latarką w twarz.

–Dawaj tę cholerną kamerę.

–Wal się. Wyrwał mi ją z ręk. Obrócił, oglądając i obmacując, jak jakaś cholerna małpa.

–Jak to się otwiera? Uśmiechnęłam się złośliwie. Otworzył klapkę.

–Gdzie kasetka? Co z nią zrobiłaś?

–Wyrzuciłam.

–Nie wierzę ci.

–To był twój ojciec? Evan Stroud? Żałowałam, że nie widzę jego twarzy. Był tylko niewyraźnym, ciemnym kształtem na tle przebijającego między drzewami światła reflektorów.

–Co widziałaś?

–Nic. Było ciemno.

–I nie filmowałaś tego?

–Nie. – Wiedziałałam jednak, że mnie przejrzał.

Zaczął kolejno przeszukiwać kieszenie mojej kurtki. Potem obmacał mi kieszenie dzinsów. Normalnie mnie rewidował.

–Gdzie jest kasetka? Wiem, że ją masz. Nie zamierzał się poddać.

Chronił swojego ojca. Chronił siebie. Z trudem łapałam oddech.

–Nie mam.

Spróbowałam się wyrwać. Uderzyłam go, zaczęłam wierzgać. Był chudy, ale silny. Przytrzymał mnie przy ziemi całym ciężarem ciała. Poczułam, jak jego ręka wsuwa się pod moją koszulę i biustonosz, szuka i w końcu znajduje kasetę. Wyciągnął ją, puścił mnie i wstał.

Zrobiłam to samo.

–Założę się, że puścisz to sobie w święta. Może nawet pokażesz dzieciom, jeśli będziesz jakies miał.

–Odwiozę cię do miasta. Wyjęłam komórkę.

–Nie złapiesz tu sygnału. Miał rację.

Mogłam iść pieszo, ale nie znałam drogi do Tuoneli. Całkiem niedaleko została zamordowana kobieta, a Evan Stroud szwendał się po okolicy. Nie miałam wyjścia.

–Nie zrobię ci krzywdy.

Graham może i był częścią jakiegoś makabrycznego świata, ale mimo wszystko wydawał się najbezpieczniejszą opcją.

–No to mnie odwieź, dupku.

Rozdział 16

Rachel rozważała, czy nie zadzwonić do Davida i nie powiedzieć mu, żeby poczekał, bo ona zaraz wraca. Żeby zostawił jej kawałek pizzy. Zaklepał jej miejsce przy stoliku – a może i w życiu. Nie zrobiła tego.

Przeszła na tył domu Evana, gdzie w kuchennym oknie świeciło blade światło. Zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc pchnęła drzwi. Nie były zamknięte nawet na klamkę i otworzyły się powoli.

Z powodu choroby Evan nie mógł używać zwykłych żarówek. Kuchnia była skąpana w ponurym, czerwonym świetle, które nadawało jej wygląd ciemni fotograficznej.

Zależnie od miejsca pomieszczenie prezentowało różne stadia zaniedbania oraz dekonstrukcji, będącej efektem remontów rozpoczętych przez poprzednich właścicieli i nigdy nieukończonych. W niektórych szafkach brakowało drzwiczek. Rozebrana do połowy ściana straszyla sterczącymi listwami i plackami kwiecistej tapety.

Rachel weszła do środka i głośno wciągnęła powietrze.

Evan siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę, z nogami wyciągniętymi i skrzyżowanymi w kostkach.

Był bez koszuli, ręce miał oparte na udach, a dłonie oblepione błotem. Nie poruszył się. Nawet nie odwrócił głowy.

–Rachel. – Jej imię spłynęło z jego ust, ciche jak oddech.

Strasznie schudł.

Nawet w słabym świetle widziała żebra rysujące się pod jego bladą skórą.

Kiedy widzieli się po raz ostatni?

Policzyła w myślach. Kilka miesięcy temu. Zanim dowiedziała się, że jest w ciąży. Przyszedł do kostnicy. Później zrozumiała, że chciał się pożegnać, zanim wbije jej nóż w plecy.

Rachel długo przekonywała radę miasta, że należy wykupić Starą Tuonełę, zrównać wszystko z ziemią buldożerami i ogrodzić teren, by już nikt nie mógł tam chodzić. By już nikt tam nie zginął... Ale Evan wykupił im ziemię sprzed nosa. Nie powiedział jej nawet, że o tym myśli, a kiedy doszło do transakcji, nie przyznał, że to on za tym stoi.

Dowiedziała się z gazety.

Sam się prosił o kłopoty. Naraził wszystkich mieszkańców Tuoneli na niebezpieczeństwo. I po co? Dla kawałka ponurej historii? Żywi są o wiele ważniejsi niż martwi.

Może i nie był wampirem, jak twierdzono w Tuoneli, ale nie można mu było ufać.

Zranił cię.

Tak.

Evan wygramolił się na równe nogi i spróbował stanąć prosto. Jedną rękę oparł o szafkę, a drugą położył na biodrze.

Po prawej stronie jego klatki piersiowej, tuż poniżej sutka, widniała czerwona, wypukła blizna. Druga identyczna znajdowała się kilkanaście centymetrów dalej, na ręce.

Rany po kulach.

Rachel zamknęła na chwilę oczy i wzięła głęboki oddech, starając się nie poruszyć. Ilekroć się spotykali, jakaś dziwna siła przyciągała ją do Evana. Próbowwała z tym walczyć, ale nie zawsze jej się udawało...

Tu jest tak ciemno... Tak ponuro...

Rozkojarzenie i dezorientacja Evana były ewidentne, choć mężczyzna próbował udawać, że wszystko jest w porządku. Graham

nie powinien tu mieszkać. To nie jest miejsce dla nastolatka. Od Evana nie było czuć alkoholu.

Graham miał rację.

–Byłeś na słońcu? – Może cierpiał z powodu kontaktu ze światłem? Wiedziała, jak bardzo go to osłabia.

Jego włosy były za długie i skołtunionie, a szczękę pokrywała ciemna szczecina, ostro kontrastująca z bladością twarzy.

–Prowadziłem wykopaliska.

–W Starej Tuoneli?

–Tak.

–W nocy?

–A kiedy? Graham kazał mi przestać z powodu deszczu. Ale wcale nie padało tak mocno. To mi nie przeszkadza. Teraz zobaczyła, że jego dzinsy są przemoczone do suchej nitki. Nagle uświadomiła sobie, że Evan patrzy na nią lekko speszony, ale z półuśmiechem, jakby się cieszył, że wpadła. Łamał jej serce. Zawsze to robił.

Kochała go, odkąd sięgała pamięcią. Kochała go miłością bez przyszłości, która narażała ją na niebezpieczeństwo, obnażała i odsłaniała na ciosy.

Evan mógł ją zranić. Już ją zranił.

Dziecko się poruszyło.

Jezu.

Jakby zrobiło salto.

Poczuła coś, co mogło być małą piętą prześlizgującą się po wnętrzu jej brzucha. Dotknęła górnego guzika płaszcza, sprawdzając, czy jest zakryta. Niedobrze. Evan jest w zbyt kiepskim stanie psychicznym. Zawsze myślała o innych.

A co z nią? – Co tutaj robisz? – zapytał.

–Graham do mnie zadzwonił. Martwił się o ciebie.

–Nic mi nie jest. Wszystko jest w porządku. Bądź przyjaciółką. Zachowuj się jak zatroskana przyjaciółka, powiedziała sobie.

–Nie wydaje mi się. Co się dzieje, Evan? Poza wykopaliskami? Myślę, że powinienes się przeprowadzić z powrotem do Tuoneli. Ty i Graham.

–Wszyscy ciągle mi to mówią.

–Kto?

–Mój ojciec. Graham.

–Mają rację.

–Ja muszę być tutaj. Podeszła bliżej. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, jego szczęki, zmusiła go, by na nią spojrzął, by jej słuchał.

–To miejsce nie jest dobre dla ciebie. Nie jest dobre dla nikogo. Evan odwrócił twarz i dotknął ustami jej dłoni. Wciągnął głęboko powietrze.

–Pachniesz inaczej. Jej serce łomotało jak szalone i musiała użyć całej siły woli, by się do niego nie przytulić.

–To pewnie nowy środek do dezynfekcji, którego używam w prosektorium. – Próbowała cofnąć rękę, ale przytrzymał ją.

–To ty. Jest w tobie coś innego. Twoja krew... – Umilkł, szukając odpowiedniego określenia. – Ona śpiewa. Coś jest nie tak. I to bardziej niż zwykle. Zdołała wyrwać mu dłoń.

–O czym ty mówisz?

–Słyszę ją.

Z jej gardła wyrwał się dziwny, niespokojny odgłos.

–A teraz się boisz. Czuję zapach twojego strachu. Nigdy dotąd się mnie nie bałaś. Nie bój się mnie. – Niemal słyszała, jak obracają się

tryby w jego mózgu. – Mam nadzieję, że nie zaczęłaś nagle wierzyć w te bzdury o wampirze.

–Nie. Oczywiście że nie. – Naprawdę był inny i budził w niej niepokój.

Coś jest nie tak.

Cofnęła się, odsuwając od niego. Sięgnęła dłonią za siebie i wymacała drzwi.

–Muszę już iść. – Komórkę miała w kieszeni. Ale czy złapie sygnał? Pewnie nie.

–Dopiero przyjechałaś.

–Weź prysznic, Evan. Weź prysznic i połóż się spać. Jutro poczujesz się lepiej.

–Nie idź.

–Zadzwoń do ciebie. – Uspokój go. – Jutro. Porozmawiamy.

–Zostań ze mną, Florence.

Na kilka mgnień czas się zatrzymał.

–Nazwałeś mnie Florence?

Jego oczy zaszyły mgłą, jakby zaglądał w głąb siebie.

–Rachel – poprawił się. – Chciałem powiedzieć Rachel.

–Ale powiedziałaś Florence. Kim jest Florence?

Jego ręka nagle wystrzeliła naprzód. Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że Rachel zaparło dech. Zderzyli się brzuchami.

Jego oczy się zmieniły. Źrenice się rozszerzyły.

–Co?

Trzymając ją jedną ręką za nadgarstek, drugą obmacał jej brzuch.

–Rachel?

Puścił ją i położył obie dłonie na jej brzuchu.

Dziecko poruszyło się, tak jak przedtem, mocno i wyczuwalnie. Rachel i Evan wciągnęli gwałtownie powietrze. Widziała, że Evan się skupia, a myśli nabierają jasności, gdy przypomina sobie i liczy. Widziała emocje goniące jedna drugą, od radości po rozpacz.

–To nie twoje – powiedziała szybko.

Skąd to zaprzeczenie? Nie planowała tego, ale widok jego oczywistego rozchwiania umysłowego sprawił, że jakoś jej się wyrwało.

Chroń siebie. Chroń dziecko.

–Nigdy nie umiałaś kłamać. – Wciąż opierał dłonie na jej brzuchu. Jego usta wykrzywił dziwny uśmiech.

–A co z moją chorobą? Pomyślałaś o tym?

–Czytałam na ten temat...

Urwała, uświadamiając sobie, że właśnie przyznała, iż dziecko jest jego. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Dlaczego? Bo prawda wreszcie wyszła na jaw i nie musiała już sama dźwigać tej tajemnicy? A może bała się o dziecko? Bała się Evana?

Jedna noc. Kochali się – czy też uprawiali seks – tylko jeden raz. Pamiętała to jak przez mgłę. Potem nawet zastanawiała się, czy to się naprawdę stało. Może to tylko szalony sen, mówiła sobie, kolejna sztuczka Tuoneli. Dopóki nie zatrzymał jej się okres, a test ciążowy nie dał pozytywnego wyniku.

–Zamierzałaś mi w ogóle powiedzieć?

–Tak.

–Kiedy?

–Próbowałam kilka razy. Zostawiałam ci wiadomości na pocztę głosowej. – Kiedy nie oddzwonił, uznała, że może tak będzie lepiej. Że poczeka, aż dojedzie do Kalifornii. Że odległość ułatwi to im

oboju. Nie chciała, żeby dowiedział się w ten sposób.

–Na poczcie głosowej? – prychnął ze złością. – To nie starałaś się zbyt mocno.

–Nie, nie starałam się. Po tym, co się stało, nie byłam pewna, czy chciałbyś wiedzieć.

–Ranisz mnie.

–Evan, wybacz mi, ale zmieniłeś się. Czasami myślę, że w ogóle cię nie znam. – A przecież dawniej znała go prawie tak dobrze jak samą siebie. – Kiedyś powiedziałabym ci od razu, ale teraz się zastanawiam, czy mądrze było podzielić się z tobą tą nowiną. – Nie można mu ufać. – Może w ogóle nie powinnam ci mówić. Może nikt nie powinien wiedzieć.

–Nie dziwię ci się. Biedactwo będzie rosło z piętnem dziecka wampira.

–Nigdy się ciebie nie wstydziłam. Myślałam, że znasz mnie dostatecznie dobrze, by to wiedzieć. Ale muszę chronić dziecko.

Skinął głową.

–Dziecko.

Zaczynała się już rozluźniać, kiedy oczy Evana się zmieniły. Źrenice powiększały się, aż w końcu całe tęczówki stały się czarne i płaskie. Oblał się potem, nagle zaczęło buchać od niego gorączkowe ciepło. Zabrał ręce z jej brzucha i się odsunął.

–Idź już. – W jego głosie pobrzmiwały niepewność i strach, zupełnie jakby przejął jej wcześniejsze emocje. – Uciekaj stąd. Już.

–Co się dzieje?

–Uciekaj!

Miał rację – nigdy wcześniej się go nie bała. Nawet kiedy całe miasto wierzyło, że jest zdolny do koszmarnych zbrodni. Ale teraz

bardzo się bała.

Odwróciła się.

Pobiegła.

Rozdział 17

Stojąc na środku parkingu w centrum Tuoneli, spojrzałam na ciemniejące niebo, a potem z powrotem na Claire. Z mojej twarzy bardzo łatwo wyczytać, co myślę, więc musiałam się specjalnie starać, by zachować obojętną minę. Po cichu myślałam: A nie mówiłam?

–I co? – zapytał Ian. – Mam się ustawiać?

–Jak szybko zdążysz się zwinąć, kiedy zacznie padać?

–W dziesięć minut.

Jak większość ludzi, którzy na co dzień nie mają do czynienia z techniczną stroną filmowania, Claire nie miała pojęcia, ile stracimy czasu, jeśli zacznie padać. Nie wspominając już o ryzyku uszkodzenia drogiego sprzętu. To prawda, że wywiad z medium wyglądałby lepiej na dworze, z rzeką w tle, ale czasami trzeba się zdecydować na zapasowy plan zdjęciowy, czyli w tym wypadku budynek zarządu portu.

Medium przyjechało z Milwaukee. Claire chciała kogoś spoza Tuoneli. Chciała też kogoś sławnego i podobno jej się udało, choć nikt z nas nie słyszał o Madame Sosostriś. Ale ja rzadko oglądam telewizję i prawie nie czytam gazet. Ian trącił mnie łokciem.

–Patrz.

Spojrzałam w kierunku, który wskazał kiwnięciem głowy, i zobaczyłam wyłaniającego się zza zakrętu czerwonego pikapa z przedłużaną kabiną. Samochód ciągnął barwnie udekorowany dom na kółkach, prawdziwy wóz cygański, krzykliwy, tandetny, a jednocześnie piękny ze swoimi jaskrawymi kolorami i wypukłym dachem. Nie mogliśmy oderwać od niego oczu. Teraz rozumiałam,

dłaczego Claire zależało, żeby ściągnąć właśnie to medium. Dorzucmy do scenariusza jeszcze jedną wariatkę.

Miałam kiedyś wykładowczynię, która wygłaszała długie, gniewne tyrady na temat autorytarnego podejścia do tworzenia dokumentu. Nazywała to kreowaniem fałszywej rzeczywistości.

–Mam ciotkę, która stawia tarota, więc nie będę kwestionować wartości takiej konsultacji. – Przyglądałam się monstrum, które zajęchało na parking. – Oczywiście moja ciotka wygląda jak normalny człowiek. I jeździ chevroletem malibu. – Miałam ochotę dodać: „Jeśli chcesz się ponabijać z tych ludzi, mogłabyś być trochę bardziej subtelna”, ale nie powiedziałam tego głośno.

Minneapolis jest znane ze swojego kiczowatego poczucia humoru, które przesycza wszystko, od muzyki po film. Nieprzypadkowo bracia Coenowie pochodzą z Saint Louis Park, jednego z bliższych centrum przedmieść Minneapolis.

Uważałam, że należy z tym walczyć. Ja walczę z tym od lat. Niektórzy, jak Claire, świetnie się w tym odnajdują. Claire popędziła na spotkanie samochodu, machając rękami, pokazując kobiecie za kierownicą, gdzie ma ustawić pojazd, by znalazł się na tle rzeki i zwodzonego mostu. Na placu było mnóstwo miejsca, wystarczyło zaparkować w odpowiednim punkcie. Kobieta wysiadła.

Madame Sosotris należała do ludzi, których niektórzy nazywają białą hołotą. Pewnie była kiedyś piękna, ale papierosy i alkohol zrobiły swoje. Wyglądała jak typowa wróżka: miała zniszczone, kręcone rude włosy, a na sobie workowatą spódnice i wygnieciony czarny T-shirt, ciasno opięty na wędnącym brzuchu. Do tego sandały i mnóstwo bransoletek. Boże, miała nawet koła w uszach. Ian uśmiechnął się i buchnął na piętach.

–Ale jazda.

Madame spojrzała w niebo, po czym pobiegła do tylnych drzwi przyczepy. Zaczęła wypakowywać przeróżne sprzęty i rozwieszać ozdobne badziewie na zewnętrznych ścianach, jakby rozkładała kram.

Rozwinęła perski dywan. Na dywanie stanął okrągły stolik. Na zielonych drzwiach wozu, które przypominały wejście do domu Hobbita, zawisły dzwonki.

–Niezłe – stwierdził Stewart. Ustawiłam kamerę, biorąc stolik na pierwszy plan, a most i wodę jako tło.

–Przepraszam za spóźnienie – wysapała kobieta, miotając się wokół przyczepy. – Złapałam gumę. Ian pochylił się do nas i wymamrotał:

–Chyba raczej kaca giganta. Stewart parsknął i przyłożył pięść do ust.

Zerwał się wiatr. Dzwonki zabrzęczały, dywan uniósł się i zawinął. Spódnica Madame podfrunęła do góry. Kobieta przytrzymała materiał ruchem Marilyn Monroe. Za jej plecami powierzchnia rzeki zrobiła się czarna i pomarszczona.

–Może powinniśmy poczekać – rzuciła z wahaniem Claire.

–Powinniśmy się pospieszyć. – Nagle oczarowało mnie zestawienie pochmurnej pogody i bajkowej przyczepy. Ten kontrast barw. Jaskrawe kolory przyczepy i kobieta na szarym i wypranym z koloru tle. Może jednak coś z tego wyjdzie. Przynajmniej Claire nie mogła zmanipulować natury.

–Zwieje mi karty – powiedziała Madame. Czy to było jej prawdziwe nazwisko? Mieliśmy się do niej zwracać Madame Sosostriś?

–Pani stawia karty? – zapytałam.

–Stawiam karty miastom. To moja specjalność. Ale robię też intuicyjny odczyt aury, bez kart. Mogę najpierw spróbować tego.

–Może nakręcimy tutaj chociaż parę minut. Potem, w razie potrzeby, przeniesiemy się do środka – zaproponowałam.

Na parkingu zaczęli się zbierać miejscowi. Pewnie przyciągnął ich widok przyczepy, a także kamery i mikrofonu na wysięgniku. Żałowałam, że nie mam wózka, ale to drogi sprzęt i Claire nie chciała wydawać na niego pieniędzy. Miałam nadzieję, że uda nam się pożyczyć skądś sklepowy kosz na kółkach, ale one były hałaśliwe i strasznie trzęsły. Zawsze chciałam zrobić sobie własny wózek, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrałam. To chyba kwestia braku motywacji. Wiedziałam, że będę go używać do kręcenia takich gówien, jak to. Jeśli to mnie nie usprawiedliwia, to już nie wiem co.

Kamera już pracowała, kiedy Madame usiadła na niedużym krześle z ozdobnymi rzeźbieniami i siedziskiem obitym czerwonym materiałem. Człowiekowi odciskają się na nogach wzorki, jeśli siedzi na czymś takim zbyt długo.

Tłumek się powiększał. Dookoła stało już ze trzydzieści osób.

Madame zamknęła oczy i położyła dłonie na kolanach. Kilka kroków od niej dzwoneczki brzęczały jak oszalałe.

Powinnam je była zdjąć. Jak tak dalej pójdzie, całkiem zdominują fonię.

Z zamkniętymi oczami i włosami powiewającymi wokół twarzy Madame zaczęła mamrotać coś o mrocznej aurze miasta. W tej samej chwili niebo jeszcze pociemniało i ludzie za mną jęknęli chóralnie. Staralam się nie roześmiać i bardzo się pilnowałam, żeby nie spojrzeć na Iana czy Stewarta.

–Oni czegoś chcą – powiedziała Madame. Claire usiadła przy

stoliku naprzeciwko niej.

–Kto? Madame zmarszczyła brwi, nie otwierając oczu.

–Strigoi. Claire spojrzała na nas. W milczeniu wzruszyliśmy ramionami.

–Strigoi to zagubione dusze, szukające ciała, w których mogłyby zamieszkać. Ich obecność może się objawiać na różne sposoby.

Wiatr przycichł. Dzwonki dalej brzęczały, ale już nie tak wściekle. Teraz podzwaniały rytmiczne, „dzyń, dzyń, dzyń”. Czułam pełne napięcia skupienie ludzi za nami. Przyznam, że zaczynałam mieć lekkiego stracha.

–Przynętą jest pragnienie serc – ciągnęła Madame Sosotris. – Strigoi potrafią przybrać dowolną postać i omamić człowieka jego własnymi pragnieniami. Kuszą go tym, czego najbardziej pożąda. Odnajdują ranę w jego duszy, źródło bólu, a potem dręczą go i oczarowują.

–One? – zapytała Claire.

–Czuję ich wiele. Niektóre nie są złe, tylko psotne i zagubione. To tych złych powinniście się wystrzegać. One wciągają was w swoją grę. Mamią was. Odpowiedziała jej grobowa cisza. Słysząc było tylko pobrząkiwanie dzwonek.

–Czuję też bliskość nieumarłego.

Nieumarłego? Czyli wampira, o ile dobrze kojarzyłam. Tak, jasne.

–Co tu się dzieje?

Odwróciłam się i zobaczyłam gościa w garniturze, torującego sobie drogę przez tłum. Znam ten typ. W Minneapolis mamy sporo młodych, przebojowych biznesmenów.

–Macie zezwolenie na filmowanie? Czar prysł. Ludzie zaczęli się poruszać i rozmawiać. Ktoś mruknął coś o burmistrzu.

–Nie możecie tak po prostu przyjeżdżać sobie do miasta i filmować – powiedział. – Musicie dopełnić formalności. Musicie mieć zezwolenie.

–Mam formularze zgody na emisję – odparła Claire.

–A zezwolenie?

–Nie.

–Więc proszę stąd odjechać. Claire nie dała się zastraszyć. Brawo.

–O ile mi wiadomo, potrzebujemy zezwolenia, tylko jeśli blokujemy ruch lub zakłócamy spokój – powiedziała.

Burmistrz spojrział na zebranych ludzi, a potem znowu na Claire.

–Zakłóćcie spokój. Macie w tej chwili odjechać.

–Do kogo mamy się zwrócić o zezwolenie?

–Do stanowej rady filmowej. Chciał nas po prostu spławić. Claire nie ustępowała.

–Nie wierzę panu.

–Niech pani posłucha. Zbyt ciężko harowałem, żeby ściągnąć turystów do tego miasta, i nie pozwolę, żeby ktoś tu przyjeżdżał i robił z nas bandę idiotów. Doskonale go rozumiałam, co nie przeszkadzało mi nieźle się bawić tą scenką.

–Och, zapewniam, że sami doskonale sobie z tym radzicie. – Claire nie zamierzała się poddać i wszyscy byliśmy ciekawi, co z tego wyniknie. Niestety, w tym momencie niebo postanowiło sobie ulżyć i spuściło nam na głowy regularną ulewę.

Wszyscy zaczęli wiać. Zanim Madame zapakowała się do swojego wozu, a my do furgonetki, lało już tak mocno, że nie było nic widać na dwa kroki.

–Musimy to przeczekać – powiedział Stewart. Nawet nie przyszło mu do głowy zapalać silnika.

–Co za palant. – Claire obróciła się na siedzeniu i spojrzała na mnie. Włosy zwisały jej mokrymi strąkami po bokach twarzy. – To prawda? Potrzebujemy zezwolenia?

–W każdym mieście jest inaczej, chociaż sądzę, że mieliby problem z wyegzekwowaniem zakazu. Chyba że udałoby im się udowodnić, że robisz to dla celów komercyjnych.

–Wkurzył niewłaściwą osobę. – Wyciągnęła rękę. – Daj mi tę cholerną taśmę. Wszyscy chcieli moje taśmy. Otworzyłam kamerę i podałam jej kasetę.

–Skoro tak mu zależy na reputacji tej pokręconej pipidówki, postaram się, żeby kopia tego nagrania trafiła do odpowiednich ludzi. Ian pochylił się do przodu, przytrzymując obiema rękami oparcie fotela Stewarta.

–Stacja WXOW w LaCrosse?

–Tak – odparła Claire.

Wszyscy zaczęliśmy radośnie wiwatować i śmiać się. Wyglądało na to, że wreszcie coś nas zjednoczyło.

Rozdział 18

Nie do wiary, że znowu piliśmy, ale jeśli ktoś inny stawia, trudno mi odmówić.

–Czy to możliwe, żeby mieć dwadzieścia trzy lata i być alkoholizką? – zapytałam Stewarta, siedzącego na barowym stołku obok mnie. Palce miałam tłuste od niedawnego lunchu złożonego z gigantycznego burrito, podawanego z frytkami i ostrym dipem. To jakby odwiedzić dwa kraje naraz. Nie odrywając łokcia od kontuaru, Stewart uniósł butelkę piwa do ust.

–Myślę, że na to potrzeba lat. Ian wytarł ręce serwetką i pokręcił głową.

–Nie, stary. W liceum znałem chłopaka, który dostawał delirki, jak się nie napił.

–W liceum? – zapytał Stewart. – To chore.

–Ja nigdy nie znałam żadnego alkoholika – powiedziała Claire, siedząca obok Iana. – Ani narkomana. Może powinnam zrobić o tym film.

Ha. Mogłam się domyślić, że Claire jest jednym z bogatych dzieci spod klosza, które nigdy nie miały okazji zetknąć się z ciemną stroną życia. To wyjaśniało, dlaczego ciągnęło ją do barów takich jak ten. Mrocznych spelunek, w których śmierdziało stęchłym piwem i dymem tytoniowym.

Na studiach spotkałam mnóstwo takich dzieciaków. Przyjeżdżały do centrum z bogatych przedmieść, szukając mocnych wrażeń, które znały tylko z filmów i książek.

Przyjrzałam się naszej małej grupce i nagle do mnie dotarło, Ian,

Stewart i ja byliśmy outsiderami. Claire zadawała się z nami z tego samego powodu, dla którego dzieciaki z college'u szukały obskurnych barów. Byliśmy jej dziwolągami. Chwilowo spędzała z nami całe dnie i noce, ale kiedy robota się skończy, wróci bezpiecznie do domu. Powinnam mieć jej to za złe, ale nie miałam. Prawdę mówiąc, to czyniło ją w moich oczach bardziej interesującą, bo z natury jestem ciekawa ludzi.

–Zrobiłam sobie kiedyś test – powiedziałam. – Taki z pytaniami w rodzaju: „Czy kiedykolwiek postanowiłeś nie pić przez tydzień, ale wytrzymałeś tylko dwa dni?”

–I? – zapytał Stewart.

–Zdaje się, że odpowiedziałam twierdząco na dziesięć z dwunastu pytań.

–Wypijmy za to.

Siedzieliśmy w barze już na tyle długo, że słaby smrodek ścieku stał się dla nas niewyczuwalny. I na tyle długo, by przestano nas traktować podejrzliwie. Graliśmy w strzałki i bilard z innymi klientami. Nie żebyśmy się przez cały czas obijali. Zaczęliśmy od wywiadów.

Claire chciała przeprowadzić parę rozmów z tubylcami. Mężczyźni natychmiast się do niej przekonywali. Blond włosy, duże piersi i czerwona szminka robiły swoje. Ja i chłopcy z początku nie wzbudzaliśmy zaufania, jednak po dwóch godzinach i paru drinkach wszyscy byliśmy równi w zabawie i upojeniu. Gorzała zbrata każdego.

Barman Jake, który przypominał mi jednego z moich brzuchatych wujków, wziął pilota i podkręcił dźwięk w telewizorze umieszczonym wysoko na ścianie. Najwyraźniej był to sygnał dla bywalców, bo poziom 91 hałasu w sali spadł nagle o połowę. Zdziwiający, jak na

bandę opojów. Jake przełączył na odpowiedni program. Był sympatycznym facetem, ale nie dał sobie w kaszę dmuchać. Byliśmy gośćmi w jego domu i musieliśmy przestrzegać jego zasad.

Chwilę wcześniej powiedział jakiejś parce turystów, żeby odlali się na dworzec, jeśli nie mają zamiaru niczego kupować.

Poszli sobie.

Kupiliśmy następną kolejkę, by zapewnić sobie miejsca i możliwość skorzystania z toalety, kiedy nas znów przypili.

Rozmowy ucichły i głowy grzecznie zwróciły się w stronę telewizora. Ktoś wyłączył z kontaktu szafę grającą, przerywając Tomowi Petty'emu w połowie piosenki.

Wiadomości.

Stacji WXOW z La Crosse.

Teraz, kiedy w sali zrobiło się cicho, słyszałam, jak szumi mi w głowie. Mimo to moje uszy zdołały wychwycić zapowiedź kolejnego reportażu. Coś o Tuoneli. Spojrzałam na ekran w samą porę, by zobaczyć za-jawkę.

Medium. Madame Sosostriś. Materiał, który posłała im Claire, został wybrany do emisji.

Zakrzyknęliśmy z radości i czekaliśmy.

–To moje zdjęcia. – Nie odrywałam oczu od ekranu, podobnie jak reszta ludzi w knajpie. – Ja to sfilmowałam. No, nie sfilmowałam. Nakręciłam na wideo, ale to moje zdjęcia.

Claire siedziała przy barze z szeroko otwartymi oczami, zakrywając usta dłonią, starając się nie roześmiać na głos. Pojawili się prezenterzy.

Kawałek do śmiechu. To było widać od razu. Claire powinna być zadowolona. Autorzy reportażu najwyraźniej podzielali jej opinię o

Tuoneli. Tak czy inaczej, mieszkańcy miasta wyszli na głupków.

Wykorzystali może z piętnaście sekund nagrania – tę część, kiedy medium mówiło o nieumarłym i strigoi, szukających ciał do zamieszkania. Potem na ekranie pojawił się reporter. Zaskoczył burmistrza przed jego biurem i podetknął mu mikrofon pod nos. Biedny urzędas, prawie zrobiło mi się go żal. Jake przeszedł wzdłuż baru i zebrał nasze szklanki.

–Hej, nawet nie zacząłem. – Stewart złapał jedno z piw, które wynosił Jake.

–Już skończyłeś – odparł barman. Stewart zamrugał.

Rozejrzałam się. Przyjazne przed chwilą twarze były teraz wrogie, Ian złapał mnie za łokieć.

–Chodź – szepnął. – Wynosimy się stąd.

Zsunęłam się ze stołka, na wpół spodziewając się, że ktoś złapie drewniane krzesło i da któremuś z nas po łbie. Ale tylko się gapili, kiedy wychodziliśmy.

Burmistrz McBride zaklął pod nosem, wyłączył telewizor i rzucił pilota na łóżko. Niech ich cholera weźmie. Minutę później dzwonił już do swojego prawnika.

Właścicielka i kierowniczka Zajazdu Tuonela wyłączyła telewizor.

Była miła dla tych młodych. Pasła ich specjalnością zajazdu, francuskimi tostami z dżemem morelowym i serkiem śmietankowym, chociaż mogła im powiedzieć, żeby poszukali sobie czegoś do jedzenia na mieście.

Obcym nie można ufać. Mama zawsze to powtarzała, ale Annabel nie chciała jej wierzyć. Wyjechała nawet z Tuoneli do college'u. W kampusie poznała chłopaka, który wydawał jej się miły, dopóki on i jeden z jego kumpli nie zgwałcili jej na imprezie bractwa. Niedługo

potem rzuciła szkołę. Nigdy nikomu nie powiedziała, co się stało. Sama była sobie winna, bo zaufała temu chłopakowi. Bo nie słuchała matki.

 Nie, obcym nie można ufać.

 Co z tego, że dżem morelowy jest z taniego supermarketu? Liczą się chęci. Ci chłopcy byli zachwyceni, że mogą zjeść domowy posiłek. Tak jak tamten chłopak wydawał się zachwycony, że przyszła na imprezę jego bractwa.

 Tuonela przeciwko reszcie świata – tak to właśnie wyglądało.

Rozdział 19

Alastair nie miał ochoty oglądać wiadomości, ale był policjantem. A policjanci oglądają wiadomości.

Wziął pilota, włączył telewizor i rozsiadł się na kanapie. Jego myśli błądziły od tematu do tematu, aż jego uwagę przyciągnęło słowo „Tuonela”. Wyprostował się i uważnie spojrzął na ekran.

Był to reportaż na poprawę humoru, jakich wiele w telewizji, zrealizowany na wpół serio przez względu dla niedawnej śmierci Brendy Flemming, ale żartobliwy. W końcu kto wzywa medium, żeby postawiło tarota miastu?

Nie znał się na sztuce ani filmie, ale musiał przyznać, że było to dość przyjemne dla oka. Medium było kleksem jaskrawych barw pośrodku szarego krajobrazu – czarnej rzeki i ciemnego, burzowego nieba. Pogoda wydawała się gwiazdą filmu, dopóki kobieta nie zaczęła mówić.

W jej głosie nie było nic szczególnego. Wyglądała idiotycznie. Ale jej słowa... Powiedziała coś o duchach zmarłych zamieszkujących ciała. I o nieumarłym. Niektórzy mogli uważać filmik za zabawny. Prezenterzy wiadomości byli wyraźnie rozbawieni i jak zwykle przez chwilę dowcipkowali dobrodusznie, gdy się skończył.

–Ten interesujący materiał zawdzięczamy uprzejmości grupy studentów z Minnesoty, którzy kręcą w Tuoneli film dyplomowy.

–Pozazdrościć tematu dyplomu – powiedział prezenter pogody. Serdeczny śmiech do kamery.

Alastair wyłączył telewizor, odłożył pilota, chwycił laptopa i zabrał go ze sobą do sypialni. Przebrał się i usadowił w łóżku.

Położył laptopa na kołdrze i wpisał hasło w wyszukiwarce. Zdziwił się, widząc całą stronę odsyłaczy. „Strigoi to duchy, które powróciły z zaświatów. Po powstaniu z grobu przyjmują kolejno różne wcielenia. Z początku strigoi może być niewidzialnym złośliwym duchem. Po jakimś czasie może stać się widzialny i wyglądać podobnie jak za życia. Strigoi żywią się ludźmi i z czasem mogą chcieć posiadać ciała żyjących”. Otworzył następną stronę. „Strigoi może spać przez wieki, dopóki jego grób pozostaje nienaruszony”. A nieumarły? „Ożywiony trup, który powstaje z martwych, by dręczyć żywych. Ci, którzy powstali z grobu, za życia byli złoczyńcami. Nieumarłego należy unicestwić przez dekapitację, a następnie całopalenie”.

Alastairowi nie chciało się nawet zapisywać tych stron na twardym dysku. Wyłączył laptopa, zamknął go i odłożył na bok.

Strigoi.

Kompletne bzdury. Ale nieumarły? Może to już nie taka bzdura.

Drap, drap.

Alastair obudził się raptownie, zachłystując powietrzem. Wyteżył słuch, czekając, aż odgłos się powtórzy. Dziwiło go, że w ogóle zdołał zasnąć, ale od kilku dni prawie nie spał i był cholernie zmęczony.

Wyjął z szuflady nocnej szalki pistolet, zapalił lampkę i odrzucił kołdrę. Serce biło mu szybko, jakby wypił duszkiem dzbanek kawy.

To tylko sen, powiedział sobie.

Stary dureń. Oto, kim był. Zwykłym głupcem. Powinien wywieźć stąd rodzinę już wiele lat temu. Powinien był się wynieść z Tuoneli, kiedy Johanna zaszła w ciążę. Ale był słaby. I dostał świetną ofertę pracy. Owszem, w końcu się stąd wyrwał. Za późno, ale musiał udowodnić sobie, że potrafi to zrobić. Że da radę wyjechać. Miał

nadzieję, że Evan dołączy do niego na Florydzie.

Powinien wiedzieć, że to się nie uda.

Wsunął stopy w kaptcie.

Dziwnie normalna czynność jak na człowieka, który ma w zamrażarce ludzką skórę. Czy może być coś bardziej zwyczajnego, nudnego i przyziemnego?

Widzicie? Jestem normalnym facetem i mam normalne życie. Zwyczajne do bólu.

Nasłuchując podejrzanych dźwięków, przeszedł przez dom, słabo oświetlony nocnymi lampkami. Kupili ten dom z Johanną zaraz po ślubie. Wtedy tak się robiło. Małżeństwo i dom. Człowiek nastawiał się na długi dystans.

Włożyli w niego mnóstwo pracy. Wykończyli drewniane podłogi, oskrobali i pomalowali na nowo stolarkę, zdarli kilka warstw tapet. Ale harowali z miłości.

W pierwszym roku urządzili ogród. Ogromny. Napakowali zamrażarkę fasolką i zielonym groszkiem.

Kto by pomyślał...

Lata mijały nie wiadomo kiedy i Alastair coraz częściej przyłapywał się na wspomnianiu przeszłości. Kiedyś irytowało go, kiedy starych pierników dopadała nostalgia. Trzeba patrzeć w przyszłość, nie w przeszłość, powtarzał sobie. Ale to przeszłość definiuje człowieka. Nie rozumiał tego, kiedy był młody. Od przeszłości nie da się uciec.

Czuł się samotny.

Nie spodziewał się, że jesień życia spędzi samotnie. Jego żona nigdy nie była silna, a wiadomość o śmiertelnej chorobie Evana była dla niej ciosem. Któregoś dnia jej serce po prostu nie wytrzymało.

Tęsknił za nią straszliwie, ale cieszył się, że jej tutaj nie ma, że nie widzi, czym stał się Evan. Że nie wie, co zrobił...

Kiedy Evan zachorował, ich świat i uwaga zawężyły się do jednego punktu. Znaleźć kompetentnego lekarza. Znaleźć lekarstwo. Uratować mu życie.

Zawrzeć pakt z diabłem.

Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Kuchnia wyglądała na nietkniętą.

Zmusił się, by zejść do piwnicy. Nie schował pistoletu. Od tak dawna obywatł się bez snu, że oczy płatały mu figle.

Cienie na skraju pola widzenia poruszały się i zmieniały kształty.

W powietrzu wisiał piwniczny zapach mokrego kamienia i pleśni. Alastair otworzył wieko zamrażarki i odskoczył, z pistoletem w drżącej dłoni. Po chwili przekopał się przez mrożoną dziczyznę.

Jest.

Odetchnął.

Zamknął zamrażarkę i uciekł na górę. A potem zrobił to, co ostatnio robił często. Upił się.

Zamierzał pić aż do ogłupienia, żeby jego mózg wreszcie się wyłączył.

Nic z tego. Jego myśli wciąż powracały do jednego i tego samego tematu. Evana.

Czy Evan naprawdę zamordował tę nieszczęsną kobietę? A jeśli tak, to czy on, Alastair, zdoła zrobić to, co konieczne?

Dał swojemu synowi nowe życie. Czy teraz zdoła je odebrać?

Evan nie mógł się skupić na kopaniu. W końcu dał sobie spokój i poszedł na spacer.

Miło było się przejść, wydostać się spod drzew Starej Tuoneli,

zobaczyć gwiazdy. Nabrał tempa, jego nogi odnalazły równy rytm. Szedł przez pola kukurydzy zaorane na zimę i pastwiska, gdzie zbite w grupki bydło kręciło się nerwowo, kiedy je mijał. Zanim się zorientował, nogi zaniósły go w dolinę rzeki, do serca Tuoneli.

Miasto odpoczywało, złożone lekkim snem.

Gdzieś z daleka dobiegł ostrzegawczy sygnał barki. Dźwięk odbił się echem od urwiska nad rzeką i popłynął cichymi ulicami. Dla Evana był to pocieszający dowód, że inni ludzie również przeżywają swoje życie nocą.

Zauważył zbliżające się światła samochodu i schował się w cieniu, by zaczekać, aż auto go minie. Gdy zniknęło, ruszył dalej.

Do Rachel.

Dostrzegł światło w oknie jej mieszkania, w wieżycze. Słaby, czerwony blask, otoczony niebieską aureolą. Pewnie nocna lampka. Zamknął oczy i wciągnął powietrze. Była tam.

Już wcześniej trudno mu było trzymać się z daleka, a teraz, kiedy wiedział o dziecku...

Nie miał jej za złe, że mu nie powiedziała i że nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że to on jest ojcem. Chryste. On też nie chciał, by dzieciak dorastał z takim piętnem. Zaszczuty przez media, wykpiwany i budzący strach w szkole, miałby złamane życie. Evan nie życzyłby tego nikomu, a już na pewno nie dziecku.

W oknie wieżyczki pojawiła się postać, zasłaniając światło.

Rachel.

Schował się głębiej w cień, ale nie odszedł.

Czy czuła jego obecność, tam na górze? Czy wiedziała, że jest w zasięgu głosu? Miał ochotę stanąć na środku ulicy.

To byłoby romantyczne. No, może nie z jej punktu widzenia. Jeśli

dobrze się nad tym zastanowić, mogło ją to nawet przerazić. Pewnie zadzwoniłaby po gliny i zgłosiła, że Evan ją nachodzi.

Nie, lepiej było zostawić ją w spokoju i trzymać się z daleka, żeby nikt nie podejrzewał, że to on jest ojcem jej dziecka.

Pozostał w ukryciu, dopóki nie odeszła od okna. Gdy zniknęła, postawił kołnierz, wsadził ręce w kieszenie długiego wełnianego płaszcza i wrócił do domu. Ani na chwilę nie mógł przestać myśleć.

Co będzie z dzieckiem?

Jaka dziwna krew płynie w jego żyłach? Trochę uspokajało go to, co wiedział na temat kodu genetycznego.

Najprawdopodobniej oboje rodzice musieliby być nosicielami recesywnego wampirzego genu – więc nie było się o co martwić.

Rozdział 20

Zwolnij.

Gabriella Nelson popuściła pedał gazu forda taurusa. Franklin pochylił się na siedzeniu pasażera i wyteżył wzrok, by przebić oczami ciemność.

–Już blisko.

–Jak blisko? – zapytała Gabriella. – Metry? Kilometry?

–Stój.

Zahamowała. Samochód zatrzymał się na środku drogi.

–Tutaj. – Franklin wskazał palcem. – Droga do Starej Tuoneli.

–O Boże! – pisnęła Millie z tylnego siedzenia, tuż za głową przyjaciółki. Czasem trudno było uwierzyć, że Millie jest po sześćdziesiątce.

–Mam skrócić? – zapytała Gabriella. – Mam tam wjechać?

–Nie! – W głosie Franklina pobrzmiewało zniecierpliwienie. Gabriella znalazła go przez Internet. Oboje byli członkami grupy dyskusyjnej o nazwie Niesamowite Wisconsin. Wysłała zapytanie, czy ktoś zna Starą Tuonelę. Jej post wzbudził duże zainteresowanie i doczekał się wielu odpowiedzi, aż w końcu ktoś napisał jej o Franklinie Trencie. Z początku jej przyjaciółki były przeciwne pomysłowi skontaktowania się z nim – bo to namiar z Internetu, i w ogóle. Oglądały wiadomości. Wiedziały, że licho nie śpi. Ale kiedy trochę popytały, trafiły na kogoś, kto znał Franklina. „Jest trochę przerażający, ale zupełnie normalny”, usłyszały. Przynajmniej nie musiały się obawiać, że wywiezie je do lasu i zgwałci.

Był łowcą duchów, medium i miejskim odkrywcą. Gabriella

nazwałaby go raczej bezrobotnym obibokiem. Udało mu się wejść do Szpitala Psychiatrycznego w Tuoneli i do tuneli, biegnących pod ulicami Milwaukee. Był też kilka razy na farmie Eda Geina.^[2] Jednak jego specjalnością była Stara Tuonela. To była jego dwunasta podróż.

„Równy tuzin”, napisał Gabrielli w e-mailu.

Franklin poprowadził już wiele wypraw do Starej Tuoneli, ale ostatnio wiele się zmieniło. Teraz mieszkał tam Evan Stroud. Jego obecność na granicy opuszczonego miasta znacznie utrudniała sprawę.

Trent zażądał dolarów.

Cena nie była wygórowana. Podzielona na trzy, wynosiła mniej niż koszt posiłku w eleganckiej restauracji. Do licha, Gabriella płaciła tyle za mnóstwo rzeczy, z których nigdy nie korzystała, jak na przykład komórkę czy karnet na siłownię.

Gabriella i jej dwie przyjaciółki były czarownicami od dwóch lat, od czasu przejścia na emeryturę. Pomysł podsunęła Gabriella. Chciała mieć hobby, poszerzać horyzonty, a zawsze interesowały ją niezbadane moce.

Millie zaproponowała, żeby razem zapisały się na lekcje rękodzieła – robienie witraży czy inne podobne bzdety – a Shirley chciała założyć książkowy klub dyskusyjny. Plany Gabrielli miały większy rozmach.

Zostały członkiniami Czarciego Kotła, dużej grupy skupiającej praktykujące czarownice z całego Wisconsin.

Miały wiedźmie kubki do kawy i wiedźmie koszulki. Chodziły na spotkania Wicca ^[3], na których dyskutowały o inwestycjach i zbiórkach funduszy, o tym, jak usunąć wosk z obrusa i co zrobić, jeśli świeca zgaśnie, zanim dokończy się zaklęcie. Zbierały zioła, a nawet suszyły koźlą krew, kupioną w sklepie z artykułami do uprawiania

magii.

Jednak w głębi duszy Gabriella wiedziała, że to wszystko farsa. Podejrzewała, że reszta dziewczyn czuje podobnie.

W gruncie rzeczy tylko udawały, dobrze się przy tym bawiąc.

–Gdzie mam zaparkować? – spytała. Nie było nawet pobocza, tylko zarośnięty rów.

–Podjedź do przodu. Powinna tam być droga na sąsiednie pole.

Dodała gazu, żałując, że Franklin nie przywiózł ich swoim samochodem. Ale jego pikap nie zawsze był na chodzie. Poza tym ich czwórka nie wcisnęłaby się do szoferki.

Kiedy Gabriella była młoda, wierzyła w wiele rzeczy. Jednak w miarę upływu lat robiła się coraz bardziej sceptyczna. Co nie znaczyło, że głośno mówiła o swoich wątpliwościach. Nie zaprzestała też poszukiwań czegoś rzeczywistego, prawdziwego. Kiedy skończyła 62 lata, obawiała się, że już nigdy tego nie znajdzie. Czas wiary powoli przemijał.

Postanowiła sprawdzić wicca w nadziei, że znajdzie tam coś dla siebie. Niestety, znalazła tylko bandę głupich kobiet, robiących głupie rzeczy. Ale Gabriella lubiła robić głupie rzeczy. Każdy to lubi.

–Tutaj. – Franklin wskazał ręką oświetloną zielonym blaskiem tablicy rozdzielczej. – Skręć w prawo.

Skręciła i zatrzymała się przed żelazną bramą. Wszyscy czworo wysiedli z samochodu. Shirley zajrzała do dzinsowej saszetki przypiętej na pasku i po raz trzeci sprawdziła zawartość.

–Woda. Aparat. Latarka. Żel do rąk.

–A pojemnik na ziemię? – zapytała Gabriella.

–Myślałam, że ty go wzięłaś.

–Nie.

Gabriella wróciła do samochodu i wyciągnęła jeden z plastikowych worków, które nosiła ze sobą na spacer z psem. Nie był to odpowiedni pojemnik na cmentarną ziemię, ale Gabriella powiedziała sobie, że po powrocie do domu przełoży zawartość do czegoś godniejszego.

Kobiety zbiły się w grupkę i zaczęły szeptać między sobą. Och, to podniecenie! Ta ciemność! Ta tajemniczość!

Nie robiły niczego niezgodnego z prawem, powtarzała sobie Gabriella. Kiedyś Stara Tuonela należała do wszystkich. Nadal powinno tak być. I byłoby, gdyby Evan Stroud nie ubiegł oferty rady miejskiej. Podstępna szuja. Ta ziemia należała do nich tak samo, jak do innych.

–Idziemy gęsiego – zarządził Franklin. – Trzymajcie latarki wycelowane przed własne stopy. Nigdy nie świećcie na drzewa ani równoległe do ziemi. Nie chcemy ściągnąć na siebie uwagi. Kiwnęły głowami i włączyły małe latarki, które wybrały właśnie ze względu na mizerną moc.

–To takie ekscytujące! – pisnęła Millie.

–Ćśś! Ściszyła głos.

–To takie ekscytujące.

Gabriella też była podniecona, ale wolałaby, żeby Millie bardziej nad sobą panowała. Przyjaciółka była hałaśliwą kobietą, która lubiła zwracać na siebie uwagę, zwłaszcza w większym gronie. Gabriellę to irytowało. Nie miała najmniejszej ochoty, by postrzegano ją jako jedną z głośnych, okropnych bab.

Ruszyli.

Pierwszą przeszkodą była zamknięta brama. Przeszli górą, co nie było łatwe dla kobiet w ich wieku. Franklin musiał pomóc Millie i

Shirley. Przytrzymując je w pasie, pomógł im zejść na ziemię po drugiej stronie.

Dzień był ciepły jak na późną jesień. Po zachodzie słońca temperatura spadła, ale nie było szczególnie zimno.

Gabriella włożyła tanie rękawiczki, które kupiła przy kasie w supermarkecie w Tuoneli. W tej chwili tylko utrudniały jej trzymanie latarki.

Ziemia była nierówna i miękka.

Gabriella ostatnio chodziła po lesie jako młoda dziewczyna. Teraz wszystko było o wiele trudniejsze. Przez moment zastanawiała się nawet, czy nie powinni zawrócić.

–Daleko jeszcze? – wysapała, wolną ręką przytrzymując się młodego drzewka, a drugą opierając o kolano. Franklin rozejrzał się dookoła.

–Zdaje mi się, że to zaraz za następnym wzniesieniem.

Jeśli nie, wróć. To się robiło śmieszne. Trzy stare baby włóczące się po lesie. Któraś z nich mogła skręcić kark albo kostkę. To, co wydawało się świetnym pomysłem w bezpiecznym salonie Gabrielli, wyglądało na coraz większą głupotę.

Zatrzymali się na szczycie następnego wzgórza, by złapać oddech. Franklin powoli przesunął promień latarki po ziemi, aż oświetlił fundament zrujnowanego kamiennego budynku.

–Jest.

Z artykułu w gazecie wynikało, że Richard Manchester został pochowany pod dębem na przykościelnym cmentarzu. Właśnie po to tutaj przyszli – po ziemię z grobu Nieśmiertelnego.

–Ja zaczekam tutaj. – Całe podniecenie wyparowało z głosu Millie.

–Ja też – zawtórowała jej Shirley. Gabriella najchętniej

poczekają z nimi, ale powiedziała sobie, że to byłoby tchórzostwo i głupota.

–Idźmy prosto do grobu. Nabiorę ziemi i zaraz wrócimy. Ruszyła za Franklinem.

Powietrze wydawało się gęstsze, a ich kroki prawie bezgłośnie. Było aż za cicho, jakby nagle znaleźli się w próżni. Gabriella miała wrażenie, że zaraz rozsadzi jej głowę, ciśnienie narastało w zatokach. Mrowiła ją skóra na głowie, oczy łzawiły. Położyła dłoń na ramieniu Franklina, dodając sobie otuchy jego fizyczną bliskością.

Trent odszukał wąską ścieżkę prowadzącą do niskiego kamiennego murku. Przeszli górą. Zatrzymali się u stóp spróchniałego drzewa.

Na grobie zasadzono dąb, by zatrzymać Nieśmiertelnego w ziemi. Wielu ludzi twierdziło, że ciało powinno się z powrotem umieścić pod dębem, a nie wystawiać w muzeum. Gabrielli było to obojętne, ale teraz, kiedy była tutaj, kiedy czuła w głowie to dziwne huczenie, poczuła, że być może znalazła coś prawdziwego. Coś, w co mogła uwierzyć. Dwa potężne korzenie, grube jak korpus człowieka, obejmowały ciemną jamę, w której zapewne spoczywała kiedyś trumna. Franklin oświetlił latarką podstawę drzewa. Gabriella dłonią w rękawiczce wygrzebała trochę ziemi i zebrała ją do woreczka. Zapieczerowała torebkę, wyprostowała się i schowała paczuszkę do kieszeni kurtki. Coś się zmieniło.

Wyczuła bezruch Franklina.

Było zbyt ciemno, by mogła dostrzec wyraz jego twarzy, ale żelazny chwyt dłoni na jej ramieniu mówił aż za wiele.

Czy prosty akt wiary może wszystko zmienić? Czy może odmienić rzeczywistość tego, kto uwierzył?

Nagle oślepiło ją światło latarki.

–Szukacie Richarda Manchestera? – Głos spoza latarki odbił się echem w jej klatce piersiowej. Dołączył do dziwnych dźwięków i myśli kotłujących się pod czaszką. Gabriella nie była pewna, czy usłyszała go naprawdę, czy tak jej się tylko zdawało.

Może porozumiewał się telepatycznie? Czekala, aż Franklin odpowie, ale najwyraźniej go zatkało.

–Mój chłopak i ja... zgubiliśmy się – wydusiła, czując, jak wali jej serce. – Czy może nam pan powiedzieć, jak dojść stąd do szosy?

–Jeśli szukacie Manchestera – powiedział mężczyzna, ignorując jej kłamstwo – to nie leży już w swoim grobie.

–E... nie. Nie szukamy żadnego... jak go tam pan nazwał. Szukamy naszego samochodu.

–Chcicie go poznać? Manchestera?

Gabriella zmarszczyła brwi, zdezorientowana. Czy to był Evan Stroud? To musiał być on. Ludzie mówili, że jest szalony.

–Nie wiem, o czym pan mówi.

Głupio zrobiła, zaprzeczając.

–Wszyscy znają Richarda Manchestera. Wszyscy.

–Och, tak. Oczywiście. Nieśmiertelny. Jego ciało jest w muzeum w Tuoneli.

–Chcicie go poznać osobiście? – powtórzył pytanie.

–Ja... może faktycznie pójdziemy do muzeum. Co ty na to, kotku? – Szturchnęła Franklina łokciem. Wreszcie wydobył z siebie głos.

–Tak. – Czuła jego drżącą rękę na swojej. – Może jutro.

–Nie teraz?

Mała latarka Gabrielli wciąż była skierowana w dół. Uniosła ją i oświetliła tajemniczego rozmówcę. Biała skóra. Czarne włosy. Oczy jak ciemne jamy. Zrobił chwiejny krok do tyłu.

Złapała rękę Franklina i unosiła ją, aż promień jego latarki dołączył do jej promienia, oslepiając mężczyznę podwójnym blaskiem. Padł na kolana, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Gabriella odwróciła się, ciągnąc Franklina za kurtkę.

–Ruszaj się!

Pobiegli.

Uciekali tak szybko, jakby deptał im po piętach sam Nieśmiertelny. Kilka sekund później dopadli Millie i Shirley.

–Wiejemy!

Przedzierając się z trzaskiem przez poszycie, smagani gałęziami po twarzach, z obolałymi płucami, obojętni na ewentualne urazy, pędzili przed siebie. W końcu dotarli do samochodu. Gabriella wetknęła kluczyk w stacyjkę, odpaliła silnik i wrzuciła bieg.

Wsteczny. Gaz. Ryk silnika i odjazd, byle dalej stąd. Słodki Jezu.

–O Boże! – Franklin skulił się na siedzeniu pasażera, obejmując policzki dłońmi. – O Boże. Nigdy tu nie wrócę. W życiu.

–Co się stało? – zapytała Millie, pochylając się do przodu i chwytając zagłówek Gabrielli. – Musicie nam powiedzieć, co się stało! Gabriella ścisnęła mocniej kierownicę.

–Nie wiem.

–Jak to, nie wiesz?

–To był Evan Stroud. – Franklinowi brakowało tchu. – Wpadliśmy na Evana Strouda.

Gabriella nie była tego taka pewna.

Odtwarzała tę chwilę w pamięci i za każdym razem widziała to samo. To prawda, że była przerażona jak nigdy i że jej percepcja była zaburzona, ale...

Była w muzeum i oglądała Nieśmiertelnego. Kiedy teraz

przypominała sobie spotkanie przy jego grobie, była gotowa przysiąc, że widziała przed sobą Richarda Manchestera, a nie Evana Strouda.

Nie wspominała o tym jednak ani słowem. – I co teraz? – zapytała Millie. – Gdzie znajdziemy odpowiednią ziemię?

W całym tym zamieszaniu Gabriella kompletnie zapomniała o woreczku z ziemią, którą udało jej się zebrać. Zdjęła rękawiczki i sięgnęła do kieszeni żakietu, dotykając woreczka.

Zdobyli to, po co przyjechali: ziemię z grobu Nieśmiertelnego.

Rozdział 21

Straciliśmy kwatere.

Dzień po wyemitowaniu przez WXOW filmiku z medium właścicielka Zajazdu Tuonela powiedziała nam, że ma nadmiar gości i musimy się wynieść.

Wykopała nas.

Mogliśmy się wyklócać, ale Claire trafnie zauważyła, że szybko stajemy się bardzo niepopularni. Jeśli dalej będziemy sprawiać kłopoty, niedługo nikt nie zechce z nami rozmawiać. Powiedziała, że znajdziemy inną kwatere.

Nie znaleźliśmy.

Możliwe, że miało to coś wspólnego z turystycznym boorem, chociaż podejrzewałam, że nie znaleźlibyśmy noclegu, nawet gdyby Tuonela była wyludniona.

Postanowiliśmy spać na kempingu.

Kemping! Ostatni raz spałam pod namiotem, kiedy byłam skautką. A i wtedy namiot stał w czyimś ogródku.

W innych okolicznościach spakowałabym się i wyjechała – miałam dość tych bzdur. Ale nie tym razem.

Spieprzyłam parę rzeczy w swoim życiu. Największą wtopą było rzucenie college'u, kiedy wydawało mi się, że znam wystarczająco dużo ludzi z branży, żeby zarobić na życie. Tuonela była punktem zwrotnym. Czułam to. Jak wiatr prześlizgujący się po skórze. Albo wodę, kiedy pływa się nago. Dotyka człowieka w miejscach, których do tej pory nie zauważał, chociaż istnieją. Moja krew śpiewała.

A teraz musieliśmy spać w namiocie. Ciężko mi było ukryć

irytację.

Kupiliśmy w hipermarkecie dwa tanie, najprostsze namioty, a także latarnie, latarki i śpiwory.

–To część przygody – powiedziała Claire.

Nie chciałam pozbawiać jej złudzeń, więc kiwnęłam tylko głową, patrząc z rozpaczą na mój śpiwór Barbie. Nikomu z ekipy nie powiedziałam, co wydarzyło się w Starej Tuoneli. To była moja tajemnica. Mój bilet do lepszej przyszłości.

Wyobraziłam sobie siebie jako gościa programu *Geraldo*. Fuj. Nie *Geraldo*, chociaż moja matka uważała go kiedyś za niezłe ciacho. Teraz był tylko dziwny. To spotykało wiele gwiazd. Z intrygujących osobowości robiły się zwyczajne dziwadła.

Nie, lepsza byłaby Oprah, choć ta historia nie do końca pasowała do jej show. Ile kobiet w średnim wieku utożsamiłoby się z gościem, który uważał się za wampira i spędzał całe noce, rozkopując groby? Nie, to było raczej coś dla jednego z programów reporterskich. Materiał na prawdziwą sensację.

–Masz piątkę?

Gwałtownie zeszałam na ziemię i zobaczyłam Claire stojącą przy kasie z wyciągniętą ręką.

–Myślałam, że ty płacisz.

–Zabrakło mi pięciu dolarów.

Pogrzebałam po kieszeniach i wyciągnęłam banknot pięciodolarowy.

W normalnych okolicznościach zirytowałabym się. To była jej wina, że w ogóle musieliśmy kupować śpiwory. Ale byłam jej wdzięczna, że nie dostrzega okazji, która sama pcha się w ręce. I próbowałam ukryć mój entuzjazm. Kasjerka, znudzona licealistka,

oderwała paragon i podała go Claire. Złapałam dwie torby, Claire resztę i razem wyszliśmy ze sklepu.

Jeśli Claire chciała nakręcić fabułę zamiast dokumentu, ignorując to, co miała tuż przed oczami, nie zamierzałam jej przeszkadzać. Nawet gdybym pokazała jej prawdę palcem, nie dostrzegłaby jej albo nie doceniła. Ona chciała to nakręcić po swojemu i kropka.

–Dlaczego tak się zachowujesz? – zapytała Claire, kiedy szliśmy do vana.

–Jak?

–Jakbyś była zdenerwowana. Widzę, że jesteś wściekła. Nie wyglądałaś mi na kogoś, kto spodziewa się noclegów w luksusowym hotelu.

–Nie spodziewałam się też, że będę spać w śpiworze Barbie.

–Będzie fajnie. Może trochę niewygodnie, ale film tylko na tym skorzysta.

–Chcesz filmować nasz kemping?

–Tak, zwłaszcza że żadne z nas nie ma w tym doświadczenia. Może być cholernie zabawnie. Jęknęłam żałośnie. Claire zatrzymała się. Ja również.

–Co cię ugryzło, do cholery? – Była wściekła. – Wiesz, ile zgłoszeń miałam do tej roboty?

–Dziesięć?

–Prawie trzydzieści. I założę się, że większość z tych osób chętnie przyjechałaby tu dzisiaj, gdybym zadzwoniła i je o to poprosiła. Trochę przesadzała.

–Więc dlaczego wybrałaś mnie?

–Spodobały mi się twoje filmy. Były dowcipne! Myślałam, że poczujesz to, co chcę tu zrobić.

–Jest różnica między żartowaniem a ośmieszaniem.

–Ja nikogo nie ośmieszam. Ci ludzie już tacy są. Czy to ja stworzyłam to cholerne miasteczko, gdzie większość mieszkańców wierzy w wampiry? Czy to ja otworzyłam cholerne muzeum z mumią o imieniu Nieśmiertelny w roli gwiazdy? Jak możesz mówić, że ich ośmieszam?

Miała trochę racji.

–Myślałam, że jesteś wyluzowana, że z łatwością się przystosujesz i nie zaczniesz wymiękać, kiedy coś pójdzie nie tak. Bardzo się pomyliłam, niestety.

Jedno było pewne – nie chciałam wracać do Minneapolis.

Kiedy indziej pewnie zaczęłabym się kłócić. Powiedziałabym jej, że jestem lepsza niż reszta operatorów, którzy starali się o tę pracę. I pewnie w większości przypadków byłaby to prawda. Może nawet we wszystkich.

–Przepraszam. Masz rację. – To był jej film, nie mój. Pracowałam dla niej. Jeśli chciała, żeby było dowcipnie, mogłam być dowcipna. Mogłam być cholernym klaunem, jeśli jej na tym zależało.

Wiedziałam też, o czym mówi. Rzeczywiście nakręciłam w przeszłości parę zabawnych filmików, ale dzięki Bogu wyrosłam z tego. Kręciłam lekkie kawałki, bo nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że traktuję sztukę filmową zbyt poważnie. Nie ma nic gorszego niż śmiertelnie poważny dupek w golfie, nazywający się reżyserem. Nie chciałam być kimś takim. Przegięłam więc w drugą stronę.

Ha, ha. Nie traktujcie tego zbyt poważnie. Ja tylko żartuję. Jeśli się wam nie spodoba, nie zaboli mnie to. Sztuka sprawia ból. Taka jest prawda.

A nic nie boli bardziej niż zaprzepaszczenie własnego marzenia –

dlatego poddałam się, zanim zdołałam je zaprzepaścić. Czy jest na to jakiś psychologiczny termin? Jeśli nie, powinnam go wymyślić. Autosabotaż? Syndrom strachu przed porażką?

Zauważyliśmy Iana i Stewarta. Szli przez parking, każdy z papierową torbą w dłoni. Ci dwaj potrafili wyczuć sklep z alkoholem z kilometra, Ian, na dodatek był po uszy zabujany w Claire. Biedak.

–Ale będzie super! – powiedział. – Ostatni raz spałem na dworze, kiedy urwał mi się film w ogródku. – Pauza dla efektu. – Ale to się chyba nie liczy.

–Stary – zawtórował mu Stewart – ja śpię na dworze tylko, gdy się upiję.

–Hm. Ciekawe, jakby wyglądała plakietka tej skautowskiej sprawności. – Wiedziałam, że wychodzę na zgorzkniałą starą prukwę, ale nie mogłam się powstrzymać. Zawsze potajemnie marzyłam, by zestarzeć się jako zwariowana babcia z dwudziestoma kotami, choć było to marzenie zaprawione sarkazmem. Ale sarkazm jest często przebraniem prawdy.

Mimo to wiedziałam, że kiedy chłopaki odkorkują szkło, będę pierwsza w kolejce.

–Czy to się nazywa rozwijanie obozu? – zapytał Ian.

–Chodzi ci chyba o zwijanie obozu. – Stewart otworzył kolejne piwo. Które to już, czwarte? Piąte? Straciłam rachubę. Ja byłam przy czwartym, ale zaczęliśmy od wódki. – Kiedy się pakujesz i ruszasz dalej, wtedy zwijas obóz.

–A rozbijanie namiotu? – zapytał Ian.

Obaj wybuchnęli gromkim śmiechem. Ha, ha. Wiem, że powinno mnie to denerwować, ale zamiast irytacji czułam do nich coraz większą sympatię - jak do wszystkich, zawsze kiedy wleję w siebie

kilka drinków.

Poza tym zaimponowali mi wprawą w zbieraniu drewna i innymi umiejętnościami. Nie mając pojęcia o obozowaniu, za pomocą kilku zwiniętych gazet i podpałki zdołali rozpałcić ognisko w dołku.

Rozbiliśmy się na polu namiotowym. Bliżej bramy minęliśmy parę samochodów, ale nie było ich widać z naszego miejsca. Teren był falisty, lesisty i ogólnie urozmaicony – pełno tu było pagórków i dolinek, i zbitych, ciemnych kęp drzew.

W kasie dostaliśmy ulotkę na temat zagrożenia ze strony kojotów. Autorzy ulotki uspokajali, że w okolicy nie widziano ostatnio żadnego kojota, że pole jest patrolowane i uznawane za bezpieczne.

Nie jestem wielką fanką służb mundurowych, ale miło było wiedzieć, że strażnicy leśni mają oko na kemping. Pomyślałam, że będziemy tu bezpieczniejsi niż w zajeździe, biorąc pod uwagę, że zależliśmy za skórę połowie mieszkańców Tuoneli. Nawet mi się podobało, że nikt nie wie, gdzie się zatrzymaliśmy.

Drzwiczki vana były otwarte, odtwarzacz CD włączony, muzyka podkrecona. Hałas sprowadzał cywilizację do lasu, sprawiał, że zajęty przez nas kawałek ziemi wydawał się większy. Miałam wrażenie, że otacza nas niewidzialny krąg bezpieczeństwa, gdy tak siedzieliśmy na kłodach ustawionych wokół ogniska. Claire też była pijana.

Jeszcze wczoraj wieczorem przysięgałam sobie, że nie napiję się znowu co najmniej przez tydzień. A tu proszę. W dodatku sprawiało mi to przyjemność. Do diabła z tym. I co z tego, że piję? Nie mogę się wiecznie wszystkim przejmować.

–Zimno mi. – Claire stała przy ogniu, obejmując się ramionami i podskakując.

–Tam leży moja kurtka. – Wskazałam palcem. Nie żebym myślała,

że raczy ją włożyć.

Ale włożyła. Otuliła się i sprawdziła długość rękawów.

–Nie do wiary, że się z niej nabijałam. Jest superwygodna. – Przeszła się jak modelka w blasku ognia. Roześmialiśmy się jak głupi. Im głośniej się śmialiśmy, tym zabawniej i zręczniejsze parodiowała chód modelek. Zatrzymanie, obrót, znudzony i obojętny wyraz twarzy. Kiedy wciągnęła policzki, chłopcy o mało nie posikali się w spodnie.

Zerwali się z ziemi i zaczęli paradować z nią. Ian wyglądał niesamowicie kobieco, a przy tym zaskakująco atrakcyjnie. Roześmiałam się z własnych myśli. Ianowi najwyraźniej spodobała się rola obozowego błazna. Znów zaczął się przechadzać, a my śmialiśmy się bez opamiętania. Wyjęłam i włączyłam kamerę. Śmiałam się tak bardzo, że ledwie mogłam złapać ostrość.

–Stary, to jest niemal za bardzo przekonujące! – Stewart już prawie kwiczał. Ian oparł dłonie na zgiętych kolanach i posłał mu całusa. Potem pokiwał palcem na Claire.

Biedny Ian. Ona była bogatą panienką z towarzystwa, on synem biednego ogrodnika. Ludzie lubią udawać, że w XXI wieku takie rzeczy nie mają znaczenia, ale to nieprawda. Podziały klasowe są tak samo ostre jak sto lat temu. Tyle że ludzie skuteczniej ukrywają swoje uprzedzenia. Ian zaczął teraz udawać wampira – zarzucił na plecy nieistniejącą pelerynę i zasłonił nią dolną połowę twarzy. Claire wciąż się śmiała, co najwyraźniej odczytał jako zachętę. Podbiegł do niej, porwał ją w ramiona, obrócił i wygiął do tyłu, jak w tangu. Wstrzymałam oddech.

Biedak napyta sobie biedy. A jutro będzie się potwornie wstydził.

Zrobiło mi się go jeszcze bardziej żal. Przez moment myślałam, że ją pocałuje, ale się opamiętał. Może to dlatego, że śmiech nagle ucichł.

Muzyka też się urwała, przez co sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna. Ian puścił Claire i cofnął się w ciemność. Na szczęście nie widzieliśmy jego twarzy.

–Idę siku – oznajmiła Claire. – Gdzie światło? Stewart podał jej latarkę.

–Pójdę z tobą – zaofiarował się.

Tuż za pagórkiem była prawdziwa toaleta. Widziałam nawet słabą poświatę żarówki.

–Może powinniśmy iść wszyscy – zasugerowałam.

–Umiem się sama wysikać – odparła Claire.

Była zła na Iana, ale i na siebie za to, że się upiła i wydurniała jak wszyscy. Niech sobie idzie sama, jeśli chce. Nie należę do dziewczyn, które chodzą do łazienki stadami.

Pomyślałam o tym, co zobaczyłam na filmie z tamtego dnia, kiedy przyjechaliśmy do miasta, ale natychmiast odpędziłam tę myśl.

Claire pomaszerowała dzielnie w stronę toalety.

–Nic jej nie będzie – powiedział Ian. Wstał i zaczął grzebać w samochodzie, aż znalazł kolejny kompakt. Wrzucił go do odtwarzacza i nagle noc znów wypełniła się muzyką.

Rozdział 22

Były trochę podchmielone.

W zeszłym roku Gabriella wstąpiła do klubu miłośników wina i dopiero poniewczasie przypomniała sobie, że wcale nie lubi wina. Zanim anulowała swoje członkostwo, zdążyła zgromadzić kilka ładnych butelek tego świństwa.

Wysadziły Franklina koło jego pikapa, a potem wróciły do Gabrielli i otworzyły butelkę.

–Mam! – Gabriella pomachała w powietrzu kawałkiem papieru, przedzierając się między stertami szpargałów w salonie. Lampki zostały zgaszone, a świece zapalone. Shirley i Millie siedziały na poduszkach przy stoliku do kawy.

Pomiędzy nimi stała pusta butelka po winie. Z początku pomysł wykonania planu do końca i wypowiedzenia zaklęcia ożywienia budził w niej lekki niepokój, ale teraz, gdy były bezpiecznie w domu, potrafiła racjonalnie wytłumaczyć sobie, co się stało w Starej Tuoneli.

Bo co się stało?

Nic.

Evan Stroud przyłapał ich na grzebaniu w jego ziemi i przepłoszył. I tyle. Kiedy teraz myślała o swojej reakcji, było jej trochę głupio.

Udział w rzucaniu czarą ożywienia był dobrym sposobem na rehabilitację w oczach koleżanek czarownic. Wino też nie zaszkodziło.

–Ależ on był przystojny. – Shirley wpatrywała się w stare zdjęcie Richarda Manchestera. Gapiła się na nie już od dziesięciu minut. – Po prostu boski.

Gabriella rzuciła woreczek z cmentarną ziemią na stół, usadowiła

się na poduszce i skrzyżowała nogi na tyle, na ile było to wykonalne dla kogoś w jej wieku i kondycji.

–Teraz rozumiem, dlaczego tylu ludzi szło za nim i słuchało jego rozkazów. Szczególnie kobiety.

–I z pewnością niejeden mężczyzna. – Gabriella próbowała odebrać Shirley zdjęcie, ale przyjaciółka jeszcze z nim nie skończyła. Gabriella posłała jej zniecierpliwione spojrzenie. – Charyzmatyczny przywódca. Gabriella znalazła zdjęcie na aukcji internetowej. Nie było tanie.

–Wydaje się, że jego oczy śledzą człowieka. – Shirley przesunęła gruby kartonik z prawa na lewo i z powrotem, zadrżała i w końcu oddała zdjęcie Gabrielli.

Tak, Manchester był wyjątkowo pięknym mężczyzną. Miał bladą, idealną cerę, zmysłowe usta i ciemne brwi nad jasnymi oczami, które w naturze były zapewne jasnoblękitne.

Stał upozowany z dłońmi na rękojeści długiego pałasza, którego czubek spoczywał na ziemi u jego stóp. Był ubrany w wełniany jednorzędowy surdut, z którego rękawów wystawały rąbki mankietów. Na szyi miał apaszkę z wyhaftowanym herbem.

Gabrielli trudno było uwierzyć, że mumia w muzeum i mężczyzna na zdjęciu to ta sama osoba. Mumia, choć interesująca, nie budziła w niej żadnych uczuć. Była tylko uschniętą skorupą, w której kiedyś mieszkała dusza człowieka.

–Ja bym za nim poszła – przyznała.

Przyłapała się na tym, że fantazjuje o jego dotyku. Długie, wąskie palce przesuwają się w dół po jej plecach, przyciągały ją blisko...

Zamknęła oczy. Mogłaby przysiąc, że poczuła na ustach muśnięcie, a nawet lekkie mrowienie... tam, na dole. Millie sięgnęła

po butelkę i odwróciła ją do góry dnem nad swoim kieliszkiem, wytrząsając ostatnie krople.

–Masz resztę rzeczy?

–Mam. Mam też więcej wina. O wiele więcej.

Otworzyły kolejną butelkę i napełniły kieliszki – prawie po brzegi, choć Gabriellę uczono, że nie należy tak robić. Podniosła fotografię Nieśmiertelnego i pocałowała ją.

–Niechętnie się z tym rozstają. – Pozostałe dwie kobiety zamruczały ze zrozumieniem. Gabriella położyła zdjęcie na dnie misy.

–A to dał mi Matthew.

Jej siostrzeniec był woźnym w muzeum w Tuoneli. Zdobył dla nich wszystko, czego potrzebowały. Gabriella otworzyła wieczko blaszanego pudełka po cygaretkach.

–Włosy Nieśmiertelnego. – Umieściła długie, ciemne pasmo w misie. – Guzik z jego surduta. – Dołożyła guzik.

–Patrzcie! – Millie wskazała fotografię. – Jest identyczny jak na zdjęciu! Shirley skinęła głową.

–Autentyk.

–Skóra. – Gabriella wysypała suche płatki na pozostałe przedmioty. – Matthew mówi, że mumia się łuszczy. Ciągłe musi sprzątać wnętrze gabloty. – Wytrząsnęła do miski resztę zawartości pudełeczka. W końcu otworzyła plastikowy woreczek. – Cmentarna ziemia. – Około dwóch łyżek. Zamieszała wszystko tępym końcem szpadełka.

–I na koniec krew – powiedziała Millie.

Gabriellę kusiło, by zamiast krwi użyć odrobinę czerwonego wina, ale Shirley grzebała już w torebce. Wyciągnęła trzy minilancety do zakłuwania palców.

–Wasze szczęście, że macie koleżankę z cukrzycą. – Rozdała im lancety. Wszystkie trzy ukłuły się w palec i wycisnęły krew do misy. Gabriella jeszcze raz wszystko zamieszała.

–Magiczny proszek - przypomniała jej Shirley.

Wiele czarów wymagało katalizatora, który tak naprawdę był tylko sproszkowanym kadzidłem. Gabriella posypała nim zawartość miski.

–Masz słowa? Kto ma słowa?

Znalazły słowa w księdze zaklęć, którą kupiły w Internecie. Księga przyjechała aż z Europy, z jakiejś wioski, której nazwy Gabriella nigdy przedtem nie słyszała i nie była w stanie zapamiętać. Zaklęcie było w obcym języku. Ktoś sugerował, że to może być starofiński, ale nikt nie wiedział na pewno.

–Skąd będziemy wiedzieć, że wymawiamy to poprawnie? – zapytała Millie.

–Nie będziemy. Zaklęcie było krótkie.

Gabriella odczytała je najstaranniej, jak umiała, ignorując akcenty. Pozostałe kobiety powtórzyły dźwięki. Były gotowe. Gabriella zapaliła zapałkę i wrzuciła ją do misy. Zawartość zaiskrzyła, buchnęła płomieniem i zaczęła się powoli tlić. Kobiety wzięły się za ręce i powtórzyły słowa zaklęcia.

Istotą skutecznego zaklęcia są powtórzenia. Powtórzyły więc słowa jeszcze raz, recytując chórem. Zapach kadzidła nie był w stanie zamaskować smrodu palonych włosów i guzika z masy perłowej, zapewne pochodzącej z małża znalezionej na dnie rzeki Tuonela. Stary papier fotograficzny zajął się nagłym płomieniem, który wystrzelił z misy, a potem opadł, zmieniając w spokojny ognek. Zdjęcie spłonęło doszczętnie – pozostała po nim tylko mała kupka czarnego popiołu. Kobiety puściły splecione ręce i zamrugały w

półmroku.

–No i? – zapytała Shirley.

–Zdaje się, że coś poczułam – powiedziała Millie. – Ale to pewnie dlatego, że jestem pijana. Roześmiały się.

–Chciałabym wiedzieć, co przed chwilą powiedziałyśmy.

–Próbowałaś Wieży Babel?[\[4\]](#) Wprowadź to do Wieży Babel i zobacz, co wyskoczy. Gabriella złapała laptop, odnalazła stronę internetową i wpisała zdanie w okienko.

–Fiński? – zapytała.

–Spróbuj.

–Nic.

–Może to jakiś starożytny język? Gabriella zamknęła stronę Wieży Babel i przez chwilę szperała w Internecie.

–Mam coś. Język nostratycki... Niektórzy wierzą, że to praprzodek wielu rodzin językowych.

–Och, spróbuj tego.

Na stronie było okienko tłumacza. Gabriella wpisała tekst i otrzymała odpowiedź. – „Ten, co umarł, będzie żywy. Ten, co żyje, będzie martwy”.

Rozdział 23

Wiatr z północy przyniósł do Starej Tuoneli zapach zgnilizny i szept głosów. Z początku słyszał tylko „sz, sz, sz”.

Ale gdy się skoncentrował, był w stanie rozróżnić pojedyncze słowa.

Wróć

do

nas.

Głosy z przeszłości, sięgające w teraźniejszość. Przez tyle lat czuł się jak w potrzasku. Żył w ciemności, w otchłani.

Czekając. Wiecznie czekając. *Wróć.*

Otchłań nie była takim złym miejscem do istnienia. Nie było tu bólu ani pragnień.

Teraz pragnął. Pożądał.

Czuł, że gdyby udało mu się w jakiś sposób zrzucić tę skorupę, świat stanąłby przed nim otworem. Ale nie umiał przeciąć nici wiążącej go z cielesnością. Nieustannie ściągała go w dół.

Wędrując w myślach, śnił o świecie zewnętrznym. Im mocniej się koncentrował, tym bardziej namacalny i rzeczywisty wydawał się ów świat.

Podróżowanie bez ciała było możliwe. Jak przez mgłę pamiętał, że robił to już wcześniej. Ale to wymagało skupienia. Głębokiej koncentracji. I nie trwało długo. Musi znaleźć sposób, by pozostać w tym stanie.

Skoncentrował się... i nagle poszybował w górę.

Spodziewał się, że gablota muzealna rozsypie się, strzaskana.

Spodziewał się, że uderzy w sufit. Ale śmignął przezeń na wylot i zawisł nad muzeum.

Gdy spojrzął w dół, oczarowany, pochwycił go wiatr i popchnął naprzód. Dosiadł go i pomknął z nim, unosząc się nad domami. I choć nie widział ludzi w środku, czuł ich aurę i zapach.

Szczególnie dzieci i kobiet. Sz, sz, sz.

Głosy podtrzymywały go i niosły coraz dalej. To one były wiatrem, który niósł go ponad kominami i czubkami drzew. Sz, sz, sz.

Brzmiały znajomo. Starzy przyjaciele. Rodzina. Kobiety, które kochał. Dzieci, które kochał i zabił. Sz, sz, sz.

Przeleciał nad mostem na Tuoneli.

Ta płynna wolność była wręcz zmysłowa.

To miejsce.

Boże, ile razy chciał je opuścić? Ile razy próbował? I nagle to, co go więziło, zniknęło. Przez sto lat błąkał się na granicy życia i śmierci, nie mogąc postąpić naprzód, nie mogąc się cofnąć. Jednak coś sprawiło, że został uwolniony.

Płyn.

Płyn. Do kraju twojej matki, do Anglii.

Byle dalej od tego mrocznego, podłego miejsca pełnego złych wspomnień. Pełnego zdradzieckich, podłych ludzi.

A zemsta? Zemsta na tych, którzy go podeszli i zdradzili? Szczególnie jedna osoba...

Gdyby tylko mógł odzyskać swoje ciało. Gdyby znowu mógł być całością.

Przeleciał nad wielkim wiktoriańskim domem i zatrzymał się. Jego myśli zahaczyły o coś. Coś go przyciągało. A oni szeptali: *Tak, tak, tak.*

Wystarczyło, że pomyślał o kierunku, w którym chciał się skierować. Nagle zawrócił i opadł.

Zanurkował prosto w dół.

Zamiast rozbić się o dach, bezszelestnie przeniknął do wnętrza. Szok i zaskoczenie sprawiły, że wstrzymał oddech.

Potrzebował dłuższej chwili, by zdać sobie sprawę, że pokonał fizyczną barierę domu.

Znajdował się w ciemnej komnacie. Przez okno wieżyczki widział rzekę Wisconsin i zwodzony most.

Ona jest na końcu korytarza.

Tak.

Czuł jej obecność i podążył ku niej. Nie musiał się martwić, że narobi hałasu. Przesuwał się bezdźwięcznie kilka centymetrów nad podłogą.

Zatrzymał się. Na lewo była łazienka z wanną na nóżkach. Na prawo otwarte drzwi.

Zatrzymał się w progu. Zamknął oczy i wciągnął powietrze.

Lawenda. Zawsze pachniała lawendą.

Słodka dziewczyna. Słodka kobieta. Moja miłość.

Och, zraniłaś mnie. Tak bardzo mnie zraniłaś.

Sz, sz, sz.

Szepty podtrzymywały go. To one go tu sprowadziły. Prawdziwa miłość.

Była jego prawdziwą miłością. Zrobiliby dla niej wszystko. A ona go zdradziła. Niektórzy mówili, że nie jest zdolny do miłości, ale to nieprawda. Każdy jest zdolny do miłości. Nawet najgorsi, pozbawieni serca ludzie na swój sposób kochają. Nawet jeśli tylko przez chwilę. Nawet jeśli ich miłość jest chora.

Miłość potrafi zaślepić nawet najsilniejszych.

Jęknęła cicho, niespokojnie, i przekręciła się na łóżku.

Czy czuła jego obecność? Czy nawiedził jej sny?

Słodka, słodka dziewczyna.

Był jednocześnie przestraszony i zaciekawiony.

Przysunął się bliżej i zatrzymał przy łóżku.

Przekręciła się na plecy, odrzucając ręce nad głowę. Widział jej piersi zarysowane się pod białym materiałem koszulki.

Pamiętał ją. Pamiętał, jak jej dotykał, jak trzymał ją w ramionach i kochał się z nią.

Jego spojrzenie powędrowało niżej i omal nie krzyknął. Przykrycie zsunęło się i widział jej brzuch. Duży, napięty.

Czy był tu już kiedyś? Przypląnął tu jak teraz? Zmarłemu tak trudno pamiętać.

To takie znajome.

Dziecko.

Wyciągnął ręce... i położył dłonie na jej brzuchu. Dziecko kopnęło. I jeszcze raz.

Jakby wiedziało, że on tu jest. Interesujące.

Uwielbiał dzieci. Gdyby mógł, uśmiechnąłby się.

Podtrzymywali go.

Ci, którzy pozostali mu wierni.

Swoimi szeptami i niewidzialnymi dłońmi. Pochylił się niżej, musnął ustami jej wargi.

Kobieta obudziła się z cichym okrzykiem. Usiadła z rękami wspartymi na materacu, ze źrenicami rozszerzonymi w ciemności.

Poruszyła się i dotknęła brzucha. Niemal czuł jej dłonie na swoich. Dziecko poruszyło się w gwałtownym proteście i kobieta znów

krzyknęła, tym razem jakby z bólu.

Och, moja ukochana.

Niemal czuł jej smak. Powietrze przesycił nagle mdlącośłodki zapach migdałów.

Na ile sposobów próbowałaś mnie zabić? Najpierw trucizna, potem...

Wspomnienie przerażającego bólu rozdarło jego pierś tak, że odskoczył od łóżka. Zdezorientowany i rozżalony, poczuł, że znowu rozplywa się w niebyt i przez krótką chwilę żałował, że tu przyszedł, że przeniknął przez dach, by odwiedzić jej pokój.

Nie myśl o tym, szepnęły głosy. Nie myśl o tym, jak cię zniszczyła... Możesz znowu być silny. Silniejszy niż przedtem. Możemy ci pomóc. On może ci pomóc.

Kobieta w łóżku rozejrzała się po pokoju.

–Gdzie jesteś?

Czyżby go widziała? Co za cudowna myśl. Odwróciła się i wyciągnęła rękę w pustkę.

–Kim jesteś?

Poczuł, że znika.

Jedno, ostatnie syknięcie, zanim iskra zgasła. Znowu mu to zrobiła. Znowu go zabiła.

Odpowiedziałby jej, gdyby mógł. Powiedziałby jej, kim jest - jej utraconą miłością, Richardem Manchesterem.

Rozdział 24

Evan kopał.

Kopał, by znaleźć i zapomnieć. Kopał, by odkryć i uciec. Dół był tak głęboki, że musiał przerzucać ziemię nad głowę. Sypała mu się w oczy, wślizgała we włosy. Czuł jej smak w ustach.

Napędzała go jakaś wewnętrzna i zewnętrzna siła. Jego godziny czuwania zdominowało uczucie pośpiechu.

Szybciej. Kop.

Głosy szeptały do niego, zachęcały, podtrzymywały go na duchu. One też to czuły. Ten pośpiech. *Szybko, szybko, szybko. Tutaj. Kop tutaj.*

Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł. To nie miało znaczenia. Jedzenie było nieważne. Sen, kiedy przychodził, nie był snem, ale utratą przytomności. Jego ciało poddawało się mu i wpadało w niebyt.

Tylko tego pragnął. Tych kilku godzin, kiedy wszystko się zatrzymywało. Tych kilku godzin nicości.

Nie myśl.

Przez mętlik w głowie przebijała się świadomość, że musi odnaleźć pogrzebane sekrety przeszłości. Musi znaleźć odpowiedź – dowiedzieć się, kim naprawdę był Nieśmiertelny i dlaczego zrobił to, co zrobił. Musi się dowiedzieć, kim jest on, Evan Stroud, i czym się staje.

Szpadel uderzył w coś twardego.

Przeciągnął żelazne ostrze po drewnianej powierzchni, odsuwając ziemię, aż przedmiot stał się widoczny. Dziecięca trumna.

Napierając na szpadel, wydobył skrzynkę, uniósł ją i postawił na ziemi obok dołu. Potem sam wspiął się na górę.

Trumna była zamknięta na zardzewiały żelazny zamek.

Chwytał go i spróbował oderwać siłą. Ból przeszył mu dłoń, palce zrobiły się lepkie od krwi.

Uniósł trumienkę na ramię i ruszył przez las w stronę domu.

Evan pchnął kuchenne drzwi.

Ktoś siedział przy stole. Wyglądał znajomo. Evan potrzebował chwili, by przypomnieć sobie imię tego chłopaka.

Graham.

W kuchni było ciemno, paliła się tylko słaba żarówka nad zlewem.

–Co się stało, że tak wcześniej wróciłeś? – zapytał Graham. – Do świtku jeszcze daleko. – W głosie chłopaka słychać było mieszaninę urazy i sarkazmu.

Evan postawił trumnę na podłodze. Była tradycyjna – szersza w ramionach i wąska w nogach. Kiedy Graham zorientował się, co ma przed sobą, zerwał się od stołu.

–To trumna? – Cofnął się.

–Znajdź mi śrubokręt.

–Nie.

Graham stał w drzwiach. Wyglądał, jakby szykował się do ucieczki, a jednocześnie nie mógł oderwać oczu od drewnianej skrzynki. Dopiero w słabym kuchennym świetle Evan dostrzegł na wieku trumny wyrzeźbiony krzyż. Wskazał palcem.

–W tamtej szufladzie.

–Co sobie zrobiłeś? Krwawisz. – Graham złapał kuchenną ścierkę i podał Evanowi. Evan zagapił się na nią. Krew kapła na jego buty i podłogę. Owinął dłoń szmatką.

–Musisz to odnieść na miejsce. – Graham wskazał trumnę. – Nie możesz ciągle wykopywać zmarłych. Evan przeszedł przez kuchnię,

wyszarpnął szufladę i wyjął z niej śrubokręt. Wyciągnął go w stronę Grahama.

–Otwórz.

Graham pokręcił głową.

–To profanacja zwłok.

–Otwórz, mówię.

Graham podszedł do niego z ociąganiem, szurając nogami. Kucnął przed trumienką i wsunął czubek śrubokrętu pod żelazny skobel.

–Powinieneś iść na zastrzyk przeciwzęzcowy – wymamrotał – jeśli skaleczyłeś się o to zardzewiałe świństwo.

–Nic mi nie będzie.

Skobel nie był zabezpieczony kłódką, ale rdza mocno zespoliła metalowe części.

Używając śrubokrętu, Graham wyłamał zamek, tak że wieko trumny trzymało się już tylko na dwóch zawiasach. Evan podszedł bliżej, przyciskając zakrwawioną ścierkę do dłoni. Graham uniósł głowę.

–Otwórz – szepnął Evan.

Chłopak przełknął ślinę i pokręcił głową.

–Zrób to.

Graham skapitulował.

Palcami obu dłoni obruszył wieko. Potem gwałtownie podrzucił je do góry, odskoczył w tył i zaczął uciekać na czworakach, niczym wielki pająk. Po chwili się zatrzymał. Strach w jego oczach zmienił się w zdumienie.

Pochylony jak starzec, Evan podszedł bliżej, by obejrzeć zawartość. Żadnego zmumifikowanego dziecka. Żadnego ciała. Tylko książki.

A właściwie nie tyle książki, co pamiętniki otulone poźółkłą dziecięcą sukienką. Do tego sztylet i coś, co wyglądało na resztki kwiatów, które rozsypały się pod wpływem czasu.

Evan podniósł jeden z pamiętników. Otworzył go ostrożnie i z czcią.

Kobięcy charakter pisma, wyblakły czarny atrament.

Krucze, zbrązowiałe stroniczki pachniały lawendą i szałwią. Evan zamknął oczy i wciągnął zapach.

–To jest to – wyszeptał, czując, jak łomocze mu serce. – To, czego szukałem.

Graham zbliżył się na czworakach i zatrzymał się o krok od trumny.

–Co to jest?

Powszechnie sądzono, że nie zachowały się żadne zapiski ze Starej Tuoneli. Historia miasta tonęła w mroku tajemnicy i gmatwaninie ludowych przekazów. Opowieści wciąż się zmieniały. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę wydarzyło się sto lat temu.

–To skarbnica tajemnic. – Evan przycisnął oprawiony w skórę pamiętnik do piersi. Nareszcie poznają prawdę.

Usiadł na podłodze obok trumny, sięgnął do środka i wyjął kolejny zeszyt. Zaczął ostrożnie przewracać kartki.

Były zapisane przez kobietę o imieniu Florence. Florence.

Kiedys słyszał, jak ktoś szepcze to imię...

Półprzytomny, zorientował się, że ktoś do niego mówi – coś o wyjeździe, Tuoneli i mieszkaniu u dziadka. Evan nie odpowiedział. Trzasnęły drzwi. Samochód ruszył i odjechał... Evan zatonął w słowach.

Wcześniejsze dzienniki dokumentowały pełną trudów podróż ze

Wschodu, zakończoną osiedleniem się w miejscu, nazywane teraz Starą Tuonelą. Z początku opowieść przypominała typową historię wędrowni na Zachód, tak powszechnej w tamtych czasach. Richard Manchester i ludzie, którzy za nim szli, osiedlili się w pięknej i odludnej dolinie w zachodnim Wisconsin, gdzie mieli nadzieję żyć w pokoju, nie będąc niepokojeni przez świat zewnętrzny.

W miarę jak Evan czytał dalej, opowieść stawała się coraz bardziej dziwna: „Kobiety śpią w jednym domu, mężczyźni w drugim. Gdy ciężarna zlegnie, dziecko jest jej odbierane i chowane w żłobku. Siostra moja, Victoria, rozpaczła serdecznie przez kilka pierwszych miesięcy. Ale teraz minęły już lata...”

Kolejny wpis był w zupełnie innym tonie: „Dzieci giną! Boże, ochroń nas! Obawiamy się, że słodka córeczka Victorii może być następna”.

Manchester zrzucał winę za te śmierci na stada kojotów, których wycie było słychać tuż za kręgiem świateł miasta.

Mężczyźni zaczęli trzymać nocą straż. Zorganizowali masowe polowanie, prawdziwą masakrę – zaciągali martwe kojoty na miejski plac i rzucali w ogień. Ale ludzie nie przestali ginąć.

Niektórzy zaczęli podejrzewać Manchestera, ale była to niepopularna teoria. Był ich przywódcą. Podejrzenie spowodowało rozłam, a nieliczni, którzy wygłaszali niepopularne opinie, stali się wyrzutkami, „innymi”. „Niektórzy powiadają, że on jest wampirem i dlatego nigdy nie udziela się za dnia i nalega, by wspólne modły odprawiać dopiero po zmroku. Nie wierzę w te brednie. Mój ojciec był lekarzem i widywałam różne skórne przypadłości. Manchester cierpi na jedną z nich. Ale cierpi też na chorobę duszy. To szalony człowiek. Gdy tylko śniegi stopnieją, ja i siostra moja opuścimy to nienawistne

miejsce. Uciekniemy potajemnie z jej córeczką, wrócimy do Bostonu i opowiemy naszą historię każdemu, kto zechce słuchać. Victoria mówi, że nikt nam nie uwierzy. Że wsadzą nas za kraty i nazwą szalonymi. Lękam się, że ma rację. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że gdzieś jest człowiek, który pije krew i pożera własne potomstwo?" Była spora luka w datach. Prawie dwa miesiące. A potem krótki wpis: „Victoria zaginęła. Jej córeczka Sara również.

Zabił je. Jestem tego pewna".

Kilka tygodni później: „Manchester wie, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Nie wiem, jak się domyślił. Powiedział mi, iż martwi się, że ktoś spróbuje go uśmiercić. Nigdy nie jesteśmy sami – strażnicy pozostają w izbie, nawet kiedy jestem zmuszona do jego fizycznych zbliżeń. Napisałabym więcej, opowiedziałabym o truciznie w jego winie, ale nie śmiem.

Sypia strzeżony przez swych ludzi. Stoją nad jego łóżem. Aleja przekonam go, że musimy zostać sami".

Inny wpis: „Och, jak straszne zniwo zebrała śmierć! Kilka dzielnych dusz, które przyłączyły się do walki z nim, zostało pomordowanych, głównie kobiety i dzieci. Wszyscy nie żyją, niewinne owieczki. Jego poplecznicy wykopali dół, zepchnęli doń ciała i zasypali ziemią. Wiem, że powinnam ich opłakiwać, ale nie czuję nic. Nawet rozpaczy".

Minęły dwa miesiące: „Jestem przy nadziei. Noszę jego dziecko. Jak będzie wyglądać? Czy będzie złe jak on? Czy mam je Utopić, gdy tylko chwyci pierwszy dech? Tak. Jego pomiot nie może żyć".

Kolejny miesiąc: „Nie żyje.

Zabiłam go jego własnym sztyletem, gdy leżał w łóżku. Kiedy klinga przeszła jego serce, poczułam, jak dziecię poruszyło się we

mnie.

Wielu mieszkańców miasta uciekło. Ci, którzy pozostali, pochowali Manchestera na kościelnym cmentarzu. Tak jak im polecałam, posadzili na jego grobie dąb, by nie powstał z martwych.

My, którzy przetrwaliśmy, nie rozmawiamy o tym. Wiemy, że nie wolno o tym mówić. Już nigdy nie wolno o tym mówić.

Oni muszą odejść pierwsi. Beze mnie. Muszą odejść i nigdy nie wracać. Ja zostanę do rozwiązania. Dokończę pamiętnik i zabiję dziecko. A potem? Czy mam pójść za nimi na nowe miejsce? Czy zostać tutaj, blisko mojej ukochanej zmarłej siostry Victorii? Ktoś musi dotrzymać jej towarzystwa. Ktoś musi zostać na straży tego mrocznego, złego miejsca i dopilnować, by nic stąd nie uciekło".

Rozdział 25

Obudziłam się w ciszy. Musiałam zasnąć albo urwał mi się film. Odtwarzacz już nie grał, było mi zimno w nos, a ognisko zamieniło się w stertę rozżarzonych węgli.

Ian i Stewart spali w swoich śpiworach. Śpiwór Claire był pusty.

Serce zabiło mi niespokojnie. Spróbowałam odtworzyć wydarzenia wieczoru, ale nie było to łatwe. Sporo wypiałam.

Claire poszła do toalety, Ian nastawił płytę, a potem widocznie odpłynęłam... Zupełnie nie pamiętałam, jak wlałam do śpiwora.

Chciałam go rozsunąć, ale suwak się zaciął. Wyczołgałam się więc górą, wijąc się i wierzgając, aż uwolniłam nogi.

Odnalazłam tenisówki, włożyłam je i rozejrzałam się za latarką.

Wzięła ją Claire.

Chciałam obudzić Iana i Stewarta, ale pomyślałam, że to głupie. Claire pewnie rzygała albo pracowała. W łazience były gniazdka i światło. Już wcześniej podłączyła laptop do ładowania i teraz zapewne siedziała tam, pisząc komentarz do zdjęć z kempingu.

O rany. Czułam się fatalnie.

Namierzyłam łazienkę i, potykając się, ruszyłam przez ciemność w stronę żółtego blasku żarówki nad drzwiami.

Było mi wstyd, że znowu się nachlałam, ale czułam się zbyt gównianie, by głębiej się nad tym zastanawiać.

Postanowiłam odłożyć to do rana.

Rano będę siebie bardziej nienawidziła.

Strasznie chciało mi się sikać, więc ucieszyłam się, gdy wreszcie pokonałam grzbiet pagórka i zobaczyłam toaletę w małej dolince. Dwa

wejścia oświetlała pojedyncza lampka.

Ale milusio.

Noc rozmyła odcienie, wyssała barwy, nadając otoczeniu koloryt telewizyjnego programu z lat sześćdziesiątych.

Mój wzrok też nie był najlepszy. Wciąż byłem trochę pijana i nie najlepiej widziałam. Miałam wrażenie, jakby moje oczy pokrywała cienka warstewka wazeliny.

Wyciągnąć życie z szamba.

Kiedy to zrobię? Czy nie powinnam tego robić właśnie teraz?

Rozpięłam spodnie, gdy tylko postawiłam nogę na cementowym chodniku. Było mi zimno jak cholera.

Przypomniałam sobie, że Claire pożyczyła moją kurtkę.

Toalety nie miały drzwi. Tylko zakręt w lewo, a potem w prawo. – Claire?

Pokonałam ostatni zakręt i rozpoznałam różowozieloną pepitkę mojej kurtki, ciśniętej w kąt pod umywalką. Jakby ktoś ją tam kopnął.

Ogarnęła mnie dziwna mieszanina złości i strachu. Złości na Claire, za to że rzuciła moją kurtkę do kąta. Strachu – bo wiedziałam, że dzieje się tu coś dziwnego. Skupiłam się na złości, bo tak było prościej.

Nagle poczułam zapach.

Kiedyś zastałam mojego wujka, jak sprawiał w kuchni jelenia. Jeśli byliście kiedyś przy sprawianiu zwierzęcia, znacie ten zapach. Surowy i przytłaczający. Niepodobny do żadnego innego. Moim zdaniem ludzie mają się go brzydzić.

Tego dnia zostałam wegetarianką. Koniec z wcinaniem krwawych trupów.

Wszyscy mówili, że mi przejdzie. Mylili się.

Podeszwy moich butów kleiły się do podłogi. Nie spojrzałam w dół. Nie miałam odwagi.

–Claire? – szepnęłam.

W łazience było sześć kabin.

Powoli pchnęłam pierwsze szare drzwi.

Pusto.

Następne.

Kiedy otworzyłam trzecie, poczułam, jak włosy stają mi dęba. Rozdziawiłam usta. Żółć podeszła mi do gardła, aż zaczęłam się głośno dławić.

To tylko sprawiony jeleń, powiedziałam sobie, choć oczy ze strachu wyłaziły mi na wierzch. Tylko oskórowany jeleń. Krew na podeszwach butów przykleiła mnie do podłogi. Stałam i patrzyłam, nie mrugając, choć mój umysł pędził już do obozu, budził Iana i Stewarta, wrzeszczał, by znaleźli telefon.

Nie wiem, jak długo tam stałam.

Sekundy.

Godziny.

Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Wystarczy, że trwało dość długo, by zapach krwi i śmierci na zawsze wżarł się w moje zatoki, a obraz tego, co zostało z Claire, został wytatuowany na mojej siatkówce. Będzie tam do końca mojego życia. Gdziekolwiek spojrzę, gdziekolwiek się obrócę, będzie tam.

Pobiegłam.

Nie zdawałam sobie sprawy z ruchu własnych nóg – czułam tylko, że lecę na łeb, na szyję, a w moich uszach rozbrzmiewa ryk, głośny jak huk oceanu. Ktoś wrzeszczał. I nie chciał przestać.

Zdarłam sobie gardło do żywego. Wpadłam do obozu.

Wszędzie walały się ślady naszej popijawy. Butelki piwa. Ależ byliśmy głupi. Głupi, głupi, głupi. Ian i Stewart stali koło swoich śpiworów, z rękami zwieszonymi bezwładnie u boków, gapiąc się na mnie z przerażeniem w oczach. Usta Iana się poruszały.

Chyba powiedział: „Co się stało?” Ale ja słyszałam tylko wrzask. Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął, zmuszając, żebym spojrzała mu w twarz, w oczy. Widziałam w nich obdarte ze skóry ciało Claire. Odwróciłam się.

Koszmarny widok podążył za mną.

Miałam wrażenie, że oglądam niemy film. Niemy film z orkiestrą, która gra za głośno.

Nie byłam w stanie powiedzieć chłopakom, co zobaczyłam. Nie byłam w stanie się porozumiewać, ale oni wyczytali to z mojej twarzy. Ian oderwał ode mnie wzrok i spojrzał w kierunku, z którego przyszłam. Powiedział coś do Stewarta. Stewart pokręcił głową, Ian puścił mnie i pobiegł w stronę toalety.

–Nie! – W końcu udało mi się krzyknąć. – Nie, Ian!

Pognałam za nim. Dopadłam go i powaliłam na ziemię. Próbował mnie odepchnąć.

Przypomniałam sobie wczorajszy wieczór, to, jak wygiął Claire. Zawsze mu się podobała, chociaż wiedział, że nigdy nie będzie jej mieć.

Nigdy, nigdy, nigdy.

–Nie idź tam – szlochałam.

Nie chciałam, żeby zobaczył to, co ja. Nie chciałam, żeby to było jego ostatnie wspomnienie o Claire. Niech pamięta ją tańczącą przy ognisku.

Już ze mną nie walczy.

Wie. Oczywiście, że wie.

Płaczę, a on mi wtóruje. Palcami jak szpony przyciąga mnie do siebie. Obejmuje mnie, ale nie myśli o mnie. Myśli o Claire.

Rozdział 26

Przy wjeździe na pole namiotowe stał policjant, kierując ruchem. Czerwono-niebieski kogut na jego radiowozie mrugał powoli, bezgłośnie. Kiedy funkcjonariusz dostrzegł furgonetkę koronera, pokierował Rachel w bramę, machając latarką.

Samochód toczył się powoli i w podskokach po leśnej drodze wysłanej sosnowymi igłami. Między kępami drzew Rachel widziała połyskującą taflę jeziora Tuonela.

Jeśli się nie wiedziało, że jezioro tam jest, można go było nie zauważyć albo pomylić wodne refleksy ze światłami budynku.

Powtarzalność.

Powtarzalność jest sednem wszystkiego. Przyrody. Pór roku. Wzorów i układów liści, i kwiatów. Morderstwa.

Morderstwo zawsze się powtórzy, czy to popełnione przez tę samą osobę, czy jako nowa zbrodnia, z nowymi aktorami.

Czasami Rachel nie była pewna, czy będzie w stanie wykonywać swoją pracę dalej. Co będzie, kiedy urodzi się dziecko? Będzie musiała wynajmować kogoś do opieki, by móc wyjeżdżać w środku nocy. Dziecko będzie płakało, domagając się jedzenia, a ona będzie wracała do domu cuchnąca śmiercią.

Jezioro Tuonela.

Wędkowała tu z rodzicami. Czasami przyjeżdżał też Evan z rodziną. W czasach, kiedy byli dziećmi. Zanim zachorował.

Od tamtej pory kemping unowocześniono. Pojawiły się prysznice, elektryczność i prawdziwe, splukiwane toalety.

Nietrudno było znaleźć miejsce zbrodni. Światła kilku radiowozów

rozjaśniały noc.

Zaparkowała na skraju drogi, wyłączyła zapłon i z lekkim trudem wysiadła z furgonetki. Jej brzuch ocierał się o kierownicę. Wzięła zestaw do zabezpieczania dowodów i ruszyła w stronę świateł.

Przed toaletą Alastair Stroud rozmawiał z rudowłosą dziewczyną otuloną różowym śpiworem Barbie. Dziewczyna dygotała gwałtownie, jej wargi były sine.

Sine wargi i dreszcze były objawem szoku i nie miały nic wspólnego z temperaturą. Niedaleko, przy stole piknikowym, siedziało dwóch chłopaków na oko tuż po dwudziestce.

Członkowie ekipy kręcącej film dokumentalny.

Mówiło o nich całe miasto. Rachel zirytował ich wygląd z medium i stacjatelewizyjną. Z drugiej strony burmistrz McBride wkurzał ludzi i deptał im po odciskach. Poza tym, wabiąc turystów mumią Nieśmiertelnego, musiał się spodziewać, że może być przedmiotem żartów.

–To jest Kristin Blackmoore – powiedział Alastair. – Członek ekipy filmowej. To ona znalazła ciało.

Oczy dziewczyny były podpuchnięte, nos czerwony. Kurczowo ścisnęła śpiwór pod brodą, jej wargi nie przestawały drżeć.

Rachel miała ochotę ją objąć. Gdyby żył jej ojciec, pewnie by to zrobił. Ale uspokajanie świadków nie należało do jej zawodowych obowiązków, nawet jeśli czasem to robiła od czasu powrotu do Tuoneli. Alastair nie wyglądał na skłonnego do takich odruchów.

–Widziała pani albo słyszała cokolwiek? – zapytała Rachel. Dziewczyna pokręciła głową.

–Mówi, że się obudziła i zobaczyła pusty śpiwór koleżanki. Przyszła tutaj i znalazła ciało.

–Przyszła pani prosto do toalety?

–Tak.

–Dlaczego tutaj? – zapytał Alastair. – Nie rozejrzała się pani najpierw po obozie?

–Nie wiem. Po prostu myślałam, że jest tutaj. – Dziewczyna zmarszczyła brwi. – Miała moją kurtkę.

–Co?

–Było jej zimno, więc pożyczyła moją kurtkę.

Ludzie w szoku często wygłaszają niedorzeczne komentarze. Rachel pomyślała, że ten może być mniej niedorzeczny, niż się wydaje.

–Pójdę obejrzeć ciało. Dziewczyna pobieliała na twarzy. Rachel podeszła i chwyciła ją pod ramię.

–Powinna pani usiąść.

–Mam krew na butach – powiedziała Kristin bez intonacji, bez tchu.

Jeden z młodych mężczyzn wstał od stolika, podeszedł i chwycił ją pod drugie ramię.

–Chodź – powiedział łagodnie. – Chodź, usiądź z nami.

–Zabieramy całą trójkę do miasta – oznajmił Alastair. – Przesłuchamy ich oddzielnie i sprawdzimy, czy ich wersje się pokrywają.

Ruszyli w stronę toalety. Z damskiej części prowadził szlak krwawych odcisków butów. Sportowy kształt i wzór podeszwy pasowały do tenisówek Kristin. Będą potrzebowali odcisku jej buta.

–Myślisz, że mogło to zrobić któreś z nich? – zapytała Rachel.

–Wszyscy są podejrzani. Ona jest nawet zbyt roztrzęsiona. Chłopak niemal zbyt spokojny.

Rachel nie zamierzała się sprzeczać. Wiedziała, że nawet niewinnie wyglądające dzieci mogą być mordercami, chociaż te dzieciaki raczej nie wydawały jej się podejrzane. Ciało wyglądało jak tamto poprzednie: obdarte ze skóry, leżało w pozycji płodowej.

–Kojoty? – zapytał Alastair.

Rachel nigdy nie wierzyła, że to kojoty zabiły poprzednią ofiarę. Był to tylko wybieg burmistrza McBride'a, który chciał w ten sposób uspokoić mieszkańców miasta i turystów.

–Nie rób takiej zdziwionej miny – powiedział Alastair. – Może i wyglądają jak wychudzone kundły, ale kiedyś widziałem, jak pożarły cielaka w chwili, kiedy się rodził. Zjadły go, zanim dotknął ziemi.

–To jest toaleta. Jakoś trudno mi uwierzyć, by dzikie zwierzęta weszły do miejsca tak przesyconego ludzkim zapachem. – Obejrzała podłogę. – Nie ma śladów łap. – Jedyne ślady miały ten sam kształt, co odciski na chodniku.

–Może została zaatakowana na zewnątrz, wczołgała się tutaj i umarła. Jak długo może przeżyć człowiek bez skóry? Przerazająca teoria, ale nie nieprawdopodobna.

Alastair wskazał rozmazane smugi krwi, prowadzące do wnętrza. Boże święty. Miał rację.

–Wygląda na ten sam sposób działania, co w przypadku dziewczyny w lesie – powiedział. Rachel poczuła mdłości. Wyszła na zewnątrz i wzięła kilka głębokich wdechów. Alastair wyszedł za nią.

–Będę wiedziała więcej, kiedy przewieziemy ciało do prosektorium – powiedziała. – Spróbuję poszukać jakichś anomalii.

–Nie jestem nawet pewny, czy to osoba, o której myślimy. – Ściągnę dane dentystyczne, żeby ją zidentyfikować.

–Możemy tak gdybać cały dzień, ale pewnie i tak do niczego nas to

nie doprowadzi. – Wydawał się zamyślony, rozkojarzony.

Pewnie nie było mu łatwo. Ledwie wrócił do Tuoneli i objął komendanturę policji, a wydarzyły się dwa koszmarnie morderstwa. Zachowywał się prawie tak, jakby to była jego wina. Rachel uważała, że pierwsze dochodzenie prowadził o wiele za mało agresywnie, że praktycznie pozwolił burmistrzowi zamieść sprawę pod dywan. Nie zamierzała mu jednak wytykać tego teraz.

–Aż boję się dzwonić do rodziców. – Wyglądał na przerażonego tą myślą. Nie nadawał się do tej roboty. Za dużo lat, za miękkie serce.

–A co ze skórą? – zapytała Rachel.

Niewielu ludzi wiedziało, że Alastair przeżył załamanie nerwowe, kiedy Evan się rozchorował. Rachel wiedziała o tym od swojego ojca, który przykazał jej, żeby nikomu o tym nie wspominała. Rachel obawiała się, że powrót do dawnej pracy nie służył Alastairowi. Powinien grać w golfa na Florydzie. Powinien cieszyć się życiem.

–Moi ludzie przeczesują teren. Może ją znajdą.

–Poprzedniej nie znaleziono – przypomniała mu Rachel. – Czy informacja, że pierwsze ciało zostało obdarte ze skóry, trafiła do mediów?

–Tak, ale celowo nie wdawaliśmy się w szczegóły.

–Więc raczej można wykluczyć naśladowcę?

–Niekoniecznie. Tuonela ma swoje tajemnice, ale wszystkie prędzej czy później wychodzą na jaw. Ludzie gadają. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi morderstwo.

Rozdział 27

Wózek z czarnym workiem zawierającym ciało został wsunięty do furgonetki koronera. Alastair Stroud zatrzasnął drzwi i po chwili Rachel odjechała.

Druga śmierć ściągnie stanową dochodzeniówkę, a jeśli media narobią szumu, nawet FBI.

Może to nie był Evan. Może Evan tego nie zrobił.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrobić w to ekipy filmowej, ale natychmiast zawstydził się swojego pomysłu.

Jezu Chryste. Był chorym sukinsynem. Kiedy Evan dorastał, nie wybaczał mu nawet niewinnych kłamstewek, a teraz nagle myślał o wrobieniu w morderstwo niewinnych dzieciaków.

Czy na pewno byli niewinni? Może nie.

Miał ochotę wskoczyć w samochód i pojechać prosto do Evana, ale to wyglądałoby dziwnie – miał przecież świadków do przesłuchania. Zamiast jechać do Starej Tuoneli, w drodze na komendę zadzwonił do syna. Nikt nie odebrał. Spróbował dodzwonić się na komórkę Grahama. Żadnej odpowiedzi.

Młodzi ludzie dotarli na komendę przed nim. Przesłuchał każde z osobna. Ich wersje wydarzeń były podobne.

Imprezowali, dość mocno się upili, prawdopodobnie posnęli. Potem zorientowali się, że Claire nie ma.

Dziewczyna, Kristin Blackmoore, jeszcze się trzęsła, Ian, jeden z chłopaków, był w szoku.

–Podobała mi się – powiedział, nie patrząc na Alastaira. Może nawet zapomniał, że komendant jest w pokoju. – Żałuję, że jej tego nie

powiedziałem. Biedny dzieciak. Ian zmarszczył brwi, jakby próbował poukładać sobie to wszystko. – Świetnie się bawiliśmy wczoraj wieczorem. Śmiałyśmy się i wygłupialiśmy. – Wolno pokręcił głową. – Teraz to wydaje się takie... nie na miejscu.

–Nie wiedziałeś, co się stanie. – Alastair starał się, by jego głos brzmiał kojąco, spokojnie. – Prawda? Chłopak uniósł głowę; włosy opadały mu na czoło. Oczy spojrzały przytomniej.

–Co pan ma na myśli? Pyta pan, czy to ja ją zabiłem?

–Muszę zadawać takie pytania. A co z resztą ekipy? Lubiły się z Kristin?

–Chyba nie bardzo. Ale Kristin tego nie zrobiła. Nikt z nas tego nie zrobił. Ian szybko dochodził do siebie. Wycelował w Alastaira palec wskazujący.

–To nie był nikt z nas. Po prostu chcecie zwalić winę na kogoś innego. Chcecie to zwalić na przyjezdnych, chociaż to był ktoś albo coś z waszego miasta.

Alastair zachował neutralny wyraz twarzy. Poczul, że powoli wraca mu rozsądek. To były tylko dzieciaki, mimo że nie pochodziły stąd.

Kontynuował przesłuchanie. Dowiedział się, że Claire i Stewart umówili się parę razy.

Zazdrość?

Wiedział, że chwyta się brzytwy, Ian miał rację, oskarżając go o szukanie kozła ofiarnego. Potrzebował kozła ofiarnego.

Rozdział 28

Chcę stąd wyjechać, i to już – oznajmił Stewart.

Opierał się o ścianę, z rękami ciasno splecionymi na piersi. Obok niego w takiej samej pozie, tyle że ze spuszczoną głową i ze wzrokiem wbitym w podłogę stał Ian.

Ja stałam naprzeciw nich, z rękami w kieszeniach bluzy.

–Muszą porównać nasze zeznania. Widziałam to w telewizji. –
Ponieważ to ja znalazłam ciało, moje przesłuchanie trwało dłużej. –
Czy tu jest zimno? Jest zimno, prawda?

Moje słowa nie od razu do nich dotarły. Po sekundzie Ian uniósł głowę, popatrzył na mnie dłużej i powiedział:

–Nie wydaje mi się.

–Kogo mieliście? – zapytał Stewart.

–Starego. – Pociągnęłam za suwak, dopinając go pod samą brodę.
– Zdaje się, że wszyscy go mieliśmy. Wiedzie, że to dziadek Grahama Strouda?

Nie rozplatając rąk, Stewart odepchnął się tyłkiem od ściany.

–Wszyscy w tym mieście są spokrewnieni. Aż przechodzą ciary. Ian kiwnął głową, ale się nie odezwał. Miałam wrażenie, że jesteśmy w jakimś starym filmie. Ściana była cementowa, pomalowana na pretensjonalny, kremowy kolor. Podwieszane, tłumiące dźwięk sufity były niskie, poźółkłe kwadraty powtarzały wzór podłogi. Przez wszechobecny zapach sosnowego detergentu przebijał się nieusuwalny odór starego budynku i zaschłego moczu. Bezwiednie sięgnęłam na ramię do torby z kamerą, ale zawahałam się.

Jak mogłam myśleć o kręceniu w takiej chwili? Ale czy właśnie

nie w takich chwilach dokumentowana jest historia? Kiedy inni świadkowie stoją jak sparaliżowani, tylko się przyglądając?

–Oni są jak jakaś cholerna spółdzielnia, czy coś. – Ian uniósł wzrok. Oczy miał przekrwione, nie do końca przytomne. Czyżby jeszcze nie doszedł do siebie po wczorajszym wieczorze?

Wyciągnęłam kamerę i odsłoniłam obiektyw.

–Co ty robisz? Wcisnęłam guzik zasilania.

–A jak to wygląda? Ian rozplótł ręce i wyprostował się, odklejając się od ściany.

–To nie jest okazja do kręcenia filmu, do cholery. Claire nie żyje. Dopiero co zginęła.

–Wiem o tym. To ja ją znalazłam, pamiętasz?

Ian szturchnął mnie w ramię. Niezbyt mocno, ale agresywnie.

–Ty pasożycie. Ty cholerna oportunistko.

Podniósł rękę, by znów mnie pchnąć, ale Stewart skoczył między nas.

–Hej, no co ty.

–Sfilmowałaś też ciało Claire? – zapytał Ian.

Moja twarz mnie zdradziła. Gdy Stewart i Ian siedzieli w szoku, przygnieceni rozpaczą, ja wróciłam do toalety, by zdążyć przed policją.

–Ty suko. – Ian zaczął się szamotać, próbując przedrzeć się przez Stewarta, który mocno go trzymał. – Zrobiłaś to! Ty suko! – Przestał walczyć i klapnął bezwładnie na ścianę.

Odłożyłam kamerę.

Chciałam się tłumaczyć, bronić, ale może Ian miał rację. Może zwyczajnie próbowałam wykorzystać sytuację, nadając temu pozory dziennikarstwa.

Niestety, każdy z nas ma w sobie coś z Jerry'ego Springera.

Czy widziałam w śmierci Claire okazję, by pchnąć naprzód moją nieistniejącą karierę? Boże, nie chciałam myśleć, że jestem aż tak płytka, a jednocześnie wiedziałam, że samooszukiwanie się leży w ludzkiej naturze. Ludzie noszą publiczne maski, ale prywatne maski, te, które zakładamy, by oszukać samych siebie, są najbardziej przerażające.

–Nie martw się – powiedziałam. – Skonfiskowali taśmę. – Nie mam nic. Zabrali wszystkie zdjęcia, jakie nakręciłam od przyjazdu. Wątpię, by udało mi się je odzyskać.

Zjawił się komendant Stroud.

–Jesteście wolni. Mamy wasze numery telefonów i adresy w razie, gdybyśmy chcieli się z wami skontaktować.

–Możemy wyjechać z miasta? – zapytał Stewart.

–Nawet powinniście. Możecie zabrać swoje rzeczy z pola namiotowego. Śledczy już skończyli. Zresztą obozowisko nie było częścią miejsca zbrodni.

–Ja tam nie wracam – oznajmił Ian.

Stewart pokręcił głową.

–Ja też nie.

Stroud przyjrzał się po kolei każdemu z nas. Z sekundy na sekundę jego mina łagodniała. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął portfel, otworzył go i wyciągnął dwudziestaka.

–Osiem kilometrów za miastem jest parking dla ciężarówek i bar. Tani, ale przyzwoity. Zatrzymajcie się tam i zjedzcie jakieś śniadanie.

Ian gapił się na pieniądze, jakby były skażone. Mnie zemdliło na samą myśl o jedzeniu, choć nie jedliśmy od bardzo dawna. Stewart najwyraźniej myślał o tym samym. Wziął zaferowany banknot i

wetknął do przedniej kieszeni džinsów. Nie powiedział komendantowi „dziękuję”. To by było jak rozgrzeszenie go, kiedy wszyscy obecni, łącznie ze Stroudem, wiedzieli, że Claire żyłaby, gdyby nie Tuonela.

Wyszliśmy z budynku.

–Równie dobrze mógł powiedzieć „Uważajcie, żeby drzwi nie przytrzasnęły wam tyłka” – rzucił Stewart, kiedy zbiegaliśmy po szerokich stopniach komendy.

Przeszliśmy pół przecznicy i byliśmy przy vanie. Ian zatrzymał się z ręką na klamce drzwi pasażera.

–A co z Claire?

–Jak to, co z Claire? – zapytał Stewart.

–Nie możemy jej tutaj zostawić.

–Claire nie żyje – powiedziałam powoli i wyraźnie.

Rozkleił się. Pamiętam, że kiedy umarł dziadek, musieli dać babci coś na uspokojenie, bo nie mogła przestać krzyczeć. Może Ian też powinien coś wziąć.

Oparł się bezwładnie o samochód.

–Wiem.

Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jaki jest delikatny, z cienkimi nadgarstkami i kościstymi łokciami. Po prostu dzieciak.

–Nie możemy jej zostawić. – Usta miał wygięte w podkówkę, jak dziecko, nos ocierał grzbietem dłoni.

–Ciało musi zostać tutaj, przynajmniej przez jakiś czas – wyjaśniłam. – Chcą przeprowadzić sekcję.

Pokręcił głową.

–Tutaj? W tym mieście pełnym zombi? To nie w porządku. Powinna wrócić z nami do Minnesoty. Powinni ją obejrzeć normalni ludzie, a nie banda pieprzonych świrów, którzy i tak spróbują

wszystko zatuszować.

–Wyślą ciało do domu, kiedy tylko patolog skończy sekcję.

Jego ramiona zaczęły się trząść i już po chwili szlochał bez opamiętania.

Nie jestem specjalną fanką kontaktu fizycznego. Nie lubię być przytulana. Tak naprawdę nie lubię się nawet całować. Jednak teraz ogarnęła mnie fala współczucia i otoczyłam Iana ramionami. Był wyższy i pochylił nade mną głowę. Cały ból i napięcie spłynęły do jego rąk, ściskających kurczowo moje ramiona. Natychmiast pożałowałam swojego odruchu, ale przecież nie mogłam się wycofać. Poklepałam go po plecach, a potem głaskałam, tak jak matka głaszcze dziecko.

Choć krępowała mnie ta fizyczna bliskość, Ianowi najwyraźniej pomogła. Zaczął się uspokajać, szloch powoli cichł. W końcu oderwaliśmy się od siebie i jak automaty wsiedliśmy do vana. Ja zajęłam miejsce Claire z przodu; Ian usiadł z tyłu.

I nagle to do mnie dotarło: nie mogłam wyjechać. Jeszcze nie. Może naprawdę byłam pasożytem, może naprawdę myślałam tylko o sobie.

–Nie możemy wyjechać. Obaj posłali mi zszokowane, pełne niedowierzania spojrzenia.

–Wynosimy się stąd natychmiast – powiedział Stewart, który najwyraźniej przyjął na siebie rolę przywódcy grupy.

Ludzie nas obserwowali.

Stali grupkami na chodniku, przygarbieni, rozgadani, raz po raz zerkając w naszą stronę. Niektórzy otwarcie się gapili.

–Jedź. – Pogoniłam go ruchem ręki.

–Z przyjemnością. – Stewart wrzucił bieg i odjechał od

krawężnika.

Głowy obróciły się za nami. Wszyscy gapie, których mijaliśmy, patrzyli na nas tak samo – z lekko opadniętą szczęką, nieruchomym wzrokiem.

–Dlaczego oni tak na nas patrzą? – Głos Iana był pełen napięcia. – Jakbyśmy zrobili coś złego.

–Płakałeś tam jak dziecko – odparł Stewart. – Ludzie zwykle się gapią i tyle. Kiedyś widziałem, jak kobieta dostała zawału w centrum handlowym. Ludzie przyszli i patrzyli, jak ratownicy rozrywają jej bluzkę i przykładają elektrody do piersi.

–Jesteśmy ich dziwadłami – powiedziałam. – Przyjechaliśmy się na nich pogapić. Teraz oni gapią się na nas.

Przejechaliśmy kilka przecznic. Wskazałam miejsce.

–Zatrzymaj się.

–Nie. Musiałam podnieść głos i zrobić aferę. Stewart się zatrzymał.

–Musimy zostać – powtórzyłam, jakbym mówiła do dzieci. Stewart i Ian pokręcili głowami.

–Gdyby naprawdę zależało wam na Claire, zgodzilibyście się ze mną. – Co ja bredziłam?

–Tu nie chodzi o Claire. – Stewart przewiesił rękę przez kierownicę. – Ty po prostu chcesz sfilmować jakieś pokręcone gównno, skleić z tego film dokumentalny i wyrobić sobie nazwisko. Sama powiedziałaś, że przyjechaliśmy nabijać się z odmieńców. Miało być śmiesznie, a skończyło się tragicznie. Ja wracam do domu.

Sięgnął do drążka zmiany biegów. Ja sięgnęłam do klamki.

–Zostaję.

–Kristin, nie. – Posłał mi błagalne spojrzenie, które mówiło, że jeśli to zrobię, on będzie się czuł jak idiota i tchórz. Nie zamierzał

zostawać. A Ian... Cóż, Ian musiał wrócić do domu.

Wysiadłam i obeszłam vana. Otworzyłam tylne drzwi i wygrzebałam swoje graty.

–Daj spokój, Kristin – błagał ją Ian. Był wrakiem. Mimo że głupio mi było go zostawiać, tylko pokręciłam głową i odsunęłam się od samochodu.

–Czekaj. – Stewart uniósł się na siedzeniu i wyciągnął z kieszeni dwudziestkę, którą dał mu Stroud. – Weź to.

Machnęłam ręką, odmawiając.

–Musicie zjeść. I zatankować.

–Mogę wyjąć gotówkę z bankomatu – powiedział Ian. – Weź to. Wzięłam.

–Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić z nami? – zapytał Stewart.

–Jestem pewna. Jedźcie. Musicie jechać.

Chciałam, żeby się wynieśli, zanim zaczną pytać o to, gdzie się zatrzymam i co będę jadła, kiedy już wydam te dwadzieścia dolarów. Nasz sprzęt kempingowy wciąż był na polu. Nie zamierzałam tam nocować, ale chciałam nakręcić kilka nowych ujęć i zabrać parę rzeczy. Niezdecydowanie musiało się odbić na mojej twarzy.

–Kristin?

Za vanem zatrzymał się samochód.

Dlaczego po prostu ich nie ominął? Starsi ludzie. Siedzieli spokojnie na swoich miejscach, jakby czekali, aż coś się wydarzy. Albo nie.

–Jedźcie. – Machnęłam ręką, ponagłając chłopaków. – Zadzwoń. Stewart kiwnął głową.

–Ja myślę.

Odjechali. Patrzyłam za vanem z rejestracją z Minnesoty, aż minął

szczyt wzgórza i zniknął.

Co ja najlepszego zrobiłam? Co ja wyprawiam?

Starsi ludzie wrzucili bieg i pojechali dalej. Jakby nic się nigdy nie stało.

Rozdział 29

Gdy Stewart i Ian odjechali, zadzwoniłam do Grahama Strouda i poprosiłam, żeby podwiózł mnie na pole namiotowe. To nie była pochopna decyzja. Długo się nad tym zastanawiałam, rozważając swoje możliwości. Nie miałam żadnych oprócz autostopu. A Bóg mi świadkiem, że nie chciałam tego robić. Jeździłam już stopem i uważam, że to poniżające. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy nie zabierze cię seryjny morderca. Nie chciałam też niepotrzebnie ściągać na siebie uwagi.

Zadzwoniłam więc do Grahama.

Nie miałam wyboru.

Oczywiście, że czułam się winna. Wykorzystywałam go, ale miałam ważny powód. Nie jestem pasożytem. Nie cierpię pasożytów.

Poprosiłam go, żeby spotkał się ze mną w centrum, na trawiastym błoniu między barem 'U Betty' a rzeką.

–Jestem w szkole – szepnął Graham. – Mogę po ciebie przyjechać dopiero po trzeciej.

–Będę czekać.

Rozłączyłam się i spojrzałam na zegarek. Pierwsza. Kusilo mnie, żeby pójść do baru i coś zjeść, ale ktoś mógł mnie rozpoznać. Poszłam więc na stację benzynową i kupiłam butelkę soku pomarańczowego i pudełko ciastek. Jedno i drugie było droższe, niż się spodziewałam. Ciekawe, ile kosztował bilet na autobus do Minneapolis? Zapłaciłam i nie rozglądając się, zabrałam swoje zakupy i wyszłam. Ludzie i tak się gapili. Jasna cholera.

Zwykle nie przeszkadza mi, kiedy ktoś się na mnie gapi, ale teraz

nagle poczułam się obnażona i zagrożona. Pospiesznie przeszłam przez trawnik i schroniłam się pod kępą drzew. Rzuciłam swoje rzeczy na ziemię i usiadłam w cieniu listowia. Wygrzebałam ciemne okulary i założyłam je. Od razu poczułam się lepiej. Teraz rozumiem, dlaczego gwiazdy filmowe noszą wielkie słoneczne okulary, myśląc, że nikt ich nie rozpozna. Zasnęłam.

Nie pytajcie, jak mi się to udało, po tym co widziałam na kempingu. Czasami sama siebie zadziwiam. W jednej chwili wypatrywałam czarnego samochodu Grahama, a w następnej ktoś potrząsał mnie za ramię. Natychmiast oprzytomniałam. Nie zerwałam się z ziemi, tylko usiadłam prosto. Nade mną stał Graham Stroud.

Miałam zaschnięte gardło. Przełknęłam kilka razy ślinę, otarłam usta grzbietem dłoni i wstałam. Graham podniósł pustą butelkę po soku i wyrzucił ją do najbliższego kosza na śmieci.

–Co się dzieje? Jesteś ostatnią osobą, od której spodziewałem się telefonu.

To nie był ten sam przyjazny Graham, którego poznałam. Nowy Graham był wyniosły i podejrzliwy. Nie chciał tu być.

–Claire... – Nie byłam w stanie kontynuować. Nie sądziłam, że będę musiała komukolwiek o tym mówić. Myślałam, że całe miasto wie. Czy nie tak to się odbywa w małych miasteczkach?

Moja dolna warga zaczęła drżeć. Wiedziałam, że wkrótce przyłączy się do niej całe ciało.

–Co? – Wciąż był poirytowany, ale teraz irytacja była zabarwiona troską.

Pokręciłam głową. Po co ja do niego dzwoniłam? Powinnam pobyć trochę sama. Potrzebowałam czasu, by przetrwać to, co się stało. A myślałam, że nic mi nie jest.

–Kristin? – Irytacja zniknęła. Teraz był naprawdę zaniepokojony. Wzięłam głęboki wdech i wyrzuciłam z siebie:

–Claire nie żyje. Poczułam i zobaczyłam jego szok.

–Kiedy? Jak? Teraz, kiedy już przekazałam mu tę nowinę, trochę lepiej nad sobą panowałam.

–Została zamordowana. Tak samo jak tamta kobieta. Zmarszczył brwi.

–Kojoty...? To mnie otrzeźwiło.

–Naprawdę myślisz, że zrobiły to kojoty? To jakaś bzdura. – Nagle przypomniałam sobie, kim jest jego dziadek. I ojciec.

Jezu, jego ojciec! Uważaj, pomyślałam. Graham może coś wiedzieć. Może w tym siedzieć razem z całą resztą. Chyba zupełnie zwariowałam. Przecież całe cholerne miasteczko nie mogło być wplątane w spisek, mający na celu zatuszowanie sprawy. Prawda?

Na wszelki wypadek postanowiłam nie mówić za dużo. Tak. Musiałam być ostrożna.

Spojrzałam w stronę ulicy. Samochody przejeżdżały powoli. Obserwowali mnie? Kilka osób kręciło się w pobliżu. Oni też?

–Możesz mnie podwieźć? Na pole namiotowe, gdzie nocowaliśmy? Rozejrzał się.

–A gdzie Ian i Stewart?

–Pojechali do domu. Widziałam, że zastanawia się, co w takim razie ja jeszcze robię w mieście.

–Pomyślałam, że zostanę tu jeszcze trochę – wyjaśniłam.

Wiedział, że coś kombinuję, ale pewnie uznał, że to nie najlepszy moment, by próbować to ze mnie wydusić.

Wsiedliśmy do jego auta i pojechaliśmy za miasto, na pole namiotowe, gdzie tak niedawno rozegrał się koszmar.

Kiedy zbliżaliśmy się do ostatniego zakrętu, poczułam mdłości.

Czy potrafię to zrobić? Czy dam radę tam wrócić?

Wskazałam palcem kierunek i wytłumaczyłam Grahamowi, dokąd ma jechać. Nie zbliżaliśmy się do toalety, ale i z daleka widzieliśmy kilka samochodów policyjnych. Nie skończyli jeszcze badać miejsca zbrodni.

Gdy dotarliśmy do obozu, nakręciłam dziesięć minut zdjęć, by choć po części zastąpić te, które straciłam.

Widziałam, że nasze rzeczy zostały przeszukane. Nie leżały tam, gdzie powinny. Różowy śpiwór, na który tak psioczyłam niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, wciąż tu był. Podniosłam go, a potem również śpiwór Claire.

–Chcesz któryś? Graham spojrział na śpiwór przerażony.

–To jej?

–Tak. – Zwinęłam go, spięłam paskiem i podałam Grahamowi. On zrobił to samo z pozostałymi dwoma. Wspólnie złożyliśmy namioty i upchnęliśmy wszystko do bagażnika jego samochodu.

Wzięłam kamerę i jeszcze raz przeszedłam ścieżką, którą szłam dziś nad ranem, po ciemku. Wystarczyło sprytnie obrobić nagranie, żeby film wyglądał na kręcony w nocy i lepiej oddawał prawdziwe okoliczności zdarzenia. Mogłam też wrócić po zmroku. Nie. Może. Nie!

Trzymając nisko kamerę, szłam przez suchą trawę. Uschnięte liście szeleściły pod moimi nogami. Wiedziałam, że Graham idzie za mną, choć trzyma się z tyłu. Przez dolinę, na pagórek. Jest. Wystarczy.

Ciała pewnie już nie było, ale kilku policjantów pozostało na straży. Zrobiłam zbliżenie.

Wokół budynku rozciągnięto żółtą taśmę policyjną. Ekipy

wiadomości telewizyjnych kręciły relacje z miejsca zdarzenia, wykorzystując ceglany kibel jako tło. Wokół budynku łąziło kilku mężczyzn w ciemnych garniturach, z notesami i długopisami w rękach.

–Śledczy z policji stanowej – szepnął Graham, stając za mną. – Lepiej stąd chodźmy, zanim ktoś nas zauważy.

Wycofaliśmy się. Nisko pochyleni, zbiegliśmy ze wzgórza, znikając z pola widzenia.

Kamera przestała pracować. Sprawdziłam wyświetlacz i okazało się, że zużyłam całą taśmę. Akumulator też już prawie wysiadł i trzeba go było doładować.

–Muszę jechać do jakiegoś supermarketu. Spojrzał na zegarek.

–A ja niedługo muszę być w pracy.

Graham wiedział, że Kristin wykorzystuje go jako szofera. Z drugiej strony jej koleżanka dopiero co zginęła, więc nie mógł się zachować jak palant.

W drodze do miasta zatrzymał się w tanim supermarkecie o nazwie Złoty Interes.

W środku Kristin szybko obeszała alejki. Graham patrzył, jak zdejmuje z półki trójpak kaset wideo i zaczyna go oglądać.

–Tego szukasz?

–Być może. – Złapała jeszcze jedno opakowanie, po czym znowu ruszyła między alejki, wkładając do koszyka kilka drobiazgów. Przeczytała etykietkę na paczce gumy do żucia.

Graham ukradł w swoim życiu parę rzeczy, więc wiedział, jak to wygląda. Ta pozorna nonszalancja. Udawanie, że jest się zciekawionym czymś, co tak naprawdę ma się w nosie, podczas gdy serce wali jak szalone, pompując adrenalinę do mózgu. Na szczęście

już się w to nie bawił. Kristin nie była w tym nawet dobra.

Zobaczył, jak wsuwa jedną z paczek z kasetami pod koszulę i upycha za pasek dżinsów. Do diabła, nie widziała, że wszędzie są kamery? Przecież była operatorką. Po chwili namysłu uznał, że to nawet zabawne. Odłożyła gumę na stojak i wróciła do półki z kasetami. Odłożyła drugą paczkę.

–Kupię taniej gdzieś indziej. Chodźmy.

Graham uniósł wzrok i zobaczył, że jakiś mężczyzna, zapewne sklepowy detektyw, idzie w ich kierunku. Facet miał charakterystyczną, zaciętą szczękę i twarde spojrzenie.

Graham złapał Kristin i przyciągnął do siebie tak, że dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów. Wsunął dłoń pod jej koszulę, wyczuł pomarszczoną krawędź zafoliowanej paczki i wyciągnął ją z jej spodni.

–Zdaje się, że o czymś zapomniałaś.

Detektyw zatrzymał się kilka metrów od nich. Teraz to on udawał zainteresowanie czymś, co zupełnie go nie obchodziło. W oczach Kristin błysnął gniew. Zaciśnęła usta w kreskę.

–Ty dupku.

–To tak się dziękuje za uratowanie tyłka?

Puścił ją, podszedł do kasy i położył paczkę kaset na przenośniku. Zwykle nie miał gotówki, ale wczoraj spieniężył czek z wypłatą z muzeum. Niewiele mu zostanie najedzenie i benzynę. Kristin była wściekła.

Wyszła ze sklepu przed nim. Nie martwił się, że ucieknie, bo wszystkie graty miała w jego samochodzie. Tam też jązłazał. Stała ze skrzyżowanymi rękami przy drzwiach pasażera, patrząc na niego ze złością.

–Nie musiałeś tego robić.

–Obserwowali cię, idiotko. Gdybym za to nie zapłacił, siedziałybyś teraz w pokoiku na zapleczu i czekała na gliny. – Rzucił w nią paczką kaset. Złapała ją.

–Nikt mnie nie obserwował. Graham prychnął i pokręcił głową.

–Myśl sobie, co chcesz.

–Zwykle nie robię czegoś takiego. Ja jeszcze nigdy niczego nie ukradłam.

–Co ty powiesz. To było raczej oczywiste. Go ci strzeliło do głowy?

–Musiałam mieć taśmy. Boże, Graham miał dość ludzi wciągających go w swoje cholerne sprawy.

–Wiem, że mnie wykorzystujesz. Wiem, że robiłaś to od samego początku. Żeby dotrzeć do mojego ojca. Żeby pojechać do Starej Tuoneli. Żeby podwieźć tyłek. Czego jeszcze chcesz? Koszulki? Mogę ci ją dać. – Uniósł ręce i ściągnął przez głowę swój T-shirt z długim rękawem. Rzucił nim w Kristin. Koszulka trafiła ją w pierś i spadła na ziemię u jej stóp.

–Kluczyki? – Pogrzebał w kieszeni i rzucił jej kluczyki. Nie złapała ich, więc szurnęły po asfalcie i zniknęły pod samochodem. Cholera. Teraz płakała. Nie wydawała żadnego dźwięku, tylko stała tak, ze łzami ciekącymi po policzkach.

–Uratowałem ci tyłek. – Wycelował palec w supermarket, ale jego głos nie brzmiał już tak pewnie. Niewiele wiedział o dziewczynach. Znał tylko swoją pokręconą, walniętą matkę i zrównoważoną Isobel. – Uratowałem ci tyłek - wymamrotał.

Kristin schyliła się, podniosła jego koszulkę i zwinęła w kulkę, przyciskając do siebie. Potem odwróciła się i bezradnie rozejrzała za

kluczykami. Jej ruchy były urywane, niezręczne.

–Ja znajdę. – Padł na brzuch i sięgnął pod samochód, wyciągając się, aż jego palce zaczepiły o metalowe kółko breloka. Nagle usłyszał, jak Kristin zachłystuje się powietrzem. Cofnął rękę i wstał. Jej oczy były szeroko otwarte.

–Co ci się stało w plecy? Złapał koszulkę.

–Nie wiesz, że to niegrzecznie zadawać takie pytania?

–Ktoś cię pobił. Znalazł przód koszulki, wsunął ręce w rękawy, przełożył przez głowę i obciągnął na brzuchu.

–Twój ojciec? – Wydawała się przerażona taką ewentualnością. – To twój ojciec, prawda?

–Nie. – Graham przygładził koszulkę, dziwiąc się przyływowi gniewu i adrenaliny, który skłonił go do jej zdjęcia. Nigdy nie pokazywał się nikomu bez ubrania. – Evan nigdy by tego nie zrobił.

Ale potem przypomniał sobie przedwczorajszy poranek, kiedy ojciec złapał go za gardło. Przez sekundę Graham myślał, że Evan go zabije. Jego niepewność musiała się odbić na jego twarzy.

–Zrobił to?

–Nie.

–Przysięgasz?

–Przysięgam.

–Bo jeśli to zrobił, nie możesz go chronić. Nic nie usprawiedliwia fizycznego znęcania się.

–Wiem, wiem. To nie był on, okay? To się stało dawno temu. Znowu zamienili się rolami. Ledwie ją znał, a jednak zawsze kiedy byli razem, miał wrażenie, że bujają się na jakiejś emocjonalnej huśtawce. W górę i w dół, w górę i w dół. Twoja kolej, żeby ci odbiło. Nie, twoja. Ty pierwszy, bardzo proszę. Nalegam. Ty sobie poświruj

najpierw, a ja po tobie.

Spróbował sobie przypomnieć, jak wygląda Isobel, jak pachnie, jak brzmi jej głos. Nie było to łatwe.

Rozdział 30

Kristin nie miała się gdzie zatrzymać. Zabranie jej do Starej Tuoneli nie wchodziło w grę po tym, co tam zobaczyła.

Graham zawiózł ją więc do domu dziadka. Nie było to idealne rozwiązanie, ale lepsze, niż gdyby miała spać w parku, na ulicy czy w lesie.

Korzystając z faktu, że Alastair był w pracy, usmażyli sobie jajecznicę i zrobili grzanki. Jajecznica była specjalnością Grahama.

–Mój pobyt tutaj to nie jest dobry pomysł – powiedziała Kristin między łykami. Graham otworzył puszkę dietetycznej coli i szurnął nią po stole w stronę Kristin.

–On nigdy nie chodzi do piwnicy. Słowo. Dzisiaj w nocy możesz tu spać, a jutro używać mojego samochodu, bylebyś mnie podwiozła do szkoły. Tu przynajmniej będziesz bezpieczna.

–Zgoda, ale tylko na jedną noc. – Napiała się coli. – Potem wymyślę coś innego.

–Co?

–Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Coś. Skończyli jeść.

–Mam czas, żeby wziąć prysznic? – zapytała.

–Jeśli się pośpieszysz.

Gdy Kristin brała prysznic, Graham przechadzał się niespokojnie po domu, raz po raz wyglądając zza firanek od frontu. Oby tylko Alastair nie wrócił wcześniej. Kiedy skończyła, zaprowadził ją do piwnicy i pomógł jej rozwinąć śpiwór w kącie koło zamrażarki.

–On tu nie schodzi – powtórzył jej. – Ale gdyby zszedł, schowaj się tutaj. – Otworzył drzwi i pokazał jej niewielki schowek z półkami,

który kiedyś służył zapewne jako spiżarnia.

W piwnicy śmierdziało mokrym cementem i próchniejącym drewnem. Belki stropu i lampy były oblepione pajęczynami. Graham był pewny, że Kristin wolałaby spać w namiocie, gdyby po mieście nie krążył psychopatyczny morderca.

Bez entuzjazmu spojrzała na śpiwór.

–Dzięki. – Wyglądała na wykończoną. Teraz, po prysznicu, jej włosy były ciemniejsze, a skóra wydawała się bledsza. Powieki miała spuchnięte, oczy podkrążone.

–To ja wracam na górę – powiedział. Złapała go za rękę.

–Zostań tutaj, dopóki twój dziadek nie wróci.

Pociągnęła go w dół. Usiedli razem na śpiworze po turecku, zwróceniu twarzą do siebie. Miała na sobie świeży T-shirt: cienką, czarną koszulkę z bardzo krótkimi rękawkami. Widział wystający spod jednego z nich kawałek tatuażu. Czerwono-czarnego.

–Zostań i pogadaj ze mną przez chwilę. Powiedz mi, co się dzieje z twoim tatą.

–Nic się nie dzieje.

–Jak się dorobiłeś tych blizn na plecach? Dlaczego mieszkasz tutaj, z dziadkiem?

–To wejdzie do twojego filmu? Dlatego chcesz wiedzieć?

–Chcę wiedzieć, bo cię lubię. Mój dokument nie ma z tym nic wspólnego.

–Och, przepraszam. Dokument. – Czasami bywał sarkastyczny. – Tu po prostu łatwiej się żyje. – Wzruszył ramionami, chcąc uwiarygodnić kłamstwo. – No wiesz, szkoła, i w ogóle.

–Daj spokój, Graham. Widziałam twojego tatę.

–Widziałas, jak kopał. No więc, kopie, i co z tego? Jest kimś w

rodzaju archeologa. Pisze o Starej Tuoneli. Czy to dziwne, że chce się o niej dowiedzieć jak najwięcej? Dotknęła jego policzka. Omal nie zaniknął oczu. To głupie, ale dotyk jej palców sprawiał, że czuł się słaby i trochę roztrzęsiony. Jej ręka opadła.

–Kochany z ciebie dzieciak.

–Wcale nie jestem dzieckiem. Nie tutaj... – Położył rękę na piersi i natychmiast pożałował, że nie może wymazać tego teatralnego gestu.

–Zabiłeś człowieka – zagała. – Jak to się stało? To był wypadek samochodowy?

Widział po jej minie, że bardzo chce, by był to wypadek samochodowy, i przez moment kusilo go, żeby powiedzieć „tak”.

–Nie.

–Jakiś inny wypadek?

–Zrobiłem to umyślnie. – Nagle chciał już tylko, żeby się zaniknęła. Nie chciał już o tym gadać. – Zadżgałem go, okay?

Była zaskoczona. Widział to w jej twarzy. I znowu się go bała. Cholera.

–Samoobrona? – podsunęła nieśmiało. Nie miał wyboru, musiał podać więcej szczegółów.

–Gość próbował zabić mojego ojca. Gdyby nie ja, zabiłby Evana.

–Uratowałeś życie swojemu ojcu? – Spojrzała na niego z nowo rozbudzoną ciekawością.

–Na to wychodzi. – Wzruszył ramionami. To się po prostu stało. Musiał to zrobić. – Nie opowiadaj o tym w swoim filmie. – Pauza. – Dokumenty.

Rozdział 31

Oskórowana wiewiórka. Tak mówiła sobie Rachel, ilekroć spoglądała na zwłoki na stole sekcyjnym. Nie było to zbyt profesjonalne, ale mówi się trudno.

Czekała, aż cofnie się *rigor mortis*. Gdy nadszedł wieczór, mogła nareszcie rozprostować zeszytniałe członki, choć ciało i tak straciło większość z tego, co nadawało mu ludzki wygląd.

Włączyła aktywowany głosem dyktafon.

Właściwie co czyni człowieka człowiekiem? Czy to nie dziwne, że skóra odgrywa tak wielką rolę w tym, kim jesteśmy?

Przecież liczy się wnętrze.

A może tak naprawdę liczy się to, co na zewnątrz.

Skóra skrywa, otula, utrzymuje w całości. Jest naczyniem i odbiciem naszej próżności. Nosi oznaki naszego indywidualizmu, jak tatuaże. Ed Gein z Plainfield w Wisconsin nosił ubrania z ludzkiej skóry. Gdy go w końcu złapano i przeszukano jego dom, znaleziono abażury do lamp i meble zrobione ze skór jego ofiar.

Buczenie przedpotopowego wyciągu sprawiało, że dudniło jej w głowie – zapomniała wsadzić zatyczki do uszu.

Niedawna kontrola wykazała, że natężenie hałasu emitowanego przez ten zabytek sięga ponad siedemdziesięciu decybeli – o włos poniżej dopuszczalnej normy.

Sz, sz, sz.

Nie cierpiała tego wyciągu.

Czasami, kiedy działał, słyszała głosy przebijające się przez łopotanie wiatraka. Jakby sala była pełna ludzi, rozmawiających ze

sobą, mamroczących coś niezrozumiale. Dźwiękowe złudzenie, które Rachel przypisywała nienaturalnej harmonice i szumom tła.

Wpuściłaś nas.

Tak mówiły głosy. A może te głosy jak z zaświatów szeptały zawsze, ale dopiero nieustanny ryk i szum wyciągu sprawiał, że stawały się słyszalne?

To, co słyszymy, często zależy od naszej osobistej interpretacji, a nie od tego, co jest słyszalne naprawdę. Słowa piosenki puszczane od tyłu mogą brzmieć „Paul nie żyje” albo „W szopie na narzędzia siedzi diabeł”. Mózg przekształca przypadkowe, nic nieznaczące dźwięki w słowa, podobnie jak dostrzega twarze tam, gdzie ich nie ma.

Ludzie mają skłonność do porządkowania chaosu.

Rachel była pewna, że kiedy później odtworzy nagranie z dyktafonu, nie usłyszy nic oprócz własnego głosu.

Sz, sz, sz.

Wysiłkiem woli oderwała myśli od wyciągu i pomruku głosów. Usłyszała za sobą ruch, ale kiedy się odwróciła, niczego tam nie zobaczyła.

Przy każdym ruchu głowy ryk wentylatora zmieniał się i zdawał się dobiegać z innego kierunku. Wzięła skalpel.

Nagle zgasło światło sufitowe. Rachel upuściła skalpel i obróciła się gwałtownie.

W drzwiach stał Evan z dłonią na włączniku światła.

–Rachel.

–Cholera jasna! – Wzięła głęboki wdech. Zamknęła i otworzyła oczy. – Co tutaj robisz? Jak wszedłeś?

Wyciągnął z kieszeni klucz i podniósł go do góry w długich, białych palcach. Jego skóra była popielata, podbródek ciemny od

zarostu. Na skroniach Rachel zauważyła pierwsze ślady siwizny.

–Znalazłem go przypadkiem parę dni temu. – Położył klucz na metalowym blacie. – Zapomniałem, że go mam. Pomyślała o odciskach dłoni na swoim brzuchu i o chwilach, kiedy zdawało jej się, że nie jest sama w mieszkaniu. Czy Evan przychodził, kiedy spała?

–To już drugie ciało, które znaleźliście w takim stanie? – Wskazała zwłoki na stole.

Nie powinien przebywać w pomieszczeniu z ciałem. Szybko przykryła je prześcieradłem.

–Teraz bardziej przypomina człowieka – zauważył.

Miał rację. Prześcieradło opięło mięśnie, uwypuklając kształt ludzkiej sylwetki. Nawet twarz nagle wydała się kobieca, choć przedtem wcale jej nie było.

–Macie jakichś podejrzanych? – Trzymał się z daleka, w cieniu. – Poza kojotami? Poprawiła lampę na wysięgniku tak, by światło padało w przeciwnym kierunku.

–Nie powinnam z tobą o tym rozmawiać. Ludzie znowu plotkują, że to ty.

–Też mi niespodzianka. A skóra? – zapytał. – Znaleźliście skórę?

–Jeszcze nie.

–A pierwsza ofiara? Czyjej skórę znaleziono? Przyjrzała mu się uważnie.

–Czekaj. – Wyłączyła wyciąg. – Ty coś wiesz. – Od nagłej ciszy aż dzwoniło jej w uszach. Evan uniósł brwi.

Był w kiepskiej formie. Sińce pod jego oczami były prawie czarne i strasznie schudł. Teraz, kiedy wyciąg był wyłączony i powietrze w sali uspokoiło się, poczuła jego zapach. Pachniał ziemią i gnijącą roślinnością.

–Ja... – zaczął. Jego głos przycichł, rozplývając się w ciszy pomieszczenia. – Bardzo bym nie chciał, żebyś źle o mnie myślała.

Był zagubioną, udręczoną duszą. Ale ona nie mogła mu służyć za podporę. Nie mogła być niczyją podporą. Musiała się od niego uwolnić. Jasne. Tak jak uwolniłaś się od Tuoneli, pomyślała.

–Po co przyszedłeś?

–Mam coś, co chciałem ci pokazać.

Walczyła z pokusą, by go dotknąć. Nagle zapomniała, dlaczego była na niego wściekła. Stara Tuonela. Tak, to o to chodziło. Bez jej wiedzy wykupił ziemię, którą chciało kupić miasto. Rada miejska zamierzała zrównać z ziemią pozostałości po dawnej osadzie i ogrodzić teren. Wystawić znaki „Wstęp wzbroniony”.

–Tamto miejsce doprowadzi cię do obłądu – powiedziała. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

–Nic mi nie jest. Wszystko jest w porządku. To było takie smutne. Jakby rozmawiała z narkomanem albo alkoholikiem.

–Schudłeś.

–Pracowałem fizycznie więcej niż zwykle. Spaliłem mnóstwo kalorii. Wiem, że wyglądam inaczej. Na zewnątrz. Ale w środku... – Położył rękę na piersi. Jego paznokcie były czarne od brudu. – Czy naprawdę jestem inny? Zastanowiła się chwilę.

–Nie dziś. – Mogła przysiąc, że słyszy bicie jego serca. Rytmiczne „glup, glup, glup”. Uspokajało ją to.

–Czasami czuję się, jakbym... znikał – przyznał po chwili namysłu. – Zapominam, jaki jestem i kim jestem.

–Jesteś wycieńczony.

–Dużo myślałem. O tobie. O mnie. O dziecku. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy mieć normalne życie. Czy moglibyśmy wypożyczać

filmy i jeść razem popcorn? Założyć ogród? Zasadzić kwiaty, które kwitną w nocy?

–Nocny jaśmin.

–Tak.

–Hodowalibyśmy pomidory. Odmianę Better Boys. Uwielbiam ją.

–Zrywałabyś je w najgorętszej porze dnia, żeby smakowały słońcem. Marzenia. Smutne i nierealne. – Łudzę się, że jest jakiś sposób, żebym mógł być obecny w twoim życiu. Jakoś. Ale wiem, że to niemożliwe. Z wielu powodów...

Chciała mu powiedzieć, że ją zdradził. Chciała, żeby to przyznał, a jednocześnie nie chciała zaczynać kłótni, która prowadziłaby donikąd. Przeciągnął dłonią po twarzy. – Żyję w dwóch światach.

–Wróć do Tuoneli.

Prychnął z niedowierzaniem i pokręcił głową. Jakby chciał powiedzieć: Nic nie rozumiesz. Rachel próbowała zrozumieć.

–W tej chwili sama mam sporo na głowie.

Dlaczego to zawsze ona musiała być tą mądrą i zrównoważoną? Osobą, do której inni przychodzą ze swoimi problemami? A co z nią? Czy jej nie wolno się rozsypać?

Oboje jej rodzice nie żyli. Evan miał ojca, Grahama. Na kogo ona mogła liczyć? Do kogo by zadzwoniła, gdyby potrzebowała pomocy? Kto by się zjawił? David Spence? Tak, David przyszedłby jej z pomocą.

Ale nie Evan. Kochała go. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale miłość nie zawsze oznacza wspólną przyszłość. Właśnie tego nie rozumiem młodzi. Można kochać kogoś z daleka. Można nawet kochać kogoś z bliska, ale to nie zawsze oznacza wspólne życie. Nie oznacza, że do siebie pasujecie. Ściągnęła

rękawiczki i rzuciła je do pojemnika na odpady toksyczne. Sięgnęła do tyłu i rozwiązała fartuch, kierując się w stronę Evana.

–Wyjdźmy stąd.

Starła się nie myśleć o tym, co wydarzyło się tu zeszłej wiosny. Seks w prosektorium. Boże kochany. Właśnie takie rzeczy sprawiają, że człowiek zaczyna kwestionować własne zdrowie psychiczne.

Gorący rumieniec wykwitł na jej szyi i policzkach. Ledwie to pamiętała, choć nosiła w sobie dowód tego, co się stało. Wszystko wracało do niej w snach. Budziła się, przepełniona słodkim bólem i tęsknotą, spragniona czegoś, czego nawet nie pamiętała. Na korytarzu paliło się tylko słabe światło znaku wyjścia awaryjnego nad drzwiami windy. Evan zgasił górne oświetlenie, kiedy wszedł.

Rachel skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o ścianę.

–Po co przyszedłeś? – spytała znowu.

Cień padał na jego twarz i ledwie rozróżniała jego rysy. Bawił się guzikiem długiego wełnianego płaszcza, który miał na sobie. Miał brud pod paznokciami, ale same paznokcie były jasne i gładkie. Rachel przemknęło przez myśl, że wyglądają odrobinę jak paznokcie trupa. Co za okrutna myśl. Przepraszam, Evan.

–Czy twoja babcia nazywała się Emily Florence?

–Tak. – Rachel zmarszczyła brwi. – Czemu pytasz?

–A jak nazywała się jej matka?

–Florence Elizabeth Cray.

–Urodzona w 1906?

–Nie jestem pewna.

–Florence miała siostrę, Victorię. Victoria była jedną z kobiet zamordowanych przez Manchastera.

Victoria.

Skąd Evan wiedział o Victorii? Rachel nie chciała o niej słuchać. Spojrzała w kierunku oskórowanego ciała. Victoria nie nawiedzała jej od miesięcy.

–Nie chcę o niej rozmawiać – szepnęła. Mówienie o niej, myślenie o niej mogło sprowadzić ją z powrotem. Evan nagle się ożywił.

–Pamiętasz fotografię w moim domu na Benefit Street? Tę przedstawiającą kobietę w wannie? Myślę, że to właśnie Victoria.

Rachel przełknęła ślinę.

–Tak. Wiem, że to ona. Wiedziałam o tym od dawna.

–Ale nie wiedziałaś, że Victoria była twoją cioteczną prababką.

–To spekulacje. Dokumenty dotyczące pochodzenia naszej rodziny zaginęły podczas wielkiej przeprowadzki.

–Nie zaginęły. – Rozpiął płaszcz i sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

–Tylko zostały na starym miejscu. – Wyciągnął gruby notes. Oprawiony w czerwoną skórę, teraz już poblakła, z pozółkłymi, nierównymi kartkami.

–To pamiętnik – wyjaśnił.

Kajet pachniał wilgotną ziemią, pleśnią i starym papierem. Chciał, żeby wzięła go do ręki. Woląла go nie dotykać. Jednak w wyobraźni czuła pod palcami nierówną powierzchnię okładki, z wytłaczanym kwiatowym wzorem. Evan przysunął pamiętnik do siebie, otworzył go i z nabożeństwem zaczął przewracać stronicę, aż znalazł tę, której szukał. Odwrócił pamiętnik tak, by Rachel mogła przeczytać.

–Właśnie dlatego tam siedzę. Dlatego uratowałem Starą Tuonele przed zniszczeniem.

–Jest za ciemno. – Rachel się cofnęła. – Nic nie widzę. – Ale widziała mocne, pochyle litery napisane zaostrzonym gęsim piórem.

–Florence Elizabeth Cray i Victoria były siostrami. Victoria zginęła z ręki Nieśmiertelnego.

–Już to mówiłeś.

–Florence zaplanowała zemstę. Próbowwała otruć Manchestera, ale udało jej się osiągnąć tylko tyle, że rozchorował się na jakiś czas i wściekł jak diabli. Odegrała się więc na nim najlepiej, jak potrafiła. Rozkochała go w sobie.

Rachel wpatrywała się w pamiętnik nagle zaintrygowana.

–Chcesz to przeczytać?

–Nie, ty mi opowiedz. – Bezwiednie ściszyła głos i przyłożyła dłoń na szyi.

–Zdobyła jego zaufanie. Kiedy w końcu zostali sam na sam, zasztyletowała go. Twoja prababka położyła kres terrorowi Nieśmiertelnego. Pomyślałem, że chciałybyś to wiedzieć. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Uśmiechnęła się, czując w duszy dziwną lekkość.

–Pochodzisz z rodu silnych, twardych kobiet. Powinnaś być dumna. – Serce Evana znowu biło głośno.

–To nie wszystko, prawda? Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

–Nie. – Tylko jedna sylaba, a tak złowieszcza. – Może na razie wystarczy.

–Powiedz. Skoro zacząłeś, powiedz już wszystko.

–Zanim Florence zabiła Manchestera... Zanim go zabiła, uwiodła go i poszła z nim do łóżka. Kiedy umierał, nosiła jego dziecko. – Evan wpatrywał się uważnie w Rachel z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zapięły ją oczy.

–Nie. – Nagle poczuła pustkę w piersi i zrozumiała, że strach to brak czegoś, a nie coś, co przychodzi. Dlaczego jej to mówił? To było

okrucieństwo.

–Miałam rację. Powinieneś być zostawić Starą Tuonełę w spokoju. Co dobrego może wyniknąć z takiej informacji?

–Wszyscy zasługujemy na to, by znać prawdę.

Pokręciła głową. Przycisnęła dłoń do drżących warg, a potem do swojego brzucha. Właśnie tu się różnili. W tym punkcie przestawała rozumieć Evana Strouda.

–Jesteś okrutny.

–Przepraszam. Pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć.

–Myślałeś, że mnie to uszczęśliwi? Że wniesie coś cennego w moje życie? Świadomość, że moim pradiadkiem był Nieśmiertelny?

Ciekawe, dlaczego tak mu się spieszyło, by podzielić się z nią tą koszmarną wiadomością. Czy myślał, że w ten sposób uczyni ją bardziej podobną do siebie? A może chciał ją zranić? Czy był tak pochłonięty odkrywaniem historii Starej Tuoneli, że nie przyszło mu do głowy, iż taka informacja będzie dla niej druzgocąca? A może z rozmysłem chciał pogłębić przepaść między nimi?

Przez sekundę Rachel wydawało się, że Evan się przed nią otworzy, ale nagle jego myśli przeskoczyły na zupełnie inne tory.

–Dobrze się czujesz? – Nie to chciał powiedzieć.

–Czułam się jeszcze kilka minut temu.

–Przepraszam. Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Jeśli nie ze względu na siebie, to ze względu na dziecko. Ze względu na dziecko?

–Co ty wygadujesz? Znowu zdawało się, że walczy ze sobą, próbuje zdecydować, czy mówić dalej.

–Chcesz mi powiedzieć, że mogę urodzić wampira? Boże, Evan, każdy, tylko nie ty. Naprawdę tak myślisz?

–Oczywiście że nie, ale tak powiedzą ludzie. I ono będzie musiało

z tym żyć.

–Wspomniałeś jeszcze komuś, co jest w tym pamiętniku?

–Nie.

–Evan, nikt nie może się o tym dowiedzieć. Ani o pamiętniku. Spojrzał na nią zdumiony.

–Nie możemy tego zatrzymać dla siebie. To historia. Nie tylko twoja, ale także większości mieszkańców Tuoneli.

–Rozumiem, ale mówisz o zrujnowaniu życia dziecku, o zrujnowaniu mu przyszłości. Naszemu dziecku.

–Nigdy nie będziemy zgodni w tej kwestii, prawda?

–Co to za różnica, jeśli ludzie nigdy się nie dowiedzą, co się stało? – W jej głosie było słycać ból. Nie mogła nic na to poradzić. – Och, po coś ty się tam wyniósł? Po coś kupił to cholerne miasto? Czasami myślę, że zrobiłeś to, żeby mnie zranić. Co ja ci takiego zrobiłam, poza tym, że cię kocham?

Wzdrygnął się, jakby wyznała mu nienawiść, a nie miłość. Poraziły go słowa, które większości ludzi sprawiłyby radość. Wyciągnęła rękę.

–Daj mi ten pamiętnik. Ani drgnął.

–Daj mi go. – Teraz płakała. Schował go pod płaszcz.

–Przykro mi, Rachel. – Odwrócił się i wyszedł.

Pół godziny później Rachel zdołała opanować się na tyle, by wrócić do prosektorium. Zorientowała się, że nie wyłączyła dyktafonu. Przewinęła taśmę i wcisnęła guzik odtwarzania.

Jednostajny ryk wentylatora.

Nic niezwykłego.

Sz, sz, sz.

Przyłożyła urządzenie do ucha. Gdzieś poza szumem wyciągu usłyszała pomruk głosów.

Jak wiatr przedwczoraj w nocy.

Nagranie utrwaliło wizytę Evana. Usłyszała własny okrzyk zaskoczenia, kiedy go zobaczyła, i jego głos, cicho wypowiadający jej imię. Ryk ustał – wyłączyła wentylator. Zaczęli rozmawiać. Potem było słychać trzask ściąganych gumowych rękawiczek i kroki, kiedy ona i Evan wychodzili z sali.

Sz, sz, sz.

Szepty.

Więcej niż jeden głos. Mruczały dalej, nawet kiedy umilkł wyciąg.

Rachel wyłączyła dyktafon. Pstryknięcie guzika było ogłuszające. Jezu.

Podeszła do drzwi i z rozmachem walnęła we włącznik, zalewając salę światłem.

Ciało wyglądało tak samo.

Zbliżyła się do niego, chwyciła róg prześcieradła i ściągnęła je jednym szarpnięciem.

Była koronerem. Patologiem.

Ale czasem zmarli mówili do niej. Właśnie dlatego wybrała taki zawód. Żeby stawić czoło swoim lękom.

Podświadomie sądziła, że jeśli dogłębnie pozna śmierć, ta da jej w końcu spokój.

Prawnuczka Nieśmiertelnego...

Czyżby wreszcie poznała odpowiedź na pytanie, które prześladowało ją niemal od urodzenia? Czy to dlatego śmierć chodziła za nią? Bo była potomkinią człowieka, który jakimś cudem pokonał śmierć?

Nie! To szalone myśli. Szalone! Szalone!

Richard Manchester był człowiekiem. Człowiekiem, który robił

nienormalne, złe rzeczy.

Natychmiast przestań wymyślać bzdury, nakazała sobie.

Nonsens. Kompletny nonsens.

Włożyła do dyktafonu nową kasetę i wcisnęła guzik nagrywania. Włączyła wiatrak i założyła nową parę lateksowych rękawiczek. Otworzyła czysty zestaw narzędzi.

Zrobiła, co do niej należało.

Kiedy skończyła, przewiozła ciało do chłodni.

Nie odsłuchując nagrania, położyła dyktafon na swoim biurku. Postanowiła, że raport napisze jutro.

Wzięła prysznic w wannie na nóżkach, myjąc się lawendowym mydłem. Gdy już się wytarła, włożyła spodnie dresowe i biały T-shirt, o kilka rozmiarów za duży. Otworzyła lodówkę i spojrzała na przezroczysty pojemnik z wątróbką.

Czyjej apetyt na surowe mięso oznaczał, że naprawdę jest prawnuczka wampira?

To tylko niedobór żelaza, powiedziała sobie. Z pewnością było to o wiele bardziej sensowne wytłumaczenie niż teoria o przodku krwiopijcy.

Zadzwoił telefon.

David Spence.

–Może bym wpadł z kolacją? Co powiesz na chińszczyznę?

Nie chciała być sama. Czyżby David to wyczuwał? Oszukiwała się, wmawiając sobie, że mogą być razem. To nie jego pragnęła. Poza tym bycie z Davidem byłoby gorsze niż bycie samotną, bo teraz miała o wiele więcej do ukrycia.

Powiedziała mu, że jest zmęczona i właśnie kładzie się spać. Gdy się rozłączyła, wypila krew z wiaderka z wątróbką.

Potem zjadła surowe mięso, wkładając je do ust rękami.

I poszła spać.

Córka ciemności.

Rozdział 32

Obudziło ją skrobanie. Rachel spojrzała w okno nad swoją głową i zobaczyła cień bezlistnej gałęzi. To tylko wiatr, pomyślała.

Dźwięk rozległ się znowu. Nie dobiegał jednak od okna, ale z wnętrza mieszkania.

Ktoś był w korytarzu.

Po omacku zaczęła szukać bezprzewodowej słuchawki telefonu. Dotknęła jej. Złapała. Drap.

Coraz bliżej.

Jakby ktoś ciągnął coś po podłodze. Potem głuche tup, a do tego szelest -jakby suchych liści albo rąbka taftowej sukienki.

Poczuła zapach zgnilizny. To pewnie ubranie albo buty, pomyślała rozsądnie. Uroki pracy patologa.

Wstała z łóżka. Chrząst materaca w ciszy wydawał się sto razy głośniejszy. Nocna lampka, wpięta w gniazdko nad podłogą w korytarzu, oświetlała drogę do sypialni. Po podłodze sunął cień.

Z walącym sercem i krwią pulsującą w uszach Rachel spróbowała wystukać numer linii alarmowej. Pomyliła przyciski, a sygnał wybierania, który rozległ się po chwili, wypełnił cały pokój. Ponowiła próbę, ale i tym razem jej się nie udało.

Obserwowała otwarte drzwi, co chwilę zerkając na słuchawkę w dłoni. Trzęsącymi się rękami, dysząc ciężko, na ślepo wciskała guziki.

Odór przybierał na sile.

Buchał od kogoś – czegoś – co było w korytarzu.

I nagle to zobaczyła. Staęło w drzwiach, zasłaniając światło. Wysokie na jakieś półtora metra, o niewyraźnym kształcie, wąskie u

szczytu, szersze przy podłodze, z dyndającymi, wiotkimi strzępami, które wyglądały jak wymięty materiał.

To nie Victoria.

I nie Evan.

Rachel zrobiła coś, czego absolutnie nie powinno się robić, kiedy w domu jest intruz: sięgnęła do nocnej lampki i zapaliła światło. Dobry Boże.

W dyndających frędzlach materiału rozpoznała pomarszczone palce z okrągłymi paznokciami. Po obu stronach twarzy zwisały jasne włosy. Zamiast oczu patrzyły na nią dwie mroczne dziury. Usta były ziejącą, czarną jamą.

Rachel wiedziała, na co patrzy, choć jej umysł nie chciał w to uwierzyć.

Ludzka skóra. Stojąca. Idąca ku niej.

Rozdział 33

Skóra weszła w głąb pokoju.

Rachel patrzyła na nią, znieruchomiała. Jej umysł i ciało były jak zamrożone.

Skóra zbliżała się, stukając i skrobiąc o drewnianą podłogę paznokciami stóp.

Rusz się, nakazała sobie Rachel.

Nie odrywając oczu od pofałdowanego zewłoku, ściągnęła z łóżka koc.

Skóra była coraz bliżej, roztaczając wokół siebie zgniły fetor. Klik, klik, klik. Jasne włosy.

To była skóra tej zabitej dziewczyny. Claire.

Boże święty.

Nie.

To niemożliwe.

Kiedy skóra znalazła się zaledwie dwa kroki od niej, Rachel chwyciła koc obiema dłońmi – i rzuciła.

Kolorowy, lekki pled wydał się jak żagiel, lecąc w stronę ohydnej masy, nakrył ją i przewrócił na podłogę.

Rachel ruszyła biegiem.

Boso obiegła leżący na podłodze koc i uciekła z sypialni. W połowie korytarza gwałtownie przystanąła.

Wracaj. Zamknij drzwi. Zamknij ją tam. Nie była w stanie.

Wybiegła z mieszkania. Schodami popędziła na dół do kostnicy. Gdy była już w swoim gabinecie, wystukała numer linii alarmowej.

Wydawało jej się, że minęły godziny, choć było to pewnie jakieś

dziesięć minut, kiedy na dworze usłyszała syreny.

Otworzyła drzwi dostawcze, za którymi stał już policjant.

–Intruz? – zapytał. – Gdzie?

–Na górze.

Kolejny funkcjonariusz podjechał pod dom i wysiadł z radiowozu. We dwóch, z wyciągniętą bronią, ruszyli na górę. Rachel szła za nimi. Po schodach, na drugie piętro, do jej mieszkania.

–Proszę tu poczekać – szepnął przez ramię pierwszy policjant.

–W sypialni – powiedziała im. Skinął głową i ruszyli naprzód.

Rachel położyła dłoń na sercu. Niektórzy twierdzą, że silny przestrah może zaszkodzić nienarodzonemu dziecku. Musi stąd wyjechać. Jeden z policjantów wrócił. Pokręcił głową.

–Nikogo tam nie ma. Przepchnęła się obok niego.

–Pokażę wam.

W sypialni chwyciła róg koca, podciągnęła go ostrożnie, ale natychmiast puściła. Policjant przeszedł przez pokój. Pisnęła ze strachu, kiedy poderwał koc. Potrząsnął nim.

–Nic. – Przysunął koc do twarzy i pociągnął nosem. – Ale koc trochę zalatuje. Powinna go pani wrzucić do pralki.

–Przyjrzała się pani temu intruzowi? – zapytał drugi funkcjonariusz. – Może nam pani podać rysopis? Rachel rozejrzała się po pokoju. Może skóra jest pod łóżkiem? Policjant dostrzegł jej niepokój, ukląkł i sprawdził.

–Pusto. – Wstał i podszedł do szafy. Przesunął wieszaki z ubraniami w prawo i w lewo. – Tu też nic.

Skóra potrafi się rozplaszczyć, pomyślała Rachel. Może się schować w przeróżnych miejscach, nawet w szczeliny ściany. Nawet pod warstwą tapety. Dom był stary, z mnóstwem kryjówek.

–Przyjrzała mu się pani? – Pierwszy policjant zachęcił ją łagodnie. Pokręciła głową.

–Nie. Było ciemno.

–Kiedy weszliśmy, paliło się światło.

–Wybiegłam. Nie patrzyłam. Czy naprawdę coś widziała?

Spała, to fakt. Poza tym dopiero co przeprowadziła sekcję Claire Francis. I zjadła cały kubełek surowego mięsa. Cięża robi z kobietą dziwne rzeczy. Rachel wcześniej nigdy nie miewała nocnych koszmarów czy lęków. Tak, to musiał być sen. Zdarzają się wizje senne tak realistyczne i przerażające, że śniący bierze je za rzeczywistość i nie przyjmuje do wiadomości, że jest inaczej. Policjanci dokładnie przeszukali budynek, od strychu po lodówki w kostnicy.

–Dawno uciekł – powiedział młodszy, chowając pistolet do kabury przy pasie. – Na wszelki wypadek poproszę kogoś, żeby miał oko na dom, przynajmniej do rana.

Zeszła z nimi na dół, by zamknąć drzwi na zasuwę, kiedy wyjdą. Przy drzwiach jeden z nich schylił się i podniósł coś.

–To pani własność? Pamiętnik.

Pamiętnik Florence Elizabeth Cray. Widocznie Evan zmienił zdanie. Dziękuję, Evan. Starła się nie zdradzić ze swoją radością, kiedy brała kajet do ręki.

–Tak, to moje. Dziękuję. Zarygłowała za nimi drzwi.

Pamiętnik wydawał się znajomy, jakby jej dłonie pamiętały jaki jest w dotyku. Pachniał starością – skórą, papierem i wilgotną ziemią.

Postanowiła, że go schowa. Zamknie w sejfie w swoim gabinecie, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie. Coś wypadło spomiędzy okładek i sfrunęło na jej stopę. Zdjęcie. Stare, na grubym kartonie. Podniosła je.

Przedstawiało małą dziewczynkę z jasnymi włosami, ubraną w sukienkę z obniżoną talią, z ciemną kokardą na biodrze, i dobranymi pod kolor czarnymi lakierkami. Z oczu dziecka wyglądały śmierć i rezygnacja.

Rachel odwróciła zdjęcie. „Nasze małe kochanie, Sarah”.

Rozdział 34

Od pamiętnej nocy, kiedy zdawało mu się, że Nieśmiertelny próbuje się wydostać z gabloty, Matthew Torrance był trochę wystraszony. Czasami, kiedy słuchał muzyki z iPoda, słyszał jeszcze inne, dziwne dźwięki. Jakby szepty.

Ciche rozmowy wielu ludzi. Jakby w piwnicy muzeum odbywało się jakieś zebranie. Nie potrafił rozróżnić poszczególnych głosów, słyszał tylko zbiorowy pomruk.

Teraz, jeżdżąc froterką po głównym holu muzeum, znowu usłyszał te szepty.

Sz, sz, sz.

Ten, co umarł, będzie żywy. Ten, co żyje, będzie martwy. Wyjął słuchawki z uszu i przewiesił je przez szyję.

Wyłączył froterkę i uważnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Nic. Nikogo.

Jasna dupa. Wpadał w paranoję. A przecież jeszcze nawet niczego nie wypalił. Może jego przyjaciele mieli rację, może powinien przestać. Jednak za każdym razem, kiedy o tym myślał, wpadał w panikę. Jaki sens miałyby jego życie, do diabła, gdyby nie trawka?

Sz, sz, sz.

Przyszło mu do głowy, że przypadkowo odbiera fale radiowe, sięgnął więc do paska i wyłączył iPoda.

Ten, co umarł, będzie żywy. Ten, co żyje, będzie martwy.

Głos rozbrzmiewał w jego głowie. Dochodził z wnętrza czaszki. Matthew pacnął się otwartą dłońią w skroń.

Zamknąć się tam, pomyślał.

Znowu to skandowanie.

Normalnie, kurna, wariował.

Wyjął komórkę. Może zadzwoni do brata? Tak tylko, żeby podtrzymać ludzki kontakt. Ale co mu powie? Zwykle nie ucinali sobie z bratem pogawędek. Nie byli ze sobą blisko.

Przewinął listę nazwisk i wcisnął guzik połączenia.

Poczta głosowa. Nagrane powitanie brata, a po nim piskliwy sygnał.

Matthew otworzył usta, by powiedzieć coś zdawkowego, w rodzaju: „Cześć. Mówi Matt. Tak tylko dzwonię, bez powodu”. Zamiast tego powiedział: - Ten, co umarł, będzie żywy.

Zamknął kłapkę telefonu i rozejrzał się dookoła z rozdziawionymi ustami.

Chciał rzucić telefon na podłogę, ale się powstrzymał. Ścisnął aparat z całych sił. Okay.

Weź głęboki oddech. Właśnie tak.

Popędził do schodów i wbiegł na nie, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Na dach. Żelazne drzwi szczęknęły, a potem się za nim zatrzasnęły. Na zewnątrz zaczął łykać lodowate powietrze. W świetle lamp bezpieczeństwa widział obłoczki swojego oddechu.

Chciało mu się skręta.

Jednak, kiedy pomyślał o powrocie do muzeum na haju... To był zły pomysł. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po dachu, z rękami w kieszeniach roboczych spodni. Nie miał na sobie kurtki i już po chwili zaczął się trząść z zimna.

Kątem oka dostrzegł coś poza granicą dachu, nisko, na ziemi, na pasie trawy między chodnikiem a jezdnią. Ciemny kształt, przesuwany się poza zasięg jego wzroku. Podeszedł do krawędzi.

Brukowana ulica była pusta. Coś wzleciało w niebo – coś małego, może nocny ptak – i zniknęło.

Wrócił do środka. Do pracy.

Chwytał rączkę froterki i już miał włączyć maszynę, gdy zauważył na podłodze jakieś śmieci. Przecież już odkurzał.

Nigdy nie froterował, jeśli podłoga nie była czysta – piach mógłby porysować powierzchnię. Niektórzy uważali go za fieję, ale on był bardzo sumienny.

Ruszył śmieciowym tropem, gubiąc go kilka razy.

Na dół. Do piwnicy, do sali z Nieśmiertelnym.

Sięgnął do kieszeni, by dla otuchy dotknąć komórki. I pomyśleć, że jeszcze pół godziny temu chciał ją wyrzucić.

Teraz była jego przyjacielem.

Minął róg, kierując się w stronę bursztynowych świateł, które miały nadać ekspozycji tajemniczy, niesamowity charakter.

Nieśmiertelny stał w gablocie, gapiąc się na niego ciemnymi dziurami oczu, uśmiechając się czarną jamą ust.

Dzwonek telefonu wyrwał Alastaira z głębokiego snu. Pierwszego głębokiego snu od wielu dni.

Kolejny problem w muzeum. Nocny sprzątac z zobaczył coś czy usłyszał. Znowu.

–Myślę, że sobie z tym poradzicie – powiedział Alastair oficerowi dyżurnemu.

–Ee, chyba jednak powinien pan przyjechać.

–Napisz w raporcie to samo, co ostatnim razem.

–Tym razem chodzi o coś innego. Alastair z trudem się skupił, powoli przytomniejąc.

–Co masz na myśli?

–Twierdzą, że mają coś dziwnego na taśmie wideo.

Niecały kwadrans później Alastair był w muzeum. Poszedł prosto do gabloty z Nieśmiertelnym. Mumia stała na swoim miejscu i wyglądała tak normalnie, jak normalnie mogą wyglądać zasuszone zwłoki za szybą z pleksi.

–Kto to zgłosił?

–Ten sam człowiek, co poprzednio. Zrobił sobie przerwę i wyszedł na dach, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i zapalić. Mówi, że kiedy wrócił, żeby dokończyć froterowanie podłogi, Nieśmiertelny robił do niego miny.

Poszli do pokoju ochrony, żeby obejrzeć nagranie wideo. Dyrektor muzeum siedział za pulpitem, przeglądając ujęcia z różnych kamer. Wcisnął kilka guzików i wskazał jeden z monitorów.

–Główne wejście. – Przewinął taśmę do przodu. – Boczne i tylne wejścia. Sala z Nieśmiertelnym. – Pstryknął jeszcze kilkoma przełącznikami. – A teraz spójrzcie panowie na to. – Wskazał monitor.

–Czy to się uśmiechnęło? – zapytał Alastair.

Funkcjonariusze przy drzwiach zachichotali nerwowo.

–Może pan cofnąć?

Dyrektor zatrzymał taśmę, cofnął i puścił od nowa. Tak. Wydawało się, że Nieśmiertelny się uśmiecha.

–Na jak długo wystarcza pojedyncza kasetka? – zapytał Alastair.

–Na dwadzieścia cztery godziny.

–I używacie tej samej taśmy wiele razy?

–Tak.

–A ta, jak jest stara?

–Nie wiem. Ma pewnie z rok. Kiedy otworzyliśmy nową wystawę, nie inwestowaliśmy w nowe taśmy. Urządzenia są przestarzałe i mamy

nadzieję wkrótce przejść na system cyfrowy.

–To artefakt – powiedział Alastair. – Widziałem już coś podobnego na używanej taśmie.

Jeden z policjantów pokiwał głową.

–Pamiętacie film z parkingu, na którym wśród samochodów rzekomo biegał duch? Okazało się, że to częściowy obraz klienta, który był tamtego dnia na parkingu. Stary zapis nie skasował się do końca.

Wszyscy się rozluźnili.

–Łowcy duchów zrobili wokół tej sprawy niezły szum, zanim ostatecznie obalono teorię o zjawie.

Alastair patrzył na nieruchomy obraz na monitorze.

–Z jakichś powodów ludzie chcą wierzyć w takie bzdury.

On chciał wierzyć w coś zupełnie przeciwnego.

Rozdział 35

Evana obudziło coś zimnego i mokrego. Zamrugął.

Potrzebował kilku chwil, by zorientować się, gdzie jest. W Starej Tuoneli. Leżał na plecach, na ziemi.

Kopał...

Widocznie padł ze zmęczenia. *Gdzie zaczyna się wiatr?*

Miał otwarte oczy i widział gwiazdy. Patrzył na nie z uczuciem dziwnego wyobcowania. Jakby znajdował się poza własnym ciałem. Uniósł zeszywniałą rękę, by dotknąć podbródka. Palce trafiły na ostrą szczecinę. Jego skóra była wilgotna i zimna.

Powoli zginał plecy, odrywając je od ziemi, aż usiadł. Jego latarnia nie świeciła, ale i bez niej dostrzegł niewyraźne kształty niskich krzaków i czarne pnie drzew, które górowały nad nim niczym wieże.

Czuł się dziwnie.

Lekko, a jednocześnie ociążałe, bardziej jak obserwator niż uczestnik wydarzeń. Wstawaj.

Dźwignął się i przez chwilę po prostu stał, czując własną słabość. Kolana chciały się poddać, ale zmusił się, by postawić jedną stopę przed drugą i ruszyć naprzód, w stronę domu.

Szepty.

Mówili do niego? A może nawet nie wiedzieli, że tu jest? Może rozmawiali między sobą?

Ciche głosy dobiegały zewsząd, jakby miliony światełek niosły dźwięki na skrzydłach. Widział je, latające między roślinnością w gęstym powietrzu. Zielone tańczące światelka.

Zielone światło oznacza, że światek umiera, przypomniał sobie

Evan. Że nie zostało mu wiele czasu.

Co robi człowiek, kiedy wie, że jego dni są policzone? Kiedy widzi, że jego światełko z żółtego zmieniło się w zielone? Jedzie do Disneylandu? Płynie w luksusowy rejs? Wybiera się na przejażdżkę balonem?

Rachel.

On, gdyby umierał, poszedłby się spotkać z Rachel. Tak. Nawet jeśli była na niego wściekła. Nawet jeśli go nienawidziła, i tak poszedłby do niej.

A co z Grahamem? Co z ojcem?

Evanowi przykro było to przyznać, ale gdyby miał wybrać jedną osobę... gdyby pozostała mu jedna, ostatnia wizyta do złożenia, jedna osoba, której mógłby dotknąć, na którą mógłby popatrzeć, byłaby to Rachel.

Przepraszam, Graham. Przepraszam, tato.

Kochał ich obu, ale musiałyby zobaczyć się z Rachel.

Tuż przed nim wyrosła brama, blokując drogę.

Jakimś cudem dotarł do niej, choć nie pamiętał jak. Nie była zamknięta, więc przecisnął się przez szparę.

Ruszył pod górę, przez chmary świetlików krążących w dzikim tańcu, na tyły domu. Przeszedł po chodniku z popękanych płyt, i wszedł do kuchni. Nie zatrzymując się, pomaszerował do schodów z zamiarem udania się do sypialni.

Człowiek, który wie, dokąd idzie.

W piwnicy. Jesteśmy w piwnicy.

Evan zatrzymał się z ręką na poręczy. Kto to był? Kto do niego mówił?

Kolejny głos, męski, stanowczy, powiedział: Nie, trzymaj się z

daleka.

Ten głos miał w sobie władczą siłę. Głos Richarda Manchestera. W górę, po schodach. Skręt na górnym podeście.

Do sypialni. Do komody.

Otworzył szufladę i zaczął szukać czegoś po omacku.

Znalazł jedwabną apaszkę i zawiązał ją sobie wokół szyi. Chustka należała kiedyś do Nieśmiertelnego.

Jeszcze raz sięgnął w głąb szuflady. Tym razem wyjął srebrną puszkę. Zdjął wieczko i uniósł pojemnik do twarzy.

Zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze.

Zawartość pachniała ziemią i spleśniałymi liśćmi, mokrymi, omszałymi skałami, grzybami i korą choinki. I jeszcze czymś. Czymś mrocznym i zakazanym, i bardziej frapującym niż pozostałe zapachy.

Sercem Nieśmiertelnego.

Sercem wampira.

Evan wypił już część zawartości puszkę w postaci wywaru. Co się stanie, jeśli ją dokończy? Czy będzie silniejszy?

Czy stanie się nieśmiertelny? Nie znał odpowiedzi na te pytania.

Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Prawda.

Wypij resztę wywaru. Czy może ci zaszkodzić jeszcze bardziej? I tak jesteś już w połowie drogi.

W połowie drogi do czego?

Nie był ani człowiekiem, ani wampirem. Miotał się pomiędzy dwoma światami: światem żywych, do którego nigdy nie będzie należał naprawdę, a światem zmarłych.

Kraina zmarłych.

Chciał stać się jej częścią. Inaczej nie byłoby go tutaj. W

najgłębszych zakamarkach duszy wiedział, że to prawda.

Mógł wmawiać Grahamowi, Alastairowi i Rachel, że jest tutaj, żeby ocalić historię, ale w miarę upływu czasu widział coraz wyraźniej, że to, co robi, robi wyłącznie z egoizmu.

Stara Tuonela przemawiała do niego. Definiowała go.

Gdyby skonsumował resztę zawartości puszki, może wreszcie stałby się całością.

Nie mógł się już cofnąć. Nie było powrotu do tego, kim był kiedyś. Stary Evan wciąż był w nim, ale zmienił się, pękł.

Teraz był w połowie człowiekiem, w połowie czymś innym.

Chciał w całości być czymś innym.

Zrób to.

Ale co z Rachel? Co z Grahamem?

Oni się nie liczą. Żadne z nich się nie liczy. Tu chodzi o ciebie, nie o nich. Poza tym, czy którekolwiek z nich jest tutaj?

Czy są teraz z tobą?

Nie, zostałeś sam, opuszczony przez ludzi, których kochasz. Podejmij decyzję. Wypij wywar. Dokończ herbatę.

Czasami myślał, że to samotność doprowadza go do obłądu. Czy poczuje się mniej samotny, jeśli wypije tę herbatę?

Tak. Będziesz miał mnie. Będziesz miał nas. Nas wszystkich.

Kim oni byli? Kto do niego mówił? Kto siedział w jego głowie?

Zmarli. Zmarli ze Starej Tuoneli. Chcieli go. Potrzebowali go.

Wziął szczyptę ciemnej zawartości puszki i położył sobie na języku. Jego usta wypełniła gorzka tęsknota, ciepła i uwodzicielska.

Słodki, słodki ból śmierci.

Evan.

Wołali go. Musiał sprawić, żeby przestali. Żeby się zamknęli.

Zatkał puszkę i schował ją do komody. Podeszedł do okna sięgającego od podłogi do sufitu i zerwał zasłaniający je materiał. Paznokciami drapał farbę, aż przez szybę wlało się poranne słońce, porażając jego źrenice. Zatoczył się do tyłu i runął na podłogę.

W piwnicy. Jesteśmy w piwnicy.

Rozdział 36

Wybrano śrutówki. – Żadnych karabinków – powiedział Alastair Stroud, kiedy przedstawiono mu pomysł masowej rzezi. Ludzie się bali, a przestraszeni ludzie robią szalone rzeczy. Wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek i dlatego nie zamierzał wypuszczać w miasto bandy wściekłych facetów, wymachujących gwintowaną broń niosącą na trzy kilometry. Jeden z dwudziestu myśliwych wetknął paczkę nabojów do kieszeni pomarańczowej kamizelki.

–Ja nigdy nie pudłuję. Właśnie takiego durnego nastawienia Alastair obawiał się najbardziej.

–Przepisy stanowego Departamentu Zasobów Naturalnych pozostają w mocy. – Ale na kojoty zawsze był otwarty sezon. – Nie czytaliście regulaminu, który wywiesiłem?

Setka mężczyzn i garstka kobiet zgłosiła się, by przetrzebić populację kojotów. Z tej setki Alastair wybrał dwudziestu mężczyzn, w nadziei, że uda mu się ograniczyć chaos do minimum. Nie chcieli, żeby dziennikarze zwietrzyli sensację. Nie chcieli mieć na karku Towarzystwa Ochrony Zwierząt, a w każdym razie nie do czasu, aż będzie po wszystkim.

Burmistrz McBride załadował śrutówkę i zatrzasnął ją.

Alastair zastanawiał się, czy facet ma w ogóle pojęcie o broni palnej.

Gdyby to od niego zależało, nie włączyłby McBride'a do grupy, ale polowanie było jego pomysłem, no i był burmistrzem. Alastair miał tylko nadzieję, że burmistrz nikogo nie zastrzeli.

Dwudziestu podenerwowanych, poważnych facetów z poczuciem

misji, ubranych w brezentowe kurtki i pomarańczowe kamizelki, czekało, aż słońce ukaże się nad horyzontem. Powietrze było rześkie, a ziemia pokryta szronem. Ludzie stali przygarbieni, ze śrutówkami pod pachą i z rękami upchniętymi w kieszeniach.

Ludzie z misją. Broniący swoich dzieci i żon przed wrogiem, którego wreszcie rozumieli. Rozpoznaj wroga, znajdź go i zabij. Poczucie beznadziei i braku kontroli zniknęło. Teraz oni tu rządzą.

Kiedy dzieją się złe rzeczy, przychodzi strach, a z nim potrzeba działania. I nie jest ważne, czy to, co robimy, jest słuszne, czy nie – bylebyśmy tylko coś robili. Bo ludzie najbardziej na świecie nienawidzą być bezradni. Nawet jeśli Alastair nie pochwałał tego, co miało się wydarzyć, rozumiał to.

Próbował przekonać burmistrza do rezygnacji z masakry, ale kiedy się przekonał, że polowanie odbędzie się niezależnie od jego udziału, zgodził się je zorganizować. Nie ma nic gorszego niż zgraja wściekłych facetów ze śrutówkami, miotających się na oślep po okolicy.

Słońce wzeszło. Mężczyźni z Tuoneli wyruszyli, by zabijać. Alastair założył skórzane rękawiczki i poszedł z nimi.

Już wcześniej ustalono tereny największej aktywności kojotów. Las, w którym znaleziono ciało Brendy Flemming, był pełen niezliczonych ścieżek, śladów i zwierzęcych odchodów. Kojoty nie boją się ludzi tak jak, na przykład, jelenie. Lubią się przyczaić w bezpiecznej odległości i obserwować. Nawet kiedy zorientują się, że zostały zauważone, nie zawsze uciekają.

Alastair celowo odłączył się od reszty myśliwych. Ruszył wąską ścieżką w kierunku nory wykopanej w zboczu pagórka pod korzeniami drzew. Ziemia była świeżo poruszona, więc wiedział, że

jest tylko kwestią czasu, aż kojot wyjdzie z kryjóWKi.

Uniósł broń do ramienia i czekał z lufą wycelowaną w norę. Kiedy zwierzę się pojawiło, nacisnął spust. Kojot padł, nie wydając dźwięku. Alastair opuścił lufę i podszedł do niego. Martwy. Czysty strzał. Nie chciał, żeby zwierzak cierpiał.

W oddali słyszał salwy śrutówek. Po niektórych strzałach rozlegał się bolesny skowyt. Rozejrzał się. Nie widząc nikogo, ukląkł przy martwym kojocie, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kilka długich, jasnych włosów. Otworzył paszczę zwierzęcia i owinął włosy wokół dwóch tylnych zębów.

Poczuł obrzydzenie do samego siebie. Ostatnio często mu się to zdarzało. Nie mógł znieść tego, kim się stał, ale nie widział wyjścia z tej matni. Pogrążył się więc coraz bardziej.

Rachel spuściła wodę w toalecie, pochyliła się nad umywalką i ochlapała twarz zimną wodą. Dlaczego ludzie nazywają to porannymi mdłościami, skoro ona wymiotowała o każdej porze dnia i nocy? I dlaczego nasiliło się teraz, kiedy była już w trzecim trymestrze?

Pierwsze trzy miesiące były łatwe. Nie wiedziała nawet, że jest w ciąży – brak miesiączki zrzucała na karb stresu.

Teraz miała wrażenie, że dziecko wysysa z niej życie.

Zadzwoiła komórka.

Dzwonił Alastair Stroud, by zawiadomić ją, że rzeź kojotów dobiegła końca.

– Jesteśmy na placu.

– Będę tam za parę minut. – Zamknęła telefon. Czasami nienawidziła ludzi. Bardzo często nienawidziła ludzi. Wypiła w kuchni kilka łyków proteinowego koktajlu, w nadziei, że uspokoi nim żołądek, i wyruszyła na miejski główny plac Tuoneli. Zjawiło się

chyba pół miasta.

Martwe kojoty zdjęto z pak pikapów i ułożono jak na wystawie, w trzy rzędy po dziesięć zwierzaków. Pstrykały aparaty.

Na trawniku po drugiej stronie ulicy rozłożyły się ekipy stacji telewizyjnych. Burmistrz, ubrany w żarówiastą myśliwską kamizelkę i czapkę, udzielał im wywiadów. Zrobił, co mógł, aby informacja o polowaniu nie wyciekła przed faktem, ale teraz, kiedy już było po wszystkim, chciał ją rozgłosić wszem wobec. Uparł się ściągnąć turystów z powrotem, nawet kosztem rzezi niewinnych zwierząt. Kiedy skończył z dziennikarzami, zauważył Rachel i podszedł do niej.

–Jak pani widzi, odnieśliśmy spory sukces. Rachel popatrzyła na niego zimno.

–Jeśli mówi pan o kreowaniu własnej rzeczywistości, to się zgadzam.

Na moment zaniemówił, ale szybko doszedł do siebie.

–Dziwię się pani. Widziała pani tyle śmierci.

Pokręciła głową.

–To nie znaczy, że ją lubię czy pochwalam jej zadawanie.

–Nie to miałem na myśli. I nikt nie lubi zadawać śmierci. To była konieczność.

Rachel zawsze raziło, że McBride po prostu przyjechał tu pewnego dnia i zaczął się szarogęścić. Była zaskoczona, kiedy w wyborach na burmistrza pokonał dwoje miejscowych kandydatów. Wyglądało na to, że mieszkańcy są gotowi na rządy człowieka z wizją i na jego pełne rozmachu pomysły. Potrafiła to zrozumieć, skoro do tej pory prawie nic się tu nie udawało. Odkąd sięgała pamięcią, Tuonela była w stanie rozkładu i upadku. Zjawił się Alastair Stroud.

–Chcieliśmy cię prosić, żebyś przebadala parę sztuk wybranych na

chybił trafił. To zakamuflowane polecenie nie poprawiło jej nastroju.

–Sekcje zwierząt nie należą do moich obowiązków.

–Daj spokój, Rachel. Chodzi o pobieżne badanie. Mogłabyś sprawdzić treść żołądków pod kątem zawartości ludzkich szczątków.

–Jeśli w ten sposób udowodnię wam, że ta jatka była absolutnie niepotrzebna i że te zwierzęta są niewinne, to zrobię to. Wybierz trzy najbardziej podejrzane osobniki i przynieś do prosektorium.

Odwróciła się i odeszła, przyspieszając kroku. Gdy dotarła do kostnicy, znowu zwymiotowała.

Rachel trzymała się standardowej procedury autopsyjnej. Włączyła dyktafon i zaczęła od podania podstawowych faktów. Potem dokonała zewnętrznych oględzin sierści i łap pierwszego zwierzęcia. Otworzyła jego pysk i przysunęła lampę na wysięgniku, cały czas czując obecność Alastaira Strouda, stojącego kilka kroków za nią.

–Mogłeś się postawić burmistrzowi.

–Próbowałem.

–Tak, widziałam. – Wzięła pęsetę z tacy z narzędziami.

–Nie jestem wszechmogący.

–Zaczynam myśleć, że ten problem dotyczy wszystkich mieszkańców Tuoneli, ze mną włącznie. Jesteśmy niezdolni do podjęcia akcji. – Dłonią w rękawiczce przytrzymała pysk zwierzęcia i spomiędzy tylnych zębów wyciągnęła długie, jasne nitki.

Jezu. Tego się nie spodziewała. Zbliżyła nitki do światła. Alastair podszedł bliżej.

–Czy to jest to, co myślę?

–Zapomnij o wszystkim, co przed chwilą powiedziałam – wymamrotała, zamyślona. – Włosy. Ludzkie włosy. Alastair zagwizdał cicho.

Rachel schowała włosy do woreczka na dowody i osłupiała, klapnęła na stołek. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby przestawić się na inny sposób myślenia.

–Spróbuję poprosić, żeby laboratorium się z tym pospieszyło.

–Zdaje się, że mamy sprawcę. Spojrzała na niego.

–Jesteś pewny?

To było zbyt proste. Zbyt oczywiste. Włosy wyglądały, jakby dopiero co znalazły się w pysku, a powinny być splątane i oblepione resztkami pokarmu. Otworzyła usta, by podzielić się wątpliwościami, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Alastair wyglądał jak dzieciak, który właśnie zrobił komuś kawał i boi się że się wyda, że to on. Rachel przypomniała sobie, jak dziwnie się ostatnio zachowywał.

Co on kombinował, u licha?

Rozdział 37

Wydawało mi się, że w ogóle nie spałam, choć najwyraźniej odpłynęłam, bo skrzywienie desek podłogi nad moją głową poderwało mnie na równe nogi. Przez okienko z luksferów na poziomie ziemi sączyło się słabe światło poranka.

Graham powinien mnie ostrzec, że w piwnicy są myszy.

Słyszałam, jak drapią – dźwięk dochodził z pobliza zamrażarki. Chwilami miałam wrażenie, że siedzą w środku.

Raz nawet wstałam i otworzyłam wieko zamrażarki, ale szybko ukryłam się z powrotem, słysząc kroki na podłodze nade mną.

Rozmasowałam twarz i zaplotłam włosy. Strasznie chciało mi się pić. Spojrzałam w górę na drewniane belki stropu, zastanawiając się, co ja właściwie wyprawiam? Jak to możliwe, że ciągle pakuję się w takie sytuacje? Dlaczego nie wróciłam do Minneapolis z Ianem i Stewartem?

Może tylko się oszukiwałam? Wmawiałam sobie, że potrafię nakręcić film dokumentalny, który zostanie zauważony i będzie miał jakiś oddźwięk społeczny lub artystyczny? W przeszłości pracowałam z wieloma ludźmi którym zdawało się, że mają talent, choć w rzeczywistości było inaczej. Czy byłam jednym z nich? Frajerką, cierpiącą na urojenia? Skąd człowiek ma wiedzieć takie rzeczy? To jest właśnie problem z urojeniami.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a potem ciężkie kroki. Po chwili drzwi piwnicy się otworzyły. Poderwałam się z podłogi i złapałam śpiwór.

–To ja – szepnął Graham. Zbiegł truchtem po schodach. – Nie ma

go. Wszedł dziś wcześniej. Ja też muszę lecieć. Mam dzisiaj ważny sprawdzian. Zależy od niego połowa mojej oceny, a już jestem spóźniony. – Spojrzał na zamrażarkę. – Hej, dlaczego to jest otwarte? – Zdziwiony zamknął wieko.

–W środku były uwięzione myszy.

–Myszy?

–Tak.

–Więc je wypuściłaś?

–No.

Roześmiał się. Wyszliśmy z piwnicy.

Podrzuciłam Grahama do szkoły. Gdy wysiadł z samochodu, przystanął na chwilę i pochylił do otwartych drzwi.

–Odbierz mnie tutaj o wpół do czwartej. Bawiłam się radiem.

–Dobra.

Pojechałam do miasta, żeby sprawdzić, czy dzieje się coś ciekawego. Na trawniku przed budynkiem sądu trwała właśnie konferencja prasowa.

Wyjęłam kamerę i starając się nie rzucić w oczy, powolutku przepchnęłam się przez tłum gapiów, reporterów i techników.

Burmistrz McBride wygłaszał starannie przygotowaną mowę na temat prawdziwych sprawców ostatnich zbrodni.

Znowu truł o kojotach. Najwyraźniej władze miasta urządziły na nie wielką nagonkę, która zakończyła się masową eksterminacją.

Banda świrów.

Sfilmowałam to. Nie wiedziałam jeszcze, czy wykorzystam, ale mogłam.

Wyłączyłam kamerę i oderwałam oko od wizjera. Zauważyłam, że obserwuje mnie facet w ciemnym garniturze.

Cholera. To pewnie człowiek burmistrza. Jeden z jego goryli. Czy ludzie naprawdę zatrudniają goryli, czy to tylko telewizyjna fikcja?

Założyłam osłonę na obiektyw.

Facet w garniturze ruszył w moją stronę, klucząc między grupkami ludzi. Odwróciłam się i szybko skierowałam w przeciwną stronę. Wyrwałam się z tłumu i zerknęłam przez ramię.

Wciąż szedł za mną, teraz już szybciej.

Zaczęłam biec – sama nie wiem dlaczego. Nie zrobiłam niczego złego, ale coś w wyglądzie tego faceta mówiło mi, że powinnam się stamtąd jak najszybciej zmyć.

Samochód Grahama stał niedaleko, ale nie chciałam, żeby gość widział, jak do niego wsiadam. Wbiegłam w uliczkę, przelazłam przez jakieś podwórko i wpadłam w kolejny zaułek. Spojrzałam przez ramię. Nie było go. Okrężną drogą wróciłam do samochodu, wskoczyłam do środka, zapaliłam silnik i odjechałam.

Spojrzałam w lusterko.

Oto i on. Stał na samym środku ulicy.

Wyjechałam z miasta, kierując się do miejsca, w które chciałam wrócić od pierwszego dnia. Do miejsca pierwszej zbrodni. Do lasu, gdzie pojawiła się, a potem zniknęła jasnowłosa dziewczynka.

Wystarczyło kilka mocniejszych przymrozków, by drzewa straciły większość liści. Teraz zamiast powtarzalnego żółtego wzoru w oczy rzucały się niemal identyczne ciemne pnie pod szarym niebem.

Zaczęłam kręcić, jak tylko wysiadłam z samochodu. Trzymając kamerę nisko, szłam powoli w stronę lasu. Gruba, sprężysta warstwa liści pochłaniała dźwięk i sprawiała, że stopy wydawały się cięższe, jakby ciągnął je w dół niewidzialny magnes. Moje ciało ciążyło ku ziemi, kroki nie były tak lekkie, jak na drodze.

Zauważyłam na gałęziach kilka ptaków, milczących, czujnych. Cała okolica wydawała się pozbawiona życia, pusta.

Zanim weszłam między drzewa, zatrzymałam się i wycelowałam obiektyw w miejsce, gdzie jak mi się zdawało, widziałam dziewczynkę. Zrobiłam panoramiczne ujęcie, przesuwając kamerę na prawo i lewo, aż wróciłam w ten sam punkt.

W wizjerze nie dostrzegłam nic niezwykłego.

Ale poprzednim razem też nie widziałam niczego podczas nagrywania.

Uniosłam wzrok i rozejrzałam się po okolicy. Niebo było stalowoszare. Dalekie i zimne, zapowiadało śnieg. Palce mi poczerwieniały i czułam, jak chłód owija się wokół moich kostek i wspina wyżej, w nogawki spodni. Dlaczego nie włożyłam skarpetek? Dlaczego nie pożyczyłam od Grahama cieplejszych ciuchów?

Głupia i nieprzygotowana. Jak zawsze.

Ruszyłam naprzód, starając się ignorować fizyczny dyskomfort.

W las.

Choć większość liści zdążyła już opaść, nieliczne nadal łopotały na gałęziach. Wierciły się, jakby koniecznie się chciały oderwać i spaść na ziemię. Tutaj było jeszcze ciszej.

Drzewa zostały zasadzone ludzką ręką – stały nienaturalnie blisko siebie. Moja dusza artystki doceniała to, jak pnie ustawiają się w rzędy, niezależnie od kąta, pod którym się na nie patrzy, jak aleje między nimi prowadzą w nieskończoność.

Czy zrobiłam mądrze, przychodząc tu sama?

Myślałam, że skoro jest dzień, będę bezpieczna. Obydwa morderstwa wydarzyły się w nocy. Ale teraz, gdy niebo pociemniało, w tym odludnym lesie... ..było jak w nocy.

Zatrzymałam się i spojrzałam za siebie.

Zaszłam dalej, niż mi się wydawało. Samochód Grahama, choć nadal widoczny, był teraz mały i niewyraźny.

Odwrociłam się. Drugi brzeg leśnego pasa nie wydawał się ani trochę bliższy niż przedtem. Całe to miejsce było jednym wielkim złudzeniem optycznym.. Może powinnam się zatrzymać. Wrócić.

Nakręciłam już trochę zdjęć. Może nie tyle, ile bym chciała, ale dosyć. Zresztą i tak zawsze mam za dużo zdjęć.

Ciągnęło mnie jednak na drugą stronę.

Ruszyłam szybciej. Do diabła z podskokami kamery – może nawet dodadzą klimatu.

Po pięciu minutach widok przede mną się nie zmienił.

Zatrzymałam się, by sprawdzić, jak jest za mną.

Nie widziałam już samochodu. Uniosłam kamerę na wysokość ramienia i zrobiłam powolną, trzystusześćdziesięciostopniową panoramę, z ostrością nastawioną na drzewa w oddali i zamazanym pierwszym planem.

To będzie jedna z najfajniejszych rzeczy, jakie nakręciłam.

Na moment zapomniałam o swoim planie zrobienia dokumentu o Tuoneli. Byłam zbyt podekscytowana tym, co utrwalam na taśmie.

Usłyszałam szelest. Opuściłam kamerę i rozejrzałam się dookoła. Ciemne drzewa. Nieruchome. Jak obserwatorzy.

Szelest liści i znowu głucha cisza.

Ruch. Coś czarnego. Wybrzuszenie kory. A może to była głowa? Czyżby ktoś wyrzwał zza drzewa? I znowu. Czy to był drugi ktoś?

Jak w kalejdoskopie czarne kształty zaczęły się odrywać od pni drzew, poruszane jednym rytmem. Wydałam zduszony okrzyk i zrobiłam krok w tył.

Niebo jeszcze pociemniało. Zamrugalam, próbując zorientować się, co właściwie widzę.

Kształty się zbliżały.

Próbowałam krzyknąć, ale powietrze pochłaniało dźwięk, kiedy tylko wydostawał się z moich ust. Ruszyłam biegiem. W złym kierunku. Oddalałam się od samochodu, ale nie miałam wyjścia, jeśli chciałam uciec od czarnych kształtów podążających za mną.

Rozdział 38

Gdy tylko rozległ się dzwonek, Graham wybiegł z budynku szkoły i rozejrzał się po ulicy. Ani śladu Kristin i jego samochodu. Świetnie. Gdzie ona się podziewa?

Czekał, podczas gdy szkolne autobusy odjeżdżały jeden po drugim. Po chwili wszyscy się zmyli, a on został bez podwózki. Ruszył do domu pieszo.

Nie było daleko.

Był chyba najgorszym sędzią ludzkich charakterów na świecie. Kristin była walnięta, ale wydawało mu się, że się na niej poznał. Wiedział, że go wykorzystuje, ale czuł, że w gruncie rzeczy to dobra dziewczyna. A już na pewno nie podejrzewał, że spróbuje ukraść samochód jego ojca. Czy była do tego zdolna? Nie, nie ma mowy.

A może jednak?

Nie zastał jej u dziadka. Łudził się, że może jednak ją tu znajdzie. W domu nie było nikogo. Po godzinie zadzwonił do Alastaira i opowiedział mu, co się stało, zachowując część szczegółów dla siebie.

Nigdy nie mów im wszystkiego – tak brzmiała jego dewiza.

–Myślałem, że Kristin Blackmoore wyjechała wczoraj z miasta – powiedział Alastair. – I skąd, u licha, wzięła twój samochód? A właściwie samochód twojego ojca.

–Pożyczyłem go jej. Chciała nakręcić parę dodatkowych ujęć, zanim wyjedzie. Nie widziałem w tym nic złego.

–Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. – Alastair się rozłączył. Oddzwonił godzinę później, Graham odebrał po pierwszym sygnale.

–Znaleźliśmy samochód – powiedział Alastair. – W Topolowym

Lesie. Graham przełknął ślinę.

–A Kristin?

–Jej rzeczy są w aucie, a po niej samej nie ma ani śladu. Kilku funkcjonariuszy przeszukuje w tej chwili okolicę.

–Ona tam jest. Musi tam być. A może Ian i Stewart wrócili, i pojechała z nimi. – Ale czy porzuciłaby samochód? I swoje rzeczy?

–Przeszło mi to przez myśl – odparł Alastair. – Ale znaleźliśmy coś, co temu przeczy. Coś, co sugeruje, że twoja przyjaciółka może mieć kłopoty.

Chyba nie mówił o skórze. Graham modlił się, by jego dziadek nie mówił o skórze.

–Znaleźliśmy jej kamerę i torbę w samym środku Topolowego Lasu. Kristin mogła zostawić wiele rzeczy, ale nigdy nie zostawiłaby swojej kamery.

–A co z nagraniem? Może ono wam coś powie?

–Właśnie je oglądamy.

Rozdział 39

Żelazny szpadel uderzył w kamień. Sypnęły się iskry i Evan zmrzążył oczy w ciemności. Pochylił się niżej i w świetle latarni przeciągnął szpadlem po okrągłym kamieniu fundamentu.

Fundamentu domu Manchestera. Tam, gdzie kazały mu kopać głosy.

Czuł, że znowu znika, że gaśnie. W miarę jak słabło jego ciało, słabła też jego determinacja. Richard Manchester przejmował nad nim władzę.

Jego myśli krążyły chaotycznie. Czy był w nowej czy starej Tuoneli? W starej, tak? A może to Tuonela była pierwsza, a Stara Tuonela została jej następczynią?

Czy jeśli wyjdzie na górę, zobaczy wspaniały dom nietknięty przez czas i zniszczenie?

Tracę zmysły, pomyślał. *Nie, wracasz do domu.*

Czasami, kiedy wreszcie zasypiał z wyczerpania, słyszał ściszony pomruk setki odległych głosów, szepczących do niego. I nagle sięgał do oliwnej lampy przy łóżku, gdzie nie stała żadna lampa. Patrzył na podłogę i zamiast czarnych zacieków pozostawionych przez sączącą się przez dziurawy dach deszczówkę widział perski dywan w intensywnych barwach burgundu i błękitu. Ściany były pomalowane w pięknym odcieniu zieleni. Stolarkę sprowadzono z Anglii, najpierw statkiem, potem pociągiem, a w końcu konnym wozem. Witraże zamówiono u najlepszych bostońskich szklarzy.

Mogłem tu być taki szczęśliwy.

Powinienem tu być szczęśliwy.

Gdyby tylko mógł wrócić. Zacząć wszystko od początku. Zgubiła go miłość. Osłabiła go i oszukała. Co za wstyd.

Poprawił chwyt na łopacie. Dłonie miał zdarte do żywego, pęcherze pękały i krwawiły. Ale to nie było jego ciało. To ciało było spisane na straty.

Evan znieruchomiał i nadstawił uszu, marszcząc brwi. Czy ktoś coś powiedział? Czyżby znowu szeptali?

Trzeba było wsłuchać się naprawdę uważnie. Trzeba było się do nich dostroić, otworzyć na ich głosy. Inaczej można je było wziąć za wiatr.

Gdzie zaczyna się wiatr? W Starej Tuoneli.

Przyniósł belki z przeznaczonej do rozbiórki części domu, by użyć ich jako stempli. Ale jeden człowiek ma ograniczone możliwości i gdyby ziemia postanowiła przeciągnąć się i odetchnąć, słupy nie wytrzymałyby.

Zasypali piwnicę, kiedy odchodzili. Jego ludzie. Jego zbuntowani poddani. Gdyby żył, to by się nie stało. Ludzie są tak niestali. Miłość jego życia. Nienawiść jego życia. Suka. Jego upadek był dziełem kobiety.

Szpadel natrafił na coś nowego. Rozległ się pusty dźwięk, a ramię Evana zdrząło od uderzenia. Drzwi.

Zaczął kopać szybciej, ale szybko zorientował się, że wejście zapadło się i przesunęło tak bardzo, że już nigdy się nie otworzy.

Trzymając szpadel nad ramieniem jak oszczep, uderzył w przegniłe drewno. Deski kruszyły się po kawałku, aż wreszcie mógł odłożyć szpadel i wyrwać fragment drzwi gołymi rękami.

Chwycił latarnię, schylił się i przecisnął przez wąski otwór.

Gdy znalazł się w środku, uniósł latarnię, która wypełniła

pomieszczenie słabym światłem. Kolejna część piwnic, z fundamentem z głazów zebranych na okolicznych wzgórzach, w dolinach i łożyskach rzek.

Ta część piwnicy pozostała nietknięta, niezmieniona. Jakby ona tego chciała. Jakby jakimś cudem zdołała powstrzymać tony ziemi, od wdarcia się przez drzwi i pochłonięcia jej.

Victoria.

Wciąż tu była. Tu, gdzie zostawił ją ponad sto lat temu, by nie znalazł jej nikt, nawet Florence.

Ta świadomość sprawiała, że czuł się odrobinę lepiej. Wiedza, że kiedy on i Florence pieprzyli się na górze, Victoria, siedziała tutaj, przykuta do ściany.

Roześmiał się i dźwięk odbił się echem w małej komnacie. Tym razem zadba, żeby wiedziała. Zmarszczył brwi. Żeby wiedziała? Przecież ona nie żyje. Florence nie żyje. Prawda?

Nie, przecież ją widział. Spała, z brzuchem spuchniętym od ciąży.

Sprowadź ją tutaj. Pokaż jej Victorię, a potem ją zabij i wytnij dziecko z jej łona.

Patrzył na szkielet przykuty do ściany. Na strzępy włosów, ubrania, zasuszonej skóry. Obok Victorii było mniejsze ciało. Jej dziecko. Dziewczynka? Nie pamiętał.

Uniósł latarnię i podszedł bliżej.

Pajęczyny i warstwa kurzu pokrywały obie mumie. Dziecko miało na sobie sukienkę. Bawełnianą koszulkę nocną z haftem i koronkowym wykończeniem. Zaniknął oczy. Teraz ją widział. Rumieniec na policzkach, pulchne paluszki, długie, jasne włosy i niebieskie oczy.

Słodka dziewczuszka.

Pachnąca życiem.

A teraz zasuszony trup.

Oparty o ścianę stał pałasz, którym ostatecznie zamierzał zakończyć ich życie. Chciał, żeby zginęły, ale nie w ten sposób. Opuszczone. Ale dostały, na co zasłużyły. Był zazdrosny o Victorię i więź, która łączyła ją z Florence.

Zamierzał ją wyeliminować, usunąć z drogi. Żeby Florence szukała u niego pociechy.

Podniósł się alarm. Victoria i jej córka zaginęły. Po dwóch tygodniach uznano je za zmarłe. Ale one były tutaj. W katakumbach pod dworem. Richard czuł ich zapach, nawet gdy był na tarasie na piętrze.

Szczególnie nocą. Zawsze czuł je nocą, gdy wilgotne powietrze niosło zapachy i dźwięki.

Dzieci pachną tak słodko.

Zastawienie pułapki na Florence sprawiło mu perwersyjną przyjemność. Świadomość, że te dwie, za którymi tak tęskniła, są tuż pod jej nosem, była upajająca.

Przyszła do niego łatwo.

Zbyt łatwo.

Powinien coś podejrzewać, ale miłość przesłoniła mu rozsądek.

Pocieszał ją po stracie. Lgnęła do niego – szlochająca, cierpiąca, oszalała z rozpacz. Jednak nie na tyle oszalała, by nie móc knuć i planować. By zniszczyć jego królestwo. Jego piękną Tuonele.

Suka.

Kochała się z nim. Szeptła mu do ucha słodkie słówka. Mówiła o wspólnym jutrze. Och, jego wspomnienia były pełne nocy przesyconych słodkim zapachem spoconego ciała na zmiętej pościeli.

Świec wypalonych do cna i penetracji tak głębokiej, że dusza opuszczała jego ciało. Nigdy nie odwracał się plecami do kobiety.

Nigdy nie zamykał oczu i nie uśmiechał się z jej imieniem na ustach. Bo kiedy to zrobisz, ugodzi. Przeszyje ci serce twoim sztyletem.

Wydał tylko jeden cichy okrzyk. Otworzył oczy i spojrzał na nią – ze zdumieniem, niedowierzaniem, urazą.

Próbował ją zapytać dlaczego, ale krew podeszła mu do gardła i wypełniła usta.

A ona się uśmiechała.

Ta wiedźma się uśmiechała.

Stała naga, otulona ciemnymi włosami, z ociekającym krwią ostrzem w dłoni.

Och, cóż za aktorka! Nigdy w życiu nie widział tak doskonałej gry. Był przekonany, że kocha go jak nikogo. Że go czci, że umarłaby dla niego.

–To za moją siostrę – powiedziała. – I siostrzenicę. – Patrzyła na niego bez zmrużenia oka, jakby nie chciała uronić ani jednej sekundy jego bólu i agonii. – I za wszystkie inne słodkie niewiniątka, które zabiłeś.

Teraz i on się uśmiechnął.

Bo jej siostra i siostrzenica wciąż żyły, przykute do ściany lochu, poza zasięgiem słuchu. Nawet gdyby mógł mówić, nie powiedziałaby słowa. Jej triumfalna mina zniknęła.

–Dlaczego się uśmiechasz? Co wiesz?

Wydał ostatnie tchnienie, wiedząc, że zabiła nie tylko jego, ale też swoją siostrę i jej córkę. Zemsta była słodka, ale brakowało w niej najważniejszego.

Teraz, w czeluści piwnicy, ujął pałasz i zważył go w dłoni.

Rozdział 40

Alastair pochylił się nad konsoleką i wpatrzył w ekran. – I co ty na to?

Erie Fontaine przewinął taśmę i wcisnął guzik odtwarzania. Alastair jechał dwie godziny, żeby dostarczyć Ericowi ten film. Nie chciał ryzykować wysyłki pocztą, a wolał nie przesyłać go przez Internet.

Siedzieli w piwnicy podmiejskiego domu Erica, koło Madison. Alastair słyszał telewizor na górze, a od czasu do czasu także hurgot kółek jakiejś plastikowej zabawki do jeżdżenia, sunącej po podłodze nad nimi. Czuł zapach gotowanego obiadu. Coś włoskiego. Może spaghetti. Erie wcisnął pauzę.

–Wygląda realistycznie.

Obaj patrzyli na monitor, na obraz dziewczynki stojącej na skraju Topolowego Lasu. Alastair wiedział, kiedy i gdzie film został nakręcony, bo sam tam był. Nawet zobaczył siebie na kilku ujęciach.

–Ale nie jest prawdziwe – odparł z przekonaniem, choć tak naprawdę miało to być pytanie. – Byłem tam tego dnia i nie widziałem żadnej dziewczynki.

–Och, tak. – Erie odchylił się na obrotowym krześle tak daleko, że Alastair obawiał się, iż mężczyzna zaraz się wywróci. – Powiedziałem tylko, że to wygląda realistycznie, a nie, że jest prawdziwe. Taki efekt dosyć łatwo osiągnąć. Pewnie ktoś obrobił nagranie w przyzwoitym programie graficznym. Niemniej, świetna robota. Krzesło skrzypnęło, gdy Erie pochylił się do przodu.

–Zwróciłeś uwagę na sukienkę dziewczynki? Jest przejrzysta –

widać przez nią drzewa po drugiej stronie. Niezła sztuczka, ale nie taka trudna do zrobienia.

–Więc to trik. – I znów pytanie pomieszane ze stwierdzeniem faktu.

Erie spojrzał na Alastaira. Stroud widział, że technik próbuje odgadnąć, czy mówi poważnie. Albo czy zwariował. Oczywiście, że to był trik. Gliniarze nie pytają, czy duchy są prawdziwe. Tak się po prostu nie robi.

–Pytam ze względu na powagę sprawy – wyjaśnił Alastair. – Szukamy zaginionej osoby i potrzebuję opinii specjalisty, żebyśmy mogli pchnąć śledztwo naprzód.

–Rozumiem. – Erie się odprężył. – Podejrzewam, że stare zdjęcie zostało nałożone na pierwotny film. Może wyślę to mojemu koledze i zasięgnę jego opinii?

–Nie. – Alastair specjalnie przywiózł film osobiście. Nie chciał, żeby pojawiły się jakieś kopie. – To jest dowód w śledztwie. Przyszedłem do ciebie, bo wiem, że jesteś jednym z najlepszych fachowców od multimediiów i mam nadzieję, że potrafisz zachować dyskrecję. Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

–Okay. – Erie wyjął minikasetę z odtwarzacza i oddał ją Alastairowi.

Alastair miał nadzieję, że Erie tak właśnie oceni film. Podziękował młodszemu mężczyźnie, schował kasetkę do kieszeni i wyszedł z piwnicy przez boczne drzwi. Gdy był już na zewnątrz, wyjął komórkę, zadzwonił do burmistrza i zdał mu raport.

–To dobre wieści – powiedział McBride. – Zwołam konferencję prasową.

–Nie jest na to za wcześnie?

–A znalazł pan jakiegokolwiek dowody przestępstwa?

–Nie.

–To oszustwo. Myślę, że w tej chwili to już oczywiste. Kristin Blackmoore chciała, żeby ktoś znalazł kamerę i film. Chciała, żeby nagranie wyemitowano w lokalnych i ogólnokrajowych wiadomościach. Możliwe. Bardzo możliwe, zgodził się w duchu Alastair.

Przed oczami stanął mu obraz dziewczynki w przejrzystej nocnej koszuli. Czuł mdłości, był zdezorientowany. Myślał o skórze w swojej zamrażarce. Myślał o Evanie. Przede wszystkim myślał o Evanie.

Erie Fontaine otworzył drzwi kabiny do nagrywania postsynchronów, wyjął z cyfrowego magnetowidu świeżutką kopię filmu, wrócił do konsoly i wsunął taśmę do odtwarzacza. Przejrzał całą, przewinął i spauzował. Zrobił zrzutkę ekranową ujęcia z dziewczynką i zapisał ją w formacie JPG.

Owszem, był dyskretny. Ale czymś takim człowiek po prostu musi się podzielić z najlepszym kumplem i kolegą po fachu. Dołączył obraz do e-maila, napisał krótki liścik i kliknął „Wyślij”.

James pociągnął spory łyk piwa, opuścił butelkę i zerknął na monitor komputera. Właśnie komputer odbierał wiadomość. Coś dużego, bo ściąganie trwało i trwało. W końcu program pocztowy zaczął się otwierać i list się otworzył. Od Erica Fontaine'a.

James przebiegł wzrokiem po tekście, wyłapując co drugie słowo. Erie chciał poznać jego opinię na temat triku na zdjęciu.

Pochylił się i wpatrzył w ekran. Przez sukienkę dziewczynki widać było drzewa. Nie tylko przez sukienkę – przez całą dziewczynkę.

Tandeta.

Ach, ten Erie.

Młodziak wiecznie przysyłał mu jakieś badziewie. Obrazek był całkiem ładny, ale James zaczynał mieć dość udawania, że jest pod wrażeniem.

Czy Erie sam to zrobił?

Pewnie tak. Wcześniej już parę razy wycinał takie numery. Przysyłał mu coś, twierdząc, że zrobił to ktoś inny, w nadziei, że wydobędzie od niego szczerą odpowiedź. Dlaczego nie mógł zapytać wprost?

James jeszcze raz przejrzał list.

Topolowy Las. Okolice Tuoneli.

No tak, Tuonela.

Erie mieszkał w Wisconsin. James był z Kalifornii i miał blade pojęcie o Środkowym Zachodzie. Pod wieloma względami ten region dla niego nie istniał i nie obchodził go. Nic nie mógł na to poradzić. Tak po prostu już było.

Dołączył obrazek do nowego e-maila i zatytułował go „Duch z Topolowego Lasu”. Przejrzał książkę adresową, kliknął grupę zawierającą chyba z tysiąc nazwisk i wysłał obraz do wszystkich osób z listy. Kiedyś przez pomyłkę wysłał rozebrane zdjęcie swojej byłej dziewczyny do trzystu osób. Zdarza się.

Może gdyby nie wypił tylu piw, zdołałby się opanować, ale miał frajdę z dręczenia takich amatorów jak Erie Fontaine. Nie mógł się już doczekać szumu i fali spekulacji, kiedy obrazek obiegnie świat.

Rozdział 41

Graham usłyszał odgłos klucza przekręcanego w zamku. Wyłączył telewizor, rzucił na bok pilota i zerwał się, gdy Alastair wszedł do domu.

–Właśnie widziałem burmistrza w wiadomościach – powiedział dziadkowi. – Mówił, że nie ma dowodów przestępstwa i że podejrzewacie, iż Kristin zaaranżowała swoje zniknięcie. Alastair z westchnieniem rzucił kapelusz na kanapę.

–Miałem nadzieję, że burmistrz wstrzyma się jeszcze z tym oświadczeniem. Jest trochę przedwcześnie.

–Co ty, kurwa, powiesz!

–Nie wyrażaj się.

Graham miał to gdzieś.

–Czy to znaczy, że nikt jej już nie szuka?

–Cały czas jej szukają. Dziadek wydawał się spokojny. Zbyt spokojny, przez co Graham nakręcił się jeszcze bardziej.

–Kto? Ilu ludzi?

–Nie chcemy, żeby ludzie narażali życie, szukając kogoś, kto nawet nie zaginął. Kogoś, kto próbuje wyciąć numer nam i mediom.

–To jakaś bzdura. Czy oni boją się tam pójść? Bo na to mi coraz bardziej wygląda.

–Oczywiście, że się boją. W okolicy zginęły dwie osoby. Nie mamy sprawcy. Nie wiemy nawet, czy jest nim człowiek, czy zwierzę. To nie jest zwykła sprawa zaginięcia. Nie możemy pozwolić, żeby niewinni ludzie bez odpowiedniego przeszkolenia i doświadczenia w tropieniu błąkali się po terenie działania mordercy. To by było

nieodpowiedzialne.

–Ale Kristin może tam być. Na pewno tam jest.

–Nie wiesz tego.

–A ty nie wiesz, że jej tam nie ma.

Myślenie dziadka wydawało się zupełnie pozbawione logiki? Graham przyjrzał się mu uważnie, próbując wyczytać coś z jego twarzy.

–A ty się boisz? Tak. Coś jakby niepokój – a nawet poczucie winy – przemknęło po twarzy Alastaira.

–Nie boisz się?

–Wszyscy się boją – odparł Alastair. – Ale to nie powstrzymałoby mnie od poszukiwań, gdyby ktoś rzeczywiście zaginął i potrzebował pomocy. Mam nadzieję, że nie masz o mnie aż tak złego zdania.

–Zniknęła dwa dni temu.

–Graham, naprawdę uważam, że jej tam nie ma. Będziemy szukać dalej, dopóki nie zyskamy pewności, że jest inaczej, ale nie chcemy, żeby całe miasto włóczyło się po tych lasach. Rano wznowimy poszukiwania. Nie możemy jej szukać w nocy. Może oni nie mogli, ale Graham znał kogoś, kto mógł. Złapał kluczyki do samochodu i ruszył do drzwi. – Dokąd idziesz? – Donikąd. Muszę się przewietrzyć.

–Nie chcę, żebyś więcej opuszczał szkołę. To ważny rok.

Jak mógł myśleć o tym w takiej chwili? Poza tym college był marzeniem ściętej głowy. Graham wiedział, że się stąd nie wydostanie. Utknął w Tuoneli na zawsze, razem z całą resztą.

Robiło się zimno. Wziął kurtkę.

Jak długo może przeżyć człowiek w temperaturze bliskiej zera? Czy Kristin miała na sobie ciepłe ciuchy? Pewnie nie. Nie robiła wrażenia osoby, która planuje z wyprzedzeniem. Była spontaniczna,

nie miała w sobie ani krzty rozwagi.

–Wróć niedługo.

Nie cierpiał okłamywać dziadka, ale kłamstwo stało się jego sposobem na przetrwanie, kiedy jeszcze żyła matka. Było naturalne jak oddychanie. Człowiek robi to, co musi.

Przez chwilę myślał, że Alastair powstrzyma go siłą. Dziadek zrobił krok w jego stronę. Graham drgnął i zasłonił się ręką.

Ten ruch też trenował już od ładnych paru lat.

Alastair nie uderzył go ani nie złapał. Nagle zrobił się strasznie smutny i stary.

Graham nie czuł się związany z dziadkiem tak mocno jak z Evanem, i to mimo dziwactwa ojca i jego nowego, niepokojącego wcielenia. Może kiedyś i z Alastairem poczuje podobną więź. Choć jeśli dalej będzie go okłamywał, szanse na to spadną do zera.

–Dziesiąta – powiedział Alastair. – Wróć przed dziesiątą.

Graham widział, że Alastair po prostu płynie z prądem.

Udaje, jak wszyscy w Tuoneli, że życie toczy się normalnie. Gadki w stylu „wróć przed dziesiątą” nie pasowały do tego świata. Świata oskórowanych trupów, szalonych matek i ojców. Tuonela była skazana na istnienie w cieniu przeszłości, chociaż całe miasto próbowało udawać, że te wszystkie złe rzeczy się nie wydarzyły, że w rzeczywistości to tylko głupia, karnawałowa błazenada. Czy mieszkańcy kiedykolwiek przyznają, jak jest naprawdę?

–Wróć przed dziesiątą.

Wyszedł i wszedł do samochodu ojca, który już mu zwrócono. Mało benzyny. A on był splukany. Sporą część wypłaty wydał na taśmy dla Kristin.

Czy naprawdę to zrobiła? Sfingowała własne zniknięcie, żeby

narobić szumu w mediach? Musiał przyznać, że pomysł nie był zły.

Piętnaście minut później zaparkował pod domem Manchestera.

Wysiadł z samochodu i zatrzymał się na początku wąskiej ścieżki, prowadzącej do Starej Tuoneli.

Czyjego ojciec był tam i kopał jak opętany? Graham postanowił najpierw sprawdzić w domu. Poszedł do kuchennych drzwi.

Nie widział Evana od czasu akcji z dziecięcą trumną. Przykre wspomnienie sprawiło, że nagle opadły go wątpliwości. Czy dobrze zrobił, że tu przyjechał? A może to był zły pomysł. Tych miał zawsze całe mnóstwo.

Wcisnął włącznik i kuchnię zalało słabe czerwone światło.

–Evan? – krzyknął w głąb domu. – Evan!

Usłyszał łomot – jakby ktoś potknął się i ledwie utrzymał równowagę – a potem ciężkie kroki dobiegające gdzieś spod podłogi.

Graham nigdy nie był w piwnicy. Raz otworzył drzwi i zajrzał, ale cuchnęło pleśnią i starością. A on nie palił się do spotkania ani z jednym, ani z drugim.

U szczytu schodów ukazał się Evan. W dłoniach trzymał oblepiony błotem pałasz, który oparł w kąt przy drzwiach do piwnicy. Zatrzymał się i zamrugał jak sowa w słabym świetle. Potem podszedł szybko do Grahama i chwycił go za ramiona.

–Hej, cieszę się, że cię widzę. Graham był przerażony wyglądem ojca. Nie powinien był zostawiać go tu samego.

–Schudłeś jeszcze bardziej – powiedział Graham. – Jesz coś? Evan puścił syna, zbywając jego słowa machnięciem ręki. Był brudny i nieogolony. Jego włosy wyglądały, jakby nie mył ich od tygodni. Miał przekrwione oczy.

–Co tutaj robisz? – zapytał. – Myślałem, że mieszkasz u dziadka.

Graham zastanawiał się, czy w ogóle wspominać o Kristin. Było oczywiste, że Evan jest zbyt słaby fizycznie, by pomóc w poszukiwaniach.

–Co się stało? – zapytał Evan. Graham widział, że myśli ojca wybiegają naprzód. Dostrzegł w jego oczach panikę.

–Czy z Rachel wszystko w porządku?

–Rachel ma się dobrze. A przynajmniej tak mi się wydaje.

–A dziadek?

–Nic mu nie jest.

–Ale coś jest nie tak. Przecież widzę.

–Tak... Moja koleżanka ma kłopoty.

–Jakiego rodzaju kłopoty?

–Zaginęła albo, jak wolą myśleć gliny, rozpułyła się w powietrzu.

Evan natychmiast oprzytomniał. Teraz bardziej przypominał dawnego siebie.

–Gdzie?

–W Topolowym Lesie.

–To twoja znajoma? – Evan zmarszczył brwi. – Zdawało mi się, że jest z Minneapolis. Policjanci byli tutaj i pytali mnie, czy czegoś nie widziałem. Oczywiście, jak zawsze, jestem pierwszym podejrzanym. – Zwykle stwierdzenie faktu.

–Poznałem ją w muzeum.

Evan kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Zdarza się”. Dziewczyny zdarzają się w życiu faceta.

Przez chwilę Graham myślał, że Evan i Rachel też się „zdarzą”. Ale widocznie się mylił, a teraz Rachel spodziewała się dziecka.

–Nie znaleziono śladów przestępstwa – powiedział Graham.

–Tylko kamerę, zgadza się?

–Tak. Niektórzy uważają, że to oszustwo. Numer dla autoreklamy.

–Ty nie? Graham pokręcił głową.

–Nie znam jej zbyt dobrze, ale wątpię, by zrobiła coś takiego. – Pomyślał o dniu, kiedy Kristin o mało nie ukradła kaset. O to też jej nie podejrzewał. – Wydaje mi się, że niespecjalnie starają się ją odnaleźć. A na dworze jest naprawdę zimno. No i były te morderstwa. Dwie osoby obdarte ze skóry.

Evan już działał. Otwierał szuflady, gromadził potrzebne rzeczy, jak latarki, plecak, koce. Wydawał się wyższy i silniejszy. Dawny Evan. I nie.

Bo dawny Evan miał w sobie dwóch różnych ludzi: pierwszy był spokojnym pisarzem odludkiem, a drugi... kimś pełnym siły, dynamicznym, przytłaczająco pełnym życia.

Graham miał mieszane uczucia. Cieszył się, że ktoś coś robi, a jednocześnie zastanawiał się, czy Evan jest odpowiednią osobą do tego zadania. Evan Stroud w żadnym ze swoich wcieleń nie budził szczególnego zaufania. Graham ruszył do drzwi.

–Ty zostajesz – rzucił władczo Evan.

Co? Teraz zachciało mu się bawić w tatuśka?

–To może trwać wiele godzin. – Popatrzył spokojnie na Grahama.
– I nie wiadomo, co znajdziemy.

Obdarte ze skóry ciało. To miał na myśli.

–Mam to gdzieś. Chcę iść. Jeśli ją znajdziesz, jeśli jeszcze żyje, to... – Urwał. Evan się uśmiechnął. Graham nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział jego uśmiech.

–Nie będzie dobrze, jeśli zobaczy nad sobą wampira?

–Mniej więcej. Znajoma twarz też nie zaszkodzi.

–Musisz się cieplej ubrać. Graham odwrócił się i pognął po

schodach.

–Rękawiczki! Czapka! – krzyknął za nim Evan.

Chociaż Graham nadal niepokoił się o Kristin, poczuł nagle dziwne podniecenie, wywołane zaskakująco przytomnym zachowaniem ojca oraz faktem, że robią razem coś tak ogromnie ważnego. Ojciec i syn. Starał się tłumić te samolubne emocje, ale bez skutku. Czyżby był uzależniony od adrenaliny? Słyszał o ludziach, którzy po przeżyciu jakiegoś traumatycznego wydarzenia nie byli w stanie prowadzić normalnego życia. Zaczynali robić ryzykowne rzeczy, byle tylko znowu doświadczyć odlotu. Evan czekał na dole.

–A ty nie zakładasz czapki i rękawiczek? – zapytał Graham, poirytowany, że ojciec kazał mu się ciepło ubrać, a sam tego nie zrobił.

–Ja nie marznę tak łatwo. Wyszli z domu.

Jeśli nie liczyć biegania wokół szkolnego boiska, Graham nie był przyzwyczajony do wysiłku fizycznego. Za to Evan, mimo utraty wagi i sińców pod oczami, zdawał się czerpać siłę z jakiegoś tajemniczego źródła energii. Poszli ścieżką prosto do lasu, w którym doszło do pierwszego morderstwa. Zatoczyli koło, po czym zatrzymali się pośrodku gęstwiny drzew. Cisza. Bezruch. Evan zlustrował całą okolicę.

–Tu jej nie ma.

Ruszyli z powrotem w stronę domu Manchesterera i Starej Tuoneli. Graham spojrzął na zegarek. Minęła pierwsza.

–Jesteś pewien, że nie chcesz poczekać w środku? – zapytał Evan, kiedy wrócili do punktu wyjścia.

Graham był wykończony. Stopy i palce dłoni miał lodowate. Coś musnęło jego policzek i dopiero po chwili zorientował się, że to śnieg.

Z nieba spadło ledwie kilka rzadkich płatków. Pokręcił głową.

–Nie. Idę z tobą.

Przeszli przez bramę i ruszyli wąską ścieżką w kierunku Starej Tuoneli. Serce zaczęło łomotać Grahamowi w piersi, ale Evan był na swoim terenie i parł naprzód, jak gdyby nigdy nic.

Latarka celowo była słaba i Graham potykał się, pędząc za nim, zdecydowany za wszelką cenę dotrzymać mu kroku. Szli. W górę i w dół, po wzgórzach. Przez strumienie, torując sobie drogę wśród gęstych, splątanych pnączy. Graham stracił poczucie czasu i kierunku. Zaczynał myśleć, że Evan miał rację – powinien zostać w domu. Jego nogi były coraz słabsze i cały się trząsł z zimna i wyczerpania. Jeszcze godzina i nie da rady wrócić do domu o własnych siłach.

W poszukiwaniach Evana nie było żadnej metody.

Graham oglądał czasem w telewizji programy o ekipach poszukiwawczych. Wiedział, że zawsze działają metodycznie. To, co robił jego ojciec, było kompletnie przypadkowe. Nie mieli planu ani wyraźnego celu poza tym, by iść przed siebie i nie ustawać.

Całonocne wyprawy Evana, podczas których kopał, jak się zdawało, bez celu, chyba tylko po to, żeby się ruszać, sprawiły, że Graham zaczął się zastanawiać, czy ojciec nie cierpi czasem na psychozę maniakalno-depresyjną. Teraz znowu zadał sobie to pytanie. Czy ten nagły przypływ skoncentrowanej energii wynikał z faktu, że znalazło się kolejne przedsięwzięcie, któremu Evan mógł się bez reszty oddać?

Graham odpędził te myśli, by skoncentrować się na rzeczywistości. Był potwornie zmęczony i uszy zaczynały mu robić psikusy.

Szepty. Nieustanny szum, który brzmiał jak tysiąc głosów. Jak dalekie rozmowy albo gwar na zatłoczonej stacji kolejowej lub w

teatrze, gdzie człowiek nie zdaje sobie sprawy z hałasu, dopóki ten nie ucichnie.

Sz, sz, sz.

Musiał iść do domu. Odpocząć. Rozgrzać się. Przespać. Czy miał w życiu choć jeden dobry pomysł? Może od tej pory, zamiast wcielać swoje pomysły w życie w oryginalnym kształcie, powinien 189 postępować dokładnie odwrotnie. Robić na opak. Może lepiej by na tym wyszedł.

Otworzył usta, by powiedzieć, że powinni wracać, kiedy Evan stanął jak wryty i położył dłoń na jego piersi.

Rozumiejąc milczący nakaz ojca, Graham zatrzymał się i wpatrzył w miejsce oświetlone latarką.

Plama koloru pośród szarego otoczenia.

Materiał.

Ubranie.

Rozdział 42

Pobiegli w stronę kolorowej plamy. Evan prowadził, poruszając się pewnie naprzód. Graham truchtał za nim na słabych nogach – tym razem miękkich ze strachu przed tym, co znajdują.

Chciał zawołać Kristin po imieniu, ale głos uwiązł mu w gardle.

Evan dopadł do niej pierwszy. Graham trzymał się z tyłu, nie potrafiąc się zmusić, by podejść bliżej.

I nagle usłyszał słowa ojca: – Żyje.

Wydął z siebie dziwaczny, zdławiony szloch i podbiegł do Evana, padając na kolana u jego boku.

Po głowie tłukło mu się pytanie: jakim cudem Evan ją znalazł, skoro nie udało się to ekipom poszukiwawczym. Czyżby kierował się jakąś pierwotną intuicją? Wydawał się podpięty do sieci informacyjnej, której cała reszta z nich nie widziała i nie czuła. A może wyjaśnienie było bardziej złowieszcze? Może wiedział, bo był zamieszany w jej zniknięcie?

Graham odsunął od siebie te myśli. Kristin była tutaj. Znaleźli ją. Żywą.

Spojrzał na nią i aż się cofnął.

Martwą.

Była martwa.

I nagle bardzo powoli obróciła głowę.

–Co się stało z jej oczami?

Wyglądały niesamowicie. Była w nich pustka. Kompletna pustka.

–Zwolnione tętno. Płytki oddech – powiedział Evan. – Wpadła w hipotermię.

Graham miał wrażenie, że patrzy na zwłoki, które jakimś cudem jeszcze się poruszają. W oczach Kristin nie było nawet iskry przytomności. Skóra na jej policzkach wyglądała jak żyłkowany marmur. Usta były niebieskie.

–Nie trzęsie się. To chyba dobrze?

–Dreszcze już dawno jej przeszły. Musimy ją zabrać do szpitala, żeby mogli podnieść jej temperaturę.

Graham wyciągnął koc i owinęli ją w niego. Jak mogło jej to pomóc?

–Ona jest zamarznęta. Dosłownie na kość.

–Hipotermia spowodowała skurcz mięśni. Dasz radę znaleźć drogę do domu? Trzeba wezwać karetkę.

–Nie. – Był beznadziejny. – Ale mogę spróbować.

–Nie chcę, żebyś ty też się zgubił.

–Jak to daleko? – Graham spojrział na zegarek. Czwarta trzydzieści.

–Przynajmniej trzy kilometry. – Evan podał mu swoją latarkę, po czym ukląkł i podniósł Kristin – a raczej jej ciało, bo Graham jakoś nie potrafił myśleć o tym czymś jak o osobie. Ruszył pierwszy. Evan szedł za nim, udzielając mu wskazówek.

Kristin nie była drobną dziewczyną. Nie mogła być lekka, nawet jeśli mocno schudła. A jednak Evan, choć wyniszczony, nie miał najmniejszego problemu z dźwiganiem jej.

Sz, sz, sz.

–Nie patrz na nich – polecił Evan. – Nie podnoś głowy i idź naprzód.

O czym on mówił? Graham uniósł wzrok.

W ciemności widział ciemniejsze zarysy pni drzew na tle szarych

chmur, które odbijały światło z ziemi. Drzewa przypomniały mu sylwetki z kartonu, które robił w podstawówce. I nagle dostrzegł, że gałęzie poruszają się i zmieniają, od pni odrywają się cienie, ulatując w powietrze.

Graham stanął i zamrugał.

–Idź – rozkazał Evan.

–Co to jest?

–Nic. Po prostu idź.

Ale Graham wiedział.

Zmarli z Tuoneli.

–Chryste – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Ludzie mówili, że widzieli dziwne cienie i sylwetki w mieście, a woźny z muzeum twierdził, że Nieśmiertelny się poruszył.

–Wydostali się, tak?

–Nie mogą ci zrobić krzywdy. Nie zatrzymuj się.

Właśnie że mogli mu zrobić krzywdę. Medium mówiło, że szukają ciała do zamieszkania. Miało rację we wszystkim. To pewnie jedna z tych zjaw obdarła ze skóry Claire i tamtą drugą kobietę. A może nawet zwabiła Głorię Raymond do rzeki.

–Dlaczego nie wzięli Kristin?

Byli coraz bliżej. Nie widział ich, ale czuł.

Powietrze przed nim się zmieniło. Stało się ciężkie i gęste, a potem cofnęło się, jakby wessane przez coś. Graham próbował zaczerpnąć tchu, ale bez powodzenia. Nie miał czym oddychać.

Panika.

Evan stanął u jego boku.

Cienie cofnęły się, powietrze wróciło. Graham zachłysnął się nim i padł na kolana, chwytając głębokie hausty.

Cokolwiek tam było, bało się Evana. Witam w klubie.

Rozdział 43

Sposób na wyciągnięcie mojego życia z szamba to śmierć. Oto wielka tajemnica, którą nareszcie odkryłam.

Teraz, kiedy już poznałam odpowiedź, nie mogłam uwierzyć, że przez tyle lat mi umykała. A przecież przez cały czas miałam ją tuż przed nosem. Wszyscy mamy ją tuż przed nosem.

Według niektórych religii śmierć jest prawdziwym sensem życia, ale ja nie o tym mówię.

Umieranie jest przyjemne. A w każdym razie takie umieranie. Nikt tego nie wie. Pewnie gdyby sekret wyszedł na jaw, ludzie skakaliby z mostów, krzycząc „Juhuu!”

To genialne uczucie. Najlepszy odlot, jakiego doświadczyłam. Przyznam się, że kiedyś spróbowałam heroiny.

Spodobało mi się tak bardzo, że się przeraziłam i już nigdy więcej tego nie zrobiłam. Ale to jest lepsze. Kto by pomyślał, że śmierć jest jak heroina, tylko lepsza?

To, jak cię obejmuje. To, jak likwiduje ból, żal i smutek. Uwalnia od pragnień. Nagle było mi obojętne, czy zrobię najlepszy film dokumentalny świata, czy najgorszy.

Miałam to gdzieś.

Na tym właśnie polega ten odlot. Na kompletnym wyzwoleniu. Porzuceniu trosk.

To piękne, zdumiewające i cudowne uczucie. Ten spokój.

Nareszcie byłam pogodzona ze światem i ze sobą. Już siebie nie nienawidziłam. Już nie byłam sobą rozczarowana.

Przeżyłam życie najlepiej, jak umiałam, i już.

–Powiedziała coś? – zapytał cicho chłopak.

Jego głos dobiegał z ciemności. Przemieszczamy się. Idziemy dokądś. Jak mu na imię? Graham. Właśnie. Miły chłopak. Ale jestem już poza nim i poza jego światem.

–Nie – odparł ojciec.

To chyba oni. Tak, to na pewno oni. Szepczą dookoła.

Sz, sz, sz.

Otwieram oczy i widzę, że mnie obserwują. Czy naprawdę nie żyję? Czy trafiłam do piekła? Bo mogę przysiąc, że niesie mnie przez las wampir znany jako Evan Stroud. A nawet jeśli, to co z tego?

Trudno uwierzyć, że się go bałam. Teraz wydaje się... Cóż, wydaje się jednym z nich. Jednym z cieni, które patrzą na mnie i szepczą. Czekaają na mnie.

Nie żyjesz, szepcze jeden z nich. Reszta przyłącza się i zaczyna skandować: Nie żyjesz. Nie żyjesz.

Dlaczego to mówią? Nie przekroczyłam jeszcze progu. Wciąż wiąże mnie ciężar mojego ciała, więzi powłoka skóry.

Skóra to największy organ. Jesteś martwa już od dawna. Od tamtego dnia, kiedy wpadłaś pod lód.

Nie.

Heroinowa mgła zaczęła się podnosić. Nie spodobało mi się to, co zobaczyłam.

Otworzyłam usta.

–Rzeczywiście, coś powiedziała.

Graham obrócił się i pochylił nade mną.

–Co mówisz?

–Czy... ja... jestem... umarłam? – Mój głos przypominał dziwaczne krakanie. Najwyraźniej od dawna nie mówiłam.

–Nie! – Wydawał się rozzłoszczony. Nie złość się, kolego.

–A ty jesteś martwy? – zapytałam. Bo przecież byłam w krainie zmarłych, zgadza się?

–Nie! – Wściekł się jeszcze bardziej.

–Ale oni są. – Uniosłam w górę palec. – I on, prawie na pewno. – Wycelowałam palec w Evana Strouda. – Więc pomyślałam, że ja też.

Graham wydał dziwny dźwięk. Coś jak szloch przerażenia. Słaby skowyt, jaki wydają ludzie, kiedy wiedzą, że sprawy z pewnością mają się źle.

–Nie przejmuj się. Nie mam nic przeciwko byciu martwą – powiedziałam. – Naprawdę.

–Ona majaczy – powiedział wampir do chłopaka.

Czy oni nie rozumieli? Wcale nie majaczyłam. Wręcz przeciwnie. Nareszcie wyzbyłam się złudzeń, przestałam się oszukiwać. Mój umysł był jasny i wejrzałam w prawdę o wszechświecie, do której nigdy przedtem nawet się nie zbliżyłam.

Szliśmy pod wirującym niebem, odprowadzani szeptem głosów, aż dotarliśmy do domu Manchestera.

Wszystko mi się płatało i co chwila traciłam przytomność. Zdaje się, że Graham zadzwonił po karetkę, ale był jakiś problem. Nikt nie chciał przyjechać. Może się bali. Może nie było wolnej karetki. Tak czy inaczej, Graham i jego ojciec sprzeczali się przez chwilę.

Gdy się znowu ocknęłam, trzęsło nas na jakiejś drodze. Jak przez mgłę kojarzyłam, że leżę na tylnym siedzeniu, że ktoś trzyma mnie przy piersi. Obejmuje ramionami, tuli do siebie.

Nie mogłam otworzyć powiek, były jak z łożowiu. Kiedy w końcu udało mi się je uchylić, nie mogłam złapać ostrości.

–Mam jej rozetrzeć ręce? Są zimne jak lód.

Tak, to był Graham. Tulił mnie jak dziecko.

–Nie, może mieć odmrożenia. Lepiej nie dotykać jej dłoni i stóp.

Podskoczyliśmy na kolejnej muldzie.

–Pieprzone wsiove pogotowie – mamrotał pod nosem ojciec. – Do czego się nadają, jeśli trzeba na nich czekać godzinę? To już pizzę dowożą szybciej.

Jadał pizzę? Wampir? Zachciało mi się śmiać.

I nagle zaczęłam się zsuwać. W głąb czarnej dziury bez dna. W dół, w dół, w dół, gdzie czekali zmarli. Ile razy można umrzeć?

Tylko raz, odpowiedziały głosy.

Może powinnam zapytać inaczej. Ile razy można zmartwychwstać?

Zabrali ją do Centrum Medycznego w Tuoneli. Evan podjechał pod wejście na urazówkę. Ciemne okulary chroniły jego oczy przed światłem ulicznych latarni.

–Przepraszam, nie mogę wysiąść z samochodu.

–Poradzę sobie. – Graham żałował, że Evan nie może z nim iść, ale zaczynało się przejaśniać. Musiał się stąd zmywać. Z drzwi szpitala wypadła trójka ludzi w kitlach. Położyli Kristin na wózku, ale nie mogli wyprostować jej rąk i nóg.

–Biegiem – powiedziała jedna z pielęgniarek. Wwieźli ją po rampie. Graham pobiegł za nimi, a Evan odjechał. Podłączyli jej kroplówkę.

–Pan jest z rodziny? – zapytał ktoś.

–Nie.

–W takim razie musi pan zostać w poczekalni.

Graham nie protestował. Wcale nie był pewien, czy chciałby towarzyszyć Kristin.

Krzesła w poczekalni były twarde, a sufit niski. Graham przeszedł

się korytarzem i wyrzał przez wielkie okno. Wschodziło słońce. Widział centrum Tuoneli i łuskę światła na rzece. Jego serce wezbrało i zrozumiał, że dla niego jest już za późno. Może kiedyś stąd wyjedzie, ale i tak w końcu wróci.

W oczach miał piach, a w żołądku czuł dziwne ssanie, jak zawsze, kiedy długo nie spał. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak wygląda. Jego buty były zabłocone, a wełniana kurtka oblepiona rzepami i gałązkami. Sięgnął do głowy i wyciągnął z włosów kilka liści. Wrócił do poczekalni, usiadł i zasnął.

–Graham?

Odwrócił się i zobaczył stojącą nad nim pielęgniarkę. Zerwał się z krzesła. Czyżby Kristin umarła?

–Twoja przyjaciółka chciałyby się z tobą zobaczyć.

Prawie biegł.

Kristin leżała w boksie na urazówce, za niebieskim parawanem. Wyglądała na zmęczoną, ale oczy miała przytomne. Zaczęła skubać koc.

–Wygląda na to, że przeżyję.

Graham zagapił się na wenflon wetknięty w grzbiet jej dłoni.

–To chyba dobrze – dodała. Ale wydawała się smutna, że jednak nie umarła.

–Co tam się stało?

Widział, że próbuje sobie przypomnieć. Zmarszczyła w skupieniu brwi.

–Chciałam nakręcić trochę zdjęć w lesie... Chodziłam z kamerą i zobaczyłam coś. Przestraszyłam się i uciekłam. Potem się zgubiłam.

–Co zobaczyłaś? Pokręciła głową.

–Nie wiem. – Spojrzała na niego. – Nie pamiętam. Nagle

przeniosła spojrzenie na lewo od niego. Odwrócił się, spodziewając się, że zobaczy kogoś za plecami. Nikogo nie było.

Kiedy znowu się odwrócił, wciąż gapiła się w to samo miejsce. Zrozumiał, że widziała coś, czego on nie dostrzegał. Zmarłych, których wypuścił Evan. Zmarłych, którzy szeptali w ciemności.

Rozdział 44

W swoim gabinecie w kostnicy Rachel sprawdziła pocztę. Nad miastem przechodził front atmosferyczny. Cały budynek aż jęczał od wiatru.

Znajomy z Kalifornii przysłał jej JPEG-a. Tytuł e-maila brzmiał: „Wygląda znajomo?” Przewinęła wiadomość. Zdjęcie.

Natychmiast rozpoznała. Topolowy Las. W rogu fotografii widać było sam tył jej furgonetki z literami KOR. Ona też była na fotce.

Wróciło wspomnienie ciężkiego powietrza tamtego dnia, wspomnienie jego zapachu. Przypomniała sobie muśnięcie na ramieniu. Odwróciła wtedy głowę, spodziewając się kogoś zobaczyć.

Nic.

Teraz patrzyła na jasnowłose dziecko w koszuli nocnej. Stało na prawo od niej, kilka kroków z tyłu. Poczowała, że tonie. Że grzęźnie w czymś, o czym absolutnie nie chciała wiedzieć.

Odrętwiała, przeczytała treść e-maila. „Znalazłem to przypadkiem w Internecie. Pomyślałem, że Cię zainteresuje albo że się przynajmniej uśmiejesz. Mam nadzieję, że w strasznej Tuoneli wszystko dobrze. Wróć do Kalifornii, gdzie twoje miejsce. Całusy, Zak”.

Który świat był rzeczywisty? Kalifornia czy Tuonela? Nawet jeśli Tuonela nie istniała dla świata zewnętrznego, dla Rachel była prawdziwa.

Jeszcze raz spojrzała na obrazek. Mała jasnowłosa dziewczynka.

Włożyła arkusz papieru fotograficznego do drukarki i kliknęła „Drukuj”. Gdy obrazek się drukował, przeszła przez gabinet do

ognioodpornej szafki na akta. Otworzyła szufladę i wyciągnęła pamiętnik, który przyniósł jej Evan.

Schowała go tu tamtego wieczoru i nie wyjmowała aż do tej chwili.

Otworzyła zeszyt na stronie ze zdjęciem, wsuniętym tam przez kobietę, która nie żyła od stu lat.

Mała jasnowłosa dziewczynka.

Drukarka się wyłączyła.

Rachel chwyciła oba zdjęcia i porównała je.

To samo dziecko.

Odwróciła starą fotografię. „Nasze małe kochanie, Sarah”.

Przycisnęła dłoń do ust.

Boże święty.

Co to znaczy?

Jaki wniosek mogła wyciągnąć logicznie myśląca osoba? Absolwentka akademii medycznej? Patolog sądowy?

Komputerowy obrazek był oszustwem. Montażem zrobionym w Photoshopie.

Nie. Czas zaprzeczania się skończył. Zbyt długo wypierała prawdę. Cała Tuonela wypierała prawdę.

Dlaczego Evan to zrobił? Dlaczego uparł się, żeby tam kopać? To ta ziemia. Wszystko przez tę ziemię. Czy naprawdę tego nie widział? Nie rozumiał?

A może to nie była jego wina. Przez cały czas Rachel obwinała Evana, ale może on nie miał kontroli nad własnymi czynami. Może zamiast go unikać, powinna mu pomagać.

Położyła dłoń na brzuchu.

Ile razy w ciągu ostatnich miesięcy wykonywała ten obronny gest? Instynkt macierzyński zaczął u niej działać już dawno temu.

Tłumaczyła sobie, że nie opuściła Evana, tylko chroniła dziecko. Matki robią to, co konieczne. Rodzice robią to, co konieczne.

Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie.

Sarah. Córka Victorii.

Zamordowana przez Richarda Manchestera, Nieśmiertelnego.

Przypomniały jej się słowa medium o zagubionych duszach, szukających ciał, w których mogłyby mieszkać.

Czy Sarah utknęła między dwoma światami – żywych i zmarłych? Czy, zdezorientowana, szukała ludzkiej formy?

Czy to ona obdarła ze skóry te dwie kobiety?

To nie może być prawda. To niemożliwe.

Cokolwiek się działo, Evan był w to w jakiś sposób zamieszany. Nawet jeśli o tym nie wiedział.

Zamknęła pamiętnik z powrotem w sejfie, włożyła kurtkę i pospiesznie ruszyła do dostawczych drzwi kostnicy.

Przekręciła gałkę, wysuwając języczek zamka z futryny. Nagły podmuch wiatru wyrwał jej drzwi z ręki i uderzył nimi o ścianę. Aż podskoczyła. Pobliskie drzewo zatrzeszczało i zgięło się. Druty linii elektrycznych strzelały na tle nieba.

Temperatura mocno spadła, od kiedy Rachel była ostatnio na dworze. Spojrzała na zegarek – wychodziła ledwie godzinę temu.

Odkąd pamiętała, żyła w ciągłym napięciu. W wiecznym niepokoju, który przypisywała swojej potrzebie wyrwania się stąd. Jej wewnętrzny system ostrzegawczy był cały czas aktywny. A jeśli sygnał nie pochodził z zewnątrz? Jeśli to coś z zewnątrz próbowało ją ostrzec? I ani ona, ani nikt inny nie zwracał na te ostrzeżenia uwagi, bo wszyscy byli przyzwyczajeni do skutecznego ich zagłuszenia?

Włosy smagały ją po policzkach, gdy zwróciła twarz na północny

zachód. Dzieliły je budynki, drogi, wzgórza i urwiska, ale Rachel czuła ją tam.

Starą Tuonełę. Jest taka silna.

Dlaczego wcześniej nie zauważyła jej rosnącej siły? Gdzie zaczyna się wiatr?

Tam. W Starej Tuoneli. Na ziemi nietkniętej przez lodowiec, za równinami i wzgórzami, za rozpadlinami i drogami, które zapętlają się w sobie. Wiatr zaczyna się w Starej Tuoneli.

Evan.

Z trudem zamknęła za sobą drzwi. Zatrzasnęła je i przekręciła klucz.

Wyszła spod osłony budynku. Siła wiatru zaparła jej dech i pchnęła ją w bok. Niebo nad nią miało kolor granitu, ale chmury poniżej poruszały się szybko, kłębiąc się i ścigając bez żadnego porządku czy sensu. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego.

Liście wirowały i szybowały w niebo, inne maszerowały ulicami jak zastępy żołnierzy wezwanych do służby.

Wsiadła do furgonetki, zapaliła silnik i ruszyła na północ, do Evana. Ku ziemi zmarłych.

Rozdział 45

Istnieje wiele bram między światem żywych a światem zmarłych. Jednym z nich są sny. Richard Manchester wykorzystywał je, by podczas ciemnych, samotnych godzin przed świtem odwiedzać Gabriellę Nelson.

Wiatr dął na południe od Starej Tuoneli. Wirując, podążał za biegiem rzeki i ruchem gałęzi, wyciągających się w stronę nowego miasta, wskazujących kierunek.

Tedy droga. Tam mieszka życie Tam odszedł nasz smutek i nasze dzieci, i tam musimy pójść za nimi.

Nie da się zerwać więzów między pokoleniami, podobnie jak nie istnieje nic takiego jak nowy początek. Dla zmarłych czas nie znaczy nic, a stuletni sen jest zaledwie westchnieniem.

Sny Gabrielli były bardziej realne niż życie i budząc się każdego ranka, myślała, że Manchester wciąż jest z nią.

Sięgała ku niemu i znajdowała miejsce obok siebie wystygłe i puste. Poczucie straty przynosiło smutek, który wciągał ją jak bagno i trzymał w otchłani z taką siłą, że od wielu dni nawet kęs pożywienia nie przeszedł jej przez gardło.

Ale noc sprowadzała go z powrotem.

Gdy spała, Manchester trzymał ją w ramionach, muskał wargami jej szyję i szeptał do ucha. Mówił jej różne rzeczy.

Nigdy nie czuła się tak pożądana i kochana.

Pragnęła go jak powietrza. Każda myśl w godzinach czuwania obracała się wokół niego.

Przestała odbierać telefony. Ignorowała pukanie do drzwi. Odcięła

się od świata.

Nie istniał dla niej nikt inny. Nie liczył się nikt inny.

Całe dni spędzała w muzeum. Och, próbowała być dyskretna, ale kiedy ktoś całymi godzinami sterczy przy mumii, ludzie to zauważają. Zaczęła się więc kamuflować. I starała się nie zostawać zbyt długo. Starała się, by nikt nie widział, jak przyciska twarz do szklanej gabloty.

Richard powiedział jej, co musi zrobić, żeby już zawsze mogli być razem.

Plan był bardzo prosty...

Muzeum było zamknięte, kiedy zajechała na parking. Wcześniej zadzwoniła do swojego siostrzeńca i wyjaśniła, że zamierza rzucić czar uwięzienia, by Nieśmiertelny nie mógł więcej chodzić po muzeum.

Matthew zgodził się sprawić jej tę przyjemność.

Dwa tygodnie temu pomyślałaby, że kochany z niego chłopak. Teraz widziała w nim tylko środek do osiągnięcia celu. Nie znaczył dla niej nic.

Wiał wściekły, północny wiatr. Matthew wyszedł po nią do tylnych drzwi i wpuścił do muzeum. Śmierdział trawką i miał przekrwione oczy.

–Myślisz, że to zadziała? – zapytał z głupim uśmiechem.

–Na pewno nie zaszkodzi. – Ton jej głosu był idealny. Odrobinę drwiący, ale poważny. Matthew skinął głową.

–Tak też sobie powiedziałem. Co to komu szkodzi? Ale gablota jest zamknięta na porządny zamek. Nie wydaje mi się, żeby Nieśmiertelny się gdzieś wybierał.

–Muszę to zrobić sama. Wytrzeszczył na nią oczy.

–Chcesz tam pójść sama?

–Masz coś przeciwko temu?

–Nie, ale... Rany. Okay.

Gdyby się sprzeciwiła, była przygotowana. Zabiłaby go nożem schowanym w kieszeni płaszczka. Nie miałyby wyjścia. Tak kazano jej zrobić.

Gdy znalazła się w suterenie, otworzyła gablotę. I choć pewnie nie było to konieczne, wyjęła cementarną ziemię i szybko rzuciła czar. Potem czekała, patrząc, jak Richard Manchester powoli powraca do życia.

Nie była pewna, jak długo to trwało. Czas jest dziwny. Czasami płynie jak we śnie, gdzie kilka sekund wydaje się kilkoma godzinami. Czy powinna coś powiedzieć? A musiała? Po tylu wspólnych nocach?

Ruszył ku niej. Przyszedł prosto do niej. Kiedy spojrzała mu w oczy, nie zobaczyła nic. Nawet źrenic, tylko czarne dziury, o których wiedziała, że sięgają w głąb jego ciała i dalej, niczym korytarz do świata, którego jeszcze nie rozumiała.

–Jestem tutaj – szepnęła. – Przyszłam po ciebie.

Czekała, by odpowiedział, by się odezwał, by objął ją tak, jak to robił w snach. Ale on chwycił ją, poderżnął gardło jej własnym nożem i zaczął pić jej krew.

Patrzyła na niego z przerażeniem, oniemiała. Czuła, jak ucieka z niej życie, jak krew wsiąka w bluzę z napisem „Wpadnij na nasz sabat”. Odsunął się, nie wypuszczając jej z objęć, z twarzą od ust po podbródek pokrytą krwią, z dziurami zamiast oczu, które nie przestawały wpatrywać się w nią nicością. Oszukał ją. Wykorzystał.

Jest ich wielu. Cała armia jego poddanych.

Dopiero teraz to rozumiała.

Byli wszędzie. W liściach maszerujących ulicami, w wietrze pędzącym ze Starej Tuoneli. Dlaczego przedtem ich nie widziała? Wszędzie. Gadali. Szeptali. Byli w niej, pod jej skórą. Poczła, jak skóra zsuwa się z jej ciała. Walczyli o nią. Oszukali ją. Och, byli przebiegli.

Ale byli też inni. Patrzyli, smutni i milczący.

Rozdział 46

Rachel jechała powoli drogą prowadzącą do domu Evana, manewrując wśród głębokich kolein i dziur. Sypiąca się z nieba lodowa kasza stukała w szyby, niczym ludzkie palce. Gromadziła się na wycieraczkach, drapiąc i piszcząc na szkle.

Ustawiała ogrzewanie na maksimum; w twarz buchało jej gorące powietrze. Ściskając kierownicę obiema rękami, wpatrywała się w niewielki czysty kawałek przedniej szyby.

Hałas nadmuchu niósł ze sobą szepty, zmieszane z szumem powietrza.

Nie zbliżaj się.

Pokonała ostatni zakręt. Furgonetka skoczyła naprzód i zatrzymała się na żwirowym podjeździe. Rachel wyłączyła silnik. Kluczyki zostawiła w stacyjce.

Wysiadła i ruszyła na tyły domu. Kamienny chodnik był oblodzony, porywy wiatru miotają ją na boki. Kiedy nikt nie odpowiedział na jej pukanie, weszła do kuchni i zawołała Evana.

Podłoga nad jej głową skrzypnęła, ale nikt się nie odezwał.

Weszła na górę i kolejno zaglądała do pustych pokoi, aż dotarła do uchylonych drzwi. Zajrzała przez szparę. Pokój tonął w ciemności, ale dostrzegła ciemniejszą sylwetkę stojącą w kącie.

Evan?

Pchnęła drzwi, wpuszczając do środka odrobinę słabego światła. Tak, to on.

W dłoniach miał ozdobną srebrną puszkę. Trzymał ją tak, jakby chciał włożyć palec do środka i posmakować zawartość. Był bez

koszuli, na szyi miał białą apaszkę. Jego blada skóra niemal opalizowała w półmroku. Ćwiczyła w samochodzie. Musiała być stanowcza.

–Evan, musisz jechać ze mną. W tej chwili. Nie możesz tu zostać ani minuty dłużej. Nie odpowiedział.

–Włóż koszulę. Włóż jakąś kurtkę. Kiedy wciąż milczał, wparowała do pokoju.

Zamiast łóżka zobaczyła barłóg, wszędzie walały się brudne ubrania. Pod ścianą piętrzyły się książki. Niektóre ze stert zwały się na podłogę. Nie przypominało to miejsca, w którym mieszka człowiek. Bardziej opuszczony budynek zajęty przez bezdomnego. Jak mogła pozwolić, by trwało to tak długo? Może gdyby nie była tak pogrążona w żałobie po stracie ojca, myślałaby trochę przytomniej. Usłyszała za plecami metaliczny dźwięk. Evan zamknął puszkę. Znalazła jakąś koszulę i przyniosła mu ją. Próbowwała zabrać mu pojemnik, ale nie puszczał.

–Chciałeś mi to kiedyś dać, pamiętasz? – powiedziała. Odwrócił się, schował puszkę do komody i zamknął szufladę.

–Szkoda by było.

–Słucham? – zapytała niemal prześmiewczo, nie wiedząc, co myśleć o tym dziwnym stwierdzeniu. Wziął koszulę i włożył na siebie, ale nie pofatygował się, by zapiąć guziki. Wyciągnęła ręce i zaczęła to robić za niego. Chwytał ją za nadgarstek. Zabolało. Próbowwała się wyrwać, ale nie mogła.

–Co ty robisz? – Szarpnęła. – Puszczaaj.

–Ach, Rachel. Słodka Rachel. – Pochylił się bliżej i zaciągnął się jej zapachem. – Czasami wszystko mi się miesza. Czasami myślę cię z kimś innym.

–Z kim?

–Z Florence.

–Z autorką pamiętnika.

Nie potrafiła się przełamać i nazwać jej swoją prababką.

Jeszcze nie.

Nigdy nie bała się Evana i trudno jej było myśleć o nim jako o kimś, kogo powinna się obawiać. A przecież gdyby ktokolwiek inny trzymał ją w ten sposób, walczyłaby z nim.

–Źle się stało, że wykopałeś ten pamiętnik – powiedziała. – Powinieneś był go zostawić tam, gdzie leżał. Musimy odłożyć wszystko na miejsce. Wszystko, co odkopałeś. To wszystko musi wrócić do ziemi.

–Za późno.

–Nie. – Pokręciła głową. – Możemy to zrobić razem. Przyciągnął ją do siebie blisko i puściwszy jej nadgarstek, otoczył ramionami. Wsunął palce w jej włosy.

„On chce cię skrzywdzić. Ciebie i dziecko”, mówił jej jakiś wewnętrzny głos.

Jej oddech i puls przyspieszyły. Było ciemno i nie widziała jego twarzy.

–Ach, Florence.

–Rachel. Jestem Rachel.

–Na jedno wychodzi.

–A ty kim jesteś?

–Nie poznajesz mnie? Ojca swojego dziecka? Jestem Evan.

–Co się z tobą stało? Czasami wydaje mi się, że już nie jesteś Evanem, a kimś zupełnie innym. Roześmiał się.

–Chcesz wiedzieć, co się ze mną stało? Powiem ci. Mój ojciec, mój

rodzony ojciec, dał mi do wypicia wywar z serca Nieśmiertelnego. Puszka.

–Zrobił to, żeby ratować mi życie. A przynajmniej tak mówi.

–Kiedy zachorowałeś jako nastolatek.

–Ale stchórzył. Podał mi tylko trochę. Potem, kiedy wprowadziłem się do jego domu w Tuoneli, znalazłem puszkę. Wiesz, jak lubię egzotyczne herbaty...

–Wypiłeś to.

–Nie wszystko.

–Wyrzuć resztę. Pozbądź się tego.

–Pomyślałem sobie, że ty i ja moglibyśmy razem wypić filiżankę. No i dziecko. Nie zapominajmy o dziecku.

–Pomogłabym ci. Dlaczego mnie odepchnąłeś?

–Nie chciałem, żebyś widziała, czym się stałem.

–Choroba psychiczna to żaden wstyd.

–Nic nie rozumiesz.

–Ta herbata to bajka. Nonsens. Wmówiłeś sobie, że ma moc. Nie widzisz tego? Jesteś więźniem swojej choroby, i to ona daje ci złudne poczucie siły. Ale to tylko iluzja.

–To nie jest iluzja. Nie było sensu się kłócić.

–Musisz stąd wyjechać. To złe miejsce.

Starła się myśleć logicznie. Nie zwracała uwagi na szepczące głosy i skórę, pełzającą po podłodze jej mieszkania, i o niedawnym postanowieniu, by wreszcie stawić czoło temu, co tyle lat miała przed oczami. Evan przycisnął twarz do jej głowy i głęboko zaciągnął się zapachem.

–Czuję go. Dziecko. Chłopca. Czuję jego krew. Słodki dzieciaczek. Kochane niewiniątko.

Biło od niego zło – mroczne i grobowe.

Bez względu na to jaka była prawda, Evan uważał, że herbata go odmieniła. Był przekonany, że opętał go Nieśmiertelny. Niebezpieczeństwo grożące jej i dziecku było rzeczywiste. I bliskie. Nie było czasu na przemawianie Evanowi do rozsądku, na próby dotarcia do niego. Wyrwała mu się.

Był szybki. Deptał jej po piętach.

Złapał ją za ramię. Wyciągnęła na oślep wolną rękę, wymacała włącznik światła i nacisnęła go. Mętny czerwony blask ledwie rozjaśnił ciemność.

Evan roześmiał się i przyciągnął ją do siebie, jednocześnie przyciskając ciałem do ściany. Wbiła mu kolano w krocze. To wystarczyło, żeby ją puścił. Pobiegła.

Jej stopy zadudniły na schodach.

Dopadła podestu i zbiegła po ostatniej prostej schodów. Na parter. Przez kuchnię do tylnych drzwi. Przekręcić gałkę. Pociągnąć.

Drzwi nieznacznie ustąpiły, ale zaraz zamknęły się z powrotem, zassane różnicą ciśnienia wytworzoną przez wichurę. Evan. Tuż za nią.

W przypiływie adrenaliny mocniej szarpnęła drzwi. Otworzyły się z impetem, uderzając o ścianę kuchni.

Wybiegła na dwór, w ciemność, w noc, z rękami wyciągniętymi ślepo przed siebie. Padał śnieg, lepki, gęsty, mokry.

W uszach ryczał jej wiatr. Rozpędzone płatki kłuły w twarz. Wiatr zapierał dech w piersi.

Zakryła dłonią nos i usta i pochyliła się, zderzając się z wiatrem, próbując w ciemności odnaleźć drogę do samochodu.

Marznący deszcz, a zaraz po nim śnieg stworzyły zabójczą kombinację. Kiedy tylko Rachel weszła na chodnik, ten wystrzelił jej

spod nóg. Gruchnęła o ziemię tak mocno, że zabrakło jej tchu. Eksplozja bólu rozdarła jej ciało.

Evan się zbliżał.

Przeturlała się na kolana i wstała. Furgonetka była tuż-tuż. Otworzyła drzwiczki.

Szlochając z bólu, chwyciła kierownicę, i spróbowała podciągnąć się do kabiny.

Nie trzeba było tu przyjeżdżać. Trzeba się było trzymać z daleka, myślała gorączkowo.

Po drugiej stronie otworzyły się drzwi pasażera i Evan zanurkował do środka. Wyrwał kluczyki ze stacyjki i cisnął je przez ramię, w ciemność za sobą. Potem zwinął dłoń w pięść, rozbił lampkę pod sufitem i zaczął przełazić po siedzeniu.

Rachel cofnęła się, zatrzasnęła drzwi od strony kierowcy, odwróciła się i pobiegła – tym razem w stronę domu.

Obejmując ręką brzuch, dysząc ciężko, wróciła tam, skąd przybiegła. Dopadła kuchni, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła zamek.

Wyjęła komórkę, choć wiedziała, że to bezcelowe. W Starej Tuoneli nie było zasięgu. Schowała aparat z powrotem do kieszeni.

Drzwi zadrżały, gdy Evan rzucił się na nie całym ciężarem. Łomotał i wydierał się. Śnieg wpadał przez szpary w ścianach, wiatr wył wokół okien. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i coś potoczyło się z hukiem po stole. Duży kamień.

Po chwili tę samą drogę pokonał Evan – wpadł przez okno i zwałił się na podłogę. Nie tracąc impetu, przeturlał się i podniósł na nogi.

Rachel zauważyła na kuchennym blacie bezprzewodowy telefon. Złapała go i zaczęła wybierać numer alarmowy.

Evan porwał stację, wyszarpnął przewód z gniazdka i rozbił urządzenie o ścianę.

Słuchawka przestała działać.

Zawsze należy uciekać na dwór, nigdy do środka.

Nie miała wyboru.

Rzuciła słuchawkę, złapała gałkę najbliższych drzwi i otworzyła je. Ciemne schody.

Nie. Uciekaj gdzie indziej. Obejrzała się przez ramię. Za późno.

Zbiegła po nierównych, starych stopniach. Połknęła ją ciemność.

Jej dłonie przesuwaly się po kamieniach, kurzu i ziemi. W końcu stanęła na płaskiej powierzchni. Rzuciła się do przodu z rękami wyciągniętymi przed siebie. Była w jakimś tunelu. Uderzyła się w głowę. Schyliła ją.

Biegła krętym tunelem, aż dotarła do litej ściany. Po omacku, gorączkowo zaczęła szukać przejścia, drzwi. Znalazła.

Wąska szczelina, wyłamana w drzwiach, wystarczyła, by przecisnąć się na drugą stronę.

Pomieszczenie było wilgotne i zimne. Na ślepo znalazła w ścianie niewielką niszę, wcisnęła się do środka i czekała.

Wiedziała, że Evan ją znajdzie.

Jak zwierzę – wywęszy ją i znajdzie.

Słyszała go.

Był coraz bliżej, szurał stopami po ziemi. Zobaczyła słabe światło, podskakujące w ciemności, zbliżające się do niej.

Nie było ucieczki.

Odwróciła głowę, szukając wzrokiem czegoś, czegokolwiek. Jeśli nie drogi ucieczki, to broni.

W mroku dostrzegła błysk metalu. Podeszła i chwyciła drewniane

sty-lisko.

Szpadel.

Uniosła go wysoko i stanęła przodem do wejścia. Evan wpadł przez szczelinę. Zamachnęła się do ciosu, a potem się zawahała.

Nie mogła tego zrobić. Nie mogła go uderzyć.

Evan złapał szpadel i odrzucił go na bok. W dłoni trzymał latarnię, rzucającą przytłumione blaski. W jej blasku wirowały drobiny kurzu.

Sz, sz, sz.

–Widzę, że je znalazłaś.

Nie zrozumiała.

Uniósł latarnię wyżej. Słabe światło dotarło do dalszych zakamarków piwnicy. Wtedy zobaczyła zmumifikowane szczątki. - Victorię i jej córkę. Dziewczynkę z fotografii. Biedną, małą blondyneczkę.

–Kiedy one tutaj umierały, ty i ja kochaliśmy się na górze. I jak się z tym czujesz?

Czytał pamiętnik, żył w domu Richarda Manchстера, pił herbatę, która w jego mniemaniu zawierała serce Nieśmiertelnego. Och, Evan.

–Właśnie to chciałem ci pokazać. Czekałem na tę chwilę sto lat. Zabijając mnie, zabiłaś także siostrę i siostrzenicę. – Stał przed nią, przyciskając ją do ściany, zbyt blisko, by mogła mu zadać cios kolanem.

–Ech, najmiłsza. Kochałem cię. Ale przecież o tym wiedziałaś, prawda?

Równoległe życia. Nic dziwnego, że ktoś, kto stracił kontakt z rzeczywistością, tak się w tym pogubił.

–Ja jestem Rachel. Uśmiechnął się krzywo.

–Tak, ale jesteś też Florence. Florence jest w twoich żyłach, w

twoim głose, w twoim najdrobniejszym geście. Nie czujesz jej? Jak sięga przez czas, przez pory roku, przez ciężkie zimy? Jesteś Florence. Twoja krew będzie najśodsza krwią, jakiej kiedykolwiek kosztowałem.

Chwyliła jego twarz w dłonie i przytrzymała mocno, zmuszając go, by na nią spojrział.

–Evan! – Potrzaśnęła nim, jakby chciała go zbudzić. – Evan! Popatrz na mnie! To ja. Rachel. Zamknął oczy. Krzyknęła do niego jeszcze raz.

–Do cholery, Evan! – Wymierzyła mu siarczysty policzek. I drugi. Otworzył oczy. Płonął w nich gniew, ale gdzieś na dnie dostrzegła błysk rozpoznania. Przyglądał się jej, dysząc ochryple, nierówno.

–Przepraszam, że nie pomogłam ci wcześniej, ale teraz tu jestem i jesteś na mnie skazany. Słyszysz? Nigdzie nie pójde i tobie też nie pozwolę już odejść.

Jej słowa dotarły do niego.

Wydał z siebie szloch i osunął się na kolana. Otoczył ramionami jej nogi i przycisnął twarz do uda.

–Rachel – wymamrotał niewyraźnie, przyciskając usta do materiału dzinsów. W jego głosie pobrzmiwały niedowierzenie i zachwyty. – Nie odchodź. – Lgnął do niej. – Nawet jeśli tak naprawdę cię tu nie ma, nie odchodź.

Myślała, że już wszystko będzie dobrze, kiedy poczuła, że odeszły jej wody.

Rozdział 47

Graham zapłacił parkingowemu. Gdy drewniany szlaban się podniósł, wcisnął gaz i wystrzelił ze szpitalnego parkingu.

Kristin pochyliła się na fotelu pasażera i spojrzała w niebo.

–Rany. Graham ścisnął mocniej kierownicę.

–Kurczę, ale odjazd. – Nigdy nie prowadził w śniegu. Zadzwoń ją jego komórka. Alastair.

–Gdzie jesteście? – zapytał dziadek.

–Właśnie jedziemy do Starej Tuoneli.

Za dziesięć minut będą na miejscu. Graham nie chciał, żeby Evan był sam, a co do Kristin... Cóż, tak po prostu wyszło. Planowała wyjechać do Minneapolis, kiedy skończy się śnieżycyca, ale na razie musiała się gdzieś zatrzymać. Proste.

–Lepiej przyjeździe do mnie – powiedział dziadek. – Pogoda jest paskudna. Widoczność fatalna, a na niektórych drogach robią się już zaspasy.

Dziwne, ale śnieg dawał Grahamowi poczucie bezpieczeństwa, jakby otaczał go kokonem. Latarnie przed maską były zamazane i wszystko wyglądało trochę jak na starej fotografii. Dla chłopaka, który większość życia spędził na Południowym Zachodzie, było to naprawdę fajne doświadczenie. Graham nie mógł uwierzyć, że rajcuje go pogoda.

–Nic nam nie będzie.

Sygnal osłabł. Stracili połączenie.

Może to i lepiej, pomyślał Graham, chowając komórkę do kieszeni. Alastair mógł przecież zagrać kartą dziadkowego autorytetu i

zwyczajnie kazać mii przyjechać do siebie.

Zatrzymali się na czerwonym świetle.

Na ulicy nie było innych samochodów. Dookoła nie było śladu życia, jeśli nie liczyć podświetlonych witryn sklepów i świateł na skrzyżowaniach, które zmieniały się, nawet kiedy nie było ruchu.

Kristin wyciągnęła pas bezpieczeństwa, zapięła się i oparła wygodniej w fotelu.

–Jak myślisz? – zapytał Graham. – Do Starej Tuoneli jest osiem kilometrów. Śnieg nie jest aż taki głęboki. Chyba nie zrobi się dużo gorzej, zanim dojedziemy.

–Jestem z Minnesoty, a tam takie drogi uchodzą za lekko przyprószone. Moim zdaniem powinniśmy jechać. Światło zmieniło się na zielone. Graham skręcił w prawo, przyspieszył i zaczął wjeżdżać pod górę. Samochód stracił przyczepność i zwolnił do żółtego tempa, ale w końcu wdrapał się na szczyt. Kiedy znowu przyspieszył, Graham i Kristin odetchnęli z ulgą.

Skierowali się na północ, zostawiając za sobą centrum i rzekę. Gdy wyjechali spod osłony budynków, wiatr przybrał na sile. Pojedyncze zasy na drodze utrudniały jazdę. Jeden fałszywy ruch i mogli znaleźć się w rowie.

–Powiniennem zwolnić? – zapytał Graham, pochylając się do przodu, z obiema rękami na kierownicy. – Nie jestem przyzwyczajony do jazdy w śniegu.

–Musisz jechać szybko, inaczej utkniesz. Musisz mieć odpowiednią prędkość, żeby przebić się przez zasy. Ale nie hamuj gwałtownie. Najlepiej w ogóle nie dotykaj pedału hamulca, jeśli nie musisz. Samochód zachowywał się jak pijany. Nie chciał jechać prosto i Graham wciąż musiał korygować tor jazdy.

–Patrz. – Wciąż kręcił kierownicą. – Wyglądam jak dzieciak, który udaje, że prowadzi.

Oboje się roześmiali.

Może zbyt głośno. Może ze zbyt wielkim entuzjazmem. Graham był podenerwowany. Nocna akcja ratunkowa sprawiła, że ich znajomość się rozwinęła, ale nie był pewny, w jakim kierunku.

–Gdybyś mnie nie znalazł, ciągle bym tam była. – Kristin wyjrzała przez okno pasażera. – Byłabym martwa.

Fakt.

–Tak naprawdę znalazł cię mój tata.

–Ale nie poszedłby mnie szukać, gdybyś ty nie poprosił go o pomoc. Miała rację.

Graham był dumny z Evana. Dumny z nich obu. Bo przecież też tam był. Podtrzymywał Kristin, kiedy ojciec prowadził. Zabrał ją do szpitala.

–Uważaj!

Samochód gwałtownie zjechał w lewo, zarzucił kuprem i zaczął się obracać. Nim się obejrzeni, sunęli tyłem. Wszystko działało się jak w zwolnionym tempie, a jednocześnie błyskawicznie, jakby mózg przetwarzał akcję w dwóch obszarach naraz.

Graham zastanawiał się, czy auto kiedykolwiek się zatrzyma.

Jednocześnie doceniał płynność ruchu, ten ślizg, lot, którego łagodność kontrastowała z tym, co musiało w końcu nastąpić. Z uderzeniem.

Samochód walnął w coś i zatrzymał się. Graham i Kristin polecili do przodu, ale prawie natychmiast zostali zatrzymani przez szarpnięcie pasów.

Graham siedział przez chwilę z łomoczącym sercem. Poduszki

powietrzne nie wystrzeliły, więc najwyraźniej uderzenie nie było bardzo silne.

–Nic ci nie jest? Kristin patrzyła przed siebie, z obiema rękami wspartymi na desce rozdzielczej.

–Chyba nic. Minęła jeszcze chwila, zanim doszli do siebie.

–Założę się, że utknęliśmy – powiedziała w końcu. Graham czuł się jak ostatni głupek.

–Może nie. Droga była tuż za nimi. Wrzucił wsteczny. Opony zabuksowały, ale samochód ani drgnął.

–Utknęliśmy – powtórzyła bez cienia wątpliwości w głosie.

–To ty chciałaś jechać dalej – rzucił z irytacją.

–Trzeba było wspomnieć, że nie umiesz jeździć w śniegu.

Graham otworzył drzwi, wyszedł z kabiny i zapadł się po kolana. Zapiął kurtkę i zmrużył oczy w sypiącym śniegu. Wcisnął rękę głęboko w kieszenie, żałując, że nie wziął czapki ani rękawiczek. Byli niedaleko zjazdu. Był tego pewny. Wsiadł z powrotem do samochodu.

–Jesteśmy blisko. Powinniśmy dojść na miejsce w dziesięć minut.

–Zawsze zostawaj w samochodzie. Taka jest zasada.

–Od kiedy to przestrzega pani zasad, pani Sklepowa Złodziejko?

–Od kiedy o mało nie umarłam z zimna, dupku.

–Nie minęliśmy ani jednego samochodu. Pługi pewnie nie wyjadą, dopóki śnieg nie przestanie padać.

–Ile masz benzyny? – Pochyliła się, żeby spojrzeć na wskaźnik. – Ćwierć baku.

–Nie wystarczy na długo, a możemy tu siedzieć całą noc. Naprawdę myślę, że powinniśmy iść. – Sięgnął przez nią, otworzył schowek i wyjął latarkę. Wcisnął guzik. Działała.

–Ja się nie ruszam z samochodu. To było wariactwo.

–Ja nie zostaję. Jesteśmy blisko domu. Musimy się tam dostać, zanim śnieg zrobi się głębszy. Jeśli zostaniemy, skończy się na tym, że będziemy musieli iść, kiedy zabraknie benzyny, śnieg będzie głęboki, a my zmarznięci. Pokręciła głową.

Jest jeszcze słaba, przypomniał sobie nagle. Nie powinna maszerować w głębokim śniegu – przynajmniej dopóki on nie zorientuje się co i jak.

–Ty zostań. Ja pójdę i wrócę po ciebie, kiedy znajdę dom. Jeśli nie znajdę, też wrócę. Tak czy siak, czekaj tu na mnie.

Zostawił ją.

Światła samochodu wcinały się w śnieżycę. Trzymał się podwójnej ścieżki światła, dopóki nie zniknęła.

Rozdział 48

Richard Manchester otarł grzbietem dłoni krew z podbródka, przestąpił martwe ciało i wszedł po schodach na parter muzeum. Ruszył do drzwi.

Dźwięk kazał mu się odwrócić.

Przy schodach stał pracownik muzeum, nocny sprzątacznik, i gapił się na niego z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Richard zastanowił się, czy go nie zabić, ale po co? Żeby to zrobić, musiałby z powrotem pokonać wielką połączoną wyfroterowaną podłogę.

Odwrócił się, wyszedł przez główne drzwi, zbiegł po szerokich schodach i zanurzył się w ciemność wysłaną śniegiem.

Sz, sz, sz.

Byli wszędzie. Jego poplecznicy. I jego wrogowie. Ci, którzy w końcu zwrócili się przeciw niemu.

Niech sobie gadają. Niech się skarżą. Byli głupcami za życia, a po śmierci sajeszycze większymi.

Wiatr był potężny. Szarpał go za włosy i kłuł w policzki.

Cudownie.

Uniósł twarz do nieba, zamknął oczy i głęboko wciągnął zimne powietrze.

Czuł zapach rzeki, Starej Tuoneli, a nawet pasty używanej do polerowania poręczy w jego domu. I jej. Czuł jej zapach. I jej nienarodzonego dziecka.

Podniósł kołnierz i schował ręce w kieszeniach. Z każdym krokiem czuł się silniejszy i mniej odczuwał zimno.

Poszedł w dół ceglana ulicą, i w górę brukowaną aleją. Obok

kostnicy i dalej, poza granice nowego miasta, gdzie wzgórza stawały się wysokie i strome, a drogi zapętały się w sobie.

Zadzwoił telefon.

–Kolejne zgłoszenie z muzeum – powiedział dyspozytor do Alastaira.

–Niech zgadnę. Nieśmiertelny znowu gdzieś łązi.

–Zgadł pan. Komendant westchnął.

–Powiedzcie, komu tam po drodze na patrolu, żeby to sprawdził. Nie musicie mi raportować. Zajrzę tam rano.

–Jasne.

Alastair się rozłączył. Czy Graham dotarł do domu?

Włączył szybkie wybieranie numeru Evana. Nikt nie odebrał.

Światła samochodu zbliżyły się do niego, zwolniły i stanęły. Szyba zjechała w dół i z okna wychylił się mężczyzna.

–Podwieźć pana? Manchester pokręcił głową.

–Na pewno? – Mężczyzna przyglądał mu się z dziwną ciekawością, próbując dostrzec coś w mroku.

–Zajmij się swoimi sprawami – powiedział mu Manchester, wchodząc do jego głowy. Jego głos był miękki, hipnotyczny. – Jedź do domu.

Oszołomiony człowiek skinął głową, zamknął okno i odjechał. Ludzie byli mu posłuszni. Robili, co im kazał. Większość ludzi.

Szedł dalej i choć brodził w głębokim śniegu, nie przeszkadzało mu to. Cieszył się tym wysiłkiem. I nieważne, że widział zaledwie na parę kroków. Wiedział, dokąd idzie.

Był już blisko, kiedy dostrzegł coś w oddali.

Samochód.

Rozdział 49

Muszę iść – powiedział Evan. – Muszę cię zostawić. Zanim zrobię coś złego. Rachel złapała go za rękę.

–Nie możesz mnie tu zostawić samej. – Jej głos brzmiał dziwnie, jakby brakowało jej tchu. Spojrzała ponad jego ramieniem na Victorię, na mumię dziecka. – Mam skurcz. Żołądek zaciążył mu jak kamień. Rachel zacisnęła palce na jego dłoni tak mocno, że myślał, iż strzaska mu kości.

Gdy tylko się rozluźniła, ponaglił ją do marszu.

Potwór. Jestem potworem, pomyślał.

Schylił się i pomógł jej przejść przez wyrwę w drzwiach. Otoczywszy ją ramieniem, chwycił latarnię i poprowadził z powrotem drogą, którą przyszli.

Miejscami było bardzo wąsko i musieli się rozdzielać, by móc iść gęsiego.

Omal jej nie zabił.

Gdyby nie to, że potrzebowała jego pomocy, w tej chwili uciekłby z domu i nie zatrzymywał się, aż wzeszłoby słońce, a on wyparowałby w świetle dnia.

Jego umysł znowu się zmienił.

Do głowy wpadały mu dziwne myśli. Znikały, nim zdążył je uchwycić i przyjrzeć się im. Migawki z życia, które nie było jego.

Najbardziej przerażające było to, że czasem... rozumiał. Patrzył na siebie jakby z boku i widział, jak wszystko zmienia zabarwienie, jak zmienia się on sam. I rozumiał dlaczego i jak.

Rozumiał Richarda Manchestera, nawet kiedy nie był

Manchesterem, nawet kiedy był Evanem Stroudem, a raczej tym, co z niego pozostało. Rozumiał głód, który napędzał Nieśmiertelnego do działania. Rozumiał jego szaloną miłość do Florence.

Dotarli do kuchni i Rachel osunęła się na podłogę, plecami do ściany. Oczy miała zamknięte, a twarz popielatą. Evan położył dłoń na jej brzuchu i poczuł, jak tężeje.

Kolejny skurcz.

Spojrzała na niego. W jej oczach był strach.

–Muszę się dostać do Tuoneli. Spojrzał na roztrzaskany telefon i załała go nowa fala wstydu i obrzydzenia do samego siebie.

–Mógłbym pójść do głównej drogi i spróbować złapać sygnał na komórce, ale nawet jeśli uzyskam połączenie, karetka pewnie i tak nie da rady tu dojechać.

Czuł, jak jego drugie ja znowu daje o sobie znać. Przychodziło falami i cofało się, jak łagodna, przycichająca bryza. To takie kuszące.

Wiatr dzwonił o szyby. Podnosił przedmioty i ciskał nimi o dom. Kłęby śniegu wpadały przez rozbite okno, obniżając temperaturę w kuchni niemal do zera. Evan otworzył drzwi. Śnieg uderzył go w twarz.

Zamieć. Zerowa widoczność. Nawet gdyby nie wyrzucił kluczyków w śnieg, nie daliby rady dojechać do Tuoneli. Jedyne, co mógł zrobić, to zapewnić Rachel wygodę i przeczekać śnieżycę, w nadziei, że skurcze ustaną. Była z nim zupełnie sama. Z potworem.

Zatrzasnął drzwi. Po kolejnym ataku wiatru czerwone światło pod sufitem zaczęło mrugać.

Evan sprawdził komórkę, ale chyba tylko po to, by pokazać Rachel, że coś robi. Czasami łapał w domu słaby sygnał.

Ale nie teraz.

–Musimy wejść na górę.

Po dwóch minutach byli w sypialni. Ułożył ją na łóżku z poduszką pod głową. Miał nadzieję, że nie zacznie rodzić, ale musiał się przygotować na odebranie dziecka. Na wszelki wypadek.

–Pamiętasz, jak w podstawówce pobili cię w drodze do domu?

–Za którym razem? – zapytał kwaśno. Tyle tego było.

–Wtedy, kiedy przybiegłam ci na ratunek.

Było oczywiste, że próbuje zatrzymać go przy sobie, w realnym świecie. Rozpiął jej kurtkę, zsunął z ramion i rzucił na bok. Miała na sobie za dużą, męską flanelową koszulę.

–Kiedy wskoczyłaś na plecy Olsonowi i sama dostałaś manto? Tak, pamiętam. – To było, zanim przyszła choroba. Zanim wszystko stało się mroczne i dziwne.

–Pamiętasz, jak mnie nazywałaś?

–Tak.

–Powiedz tak do mnie jeszcze raz. Przykrył ją kołdrą.

–*Enfant terrible*.

–Wiesz, że już wtedy mi się podobałeś?

–Dlatego tak się z tobą droczyłem. Żeby obrócić wszystko w żart, utrzymać cię na bezpieczną odległość. – Podkochiwała się w nim, a on próbował ją chronić, zadbać, by nie cierpiała, bo już wtedy uważał ją za kogoś więcej niż nieznośnego dzieciaka.

–Nie ma czegoś takiego jak bezpieczna odległość.

Poczuł rozdzierający żal głęboko, na dnie duszy. Za tym, co zostało utracone. Za życiem, które nie było im pisane. Jego myśli wybiegały naprzód i cofały się w przeszłość.

–Nie mogliśmy temu zapobiec. Natychmiast zrozumiała.

–Nie chcę myśleć, że nie mamy kontroli nad własnym życiem. Nie

mogę w to uwierzyć.

–Myślisz, że byłbym tym, kim teraz jestem, gdybym mógł cokolwiek na to poradzić?

Nie odpowiedziała.

–Jesteś w błędzie. Nie wybrałem takiego losu. Nie chciałem tego.

–Myślę, że podświadomie jednak chciałeś.

–Być odmieńcem? Prawie cię zabić? Jezu, Rachel.

–Umysł to dziwne miejsce. Chwycił jej dłoń i przycisnął kostki palców do ust.

–Nie będę tak myślał. Nie mogę tak myśleć. I ty też nie możesz. Słodkie, kochane dziecko. Słodka, kochana Florence.

–Powiedz mi, że wcale tak o mnie nie myślisz – błagał. Ale czy miał rację? Boże kochany. – Muszę to usłyszeć z twoich ust.

–Evan. – Dotknęła jego twarzy, jego włosów. Smutek w jej głosie i twarzy powiedział mu wszystko. Uważała go za wariata. Czy nim był? To byłoby o wiele gorsze niż bycie hybrydą, krzyżówką człowieka i jakiegoś stwora. Chyba nie zniósłby myśli, że to wszystko bierze się z niego, z jakiejś dziwnej krainy koszmaru w jego głowie.

–Czytałeś dziennik – powiedziała Rachel.

–Chcesz powiedzieć, że odgrywam przeszłość? Jej oczy zaszkły mgłą, myśli zwróciły się ku wnętrzu.

–Jeśli coś mi się stanie, musisz się zaopiekować dzieckiem. Musisz zawieźć je do szpitala.

–Nic ci się nie stanie. – Nawet nie brał pod uwagę takiej ewentualności, takiej straty.

–Przyrzeknij mi. Musisz chronić dziecko. Nie wyobrażał sobie świata bez niej, nawet jeśli nie mogli być razem.

–Przyrzekam. Światło znów zamrugnęło. Był zaskoczony, że jeszcze

mieli prąd.

–Muszę wyjść na minutę.

–Nie!

–Niedługo może wysiąść prąd. Muszę przynieść latarnię.

–Nie odchodź. – Jej spojrzenie zsunęło się z jego twarzy na szyję. – To jego apaszka – powiedziała, na nowo ogarnięta strachem. – Nosisz jego apaszkę. Sięgnął do szyi, by zdjąć chustkę, ale się zatrzymał. Nie potrafił się do tego zmusić. Gwałtownie wciągnęła powietrze. – Pada śnieg.

Jej głos był półprzytomny. Wpatrywała się w sufit źrenicami rozszerzonymi z bólu. Płatki śniegu wypływały z ciemności i lądowały jej na policzkach.

–Pada śnieg. W domu. Ciekawe, co to może znaczyć...

–Wiatr wpycha śnieg przez szpary w ścianach.

–Nie, to coś innego. To się stało tutaj, prawda?

–Co się stało tutaj?

–To tutaj go zabiła. Tutaj Florence zabiła Manchestera. Może nawet w tym pokoju.

–Nie myśl o tym.

–I może tutaj urodziła się moja babka.

Evan już dawno uznał to za prawdopodobne, ale miał nadzieję, że Rachel nie przyjdzie to do głowy. Po co, u diabła, dawał jej ten pamiętnik? Dlaczego nie zachował jego istnienia w tajemnicy?

Był samolubnym draniem, i tyle. Wszystko, co ostatnio robił, było zaprawione szczyptą szaleństwa, choć miewał też chwile przytomności. Ale to? Wmówił sobie, że poinformuje Rachel o zawartości zeszytu, bo chciałyby znać prawdę, choć w głębi duszy dobrze wiedział, że w ten sposób miał nadzieję odnowić więź między

nimi. Okazało się, że jest do niego bardziej podobna, niż którekolwiek z nich śmiałoby przypuszczać. Nic dziwnego, że tak ich do siebie ciągnęło. Łączyło ich coś więcej niż zwykła fascynacja, pożądanie czy miłość. Oboje mieli w żyłach dziwną krew. Próbowwała się podnieść. Delikatnie zmusił ją, by położyła się z powrotem.

–Dziecko się rodzi.

–Nie mogę go urodzić tutaj.

–Już za późno. Sięgnął pod kołdrę i zsunął elastyczny pas spodni z jej brzucha. Potem jednym ruchem ściągnął jej dzinsy i figi.

–To, gdzie to się stanie, niczego nie zmieni. Może miałaś je urodzić właśnie tutaj. Dlaczego to powiedział? Sam bał się tej myśli, więc dlaczego nadał jej znaczenie, ubierając w słowa.

–Próbowałam wyjechać – powiedziała. – Próbowałam wrócić do Kalifornii. Ale wszystkie drogi prowadzą do Tuoneli. – Nadchodził kolejny skurcz. – Wszystkie drogi prowadzą do ciebie.

Zapalałam silnik i wyłączałam go, mniej więcej co dwadzieścia minut, próbując oszczędzać benzynę.

Może powinnam pójść z Grahamem. Gdzie on się podziewał? Dlaczego nie wracał? Powinnam iść za nim?

Nie, to by była głupota. To najgorsze, co mogłam zrobić. Może miał rację. Może nikt nas nie znajdzie aż do jutra – albo i dłużej.

Samochód był oblepiony śniegiem – siedziałam jak w ciemnym kokonie. Wiatr wiał tak mocno, że od czasu do czasu bujało autem.

Znowu uruchomiłam silnik i włączyłam wycieraczki, by oczyścić chociaż kawałek szyby. Zapaliłam światła.

I zobaczyłam kogoś.

Bogu dzięki!

Pochyliłam się do przodu, patrzyłam i czekałam. Hej!

Dokąd on idzie? Oddalał się.

Nacisnęłam klakson. Kiedy nie zareagował, zatrąbiłam jeszcze raz.
– Tutaj, matole!

Wiedziałam, że mnie usłyszał, bo przystanął. Odwrócił głowę, jakby się zastanawiał. W końcu zawrócił i ruszył w moim kierunku.

Wiatr trochę przycichł, ale za to zaczęło mocniej padać i widoczność jeszcze się pogorszyła. Wyciągnęłam szyję.

Czy to Graham? Kto inny kręciłby się tu w taką pogodę? Śnieg zebrał się na szybie. Znowu pociągnęłam za wajchę wycieraczek, by oczyścić kawałek.

W jednej chwili nieznajomy był bardzo daleko, a w następnej stał ledwie parę metrów od samochodu.

Pokrywała go gruba warstwa śniegu, która pękała, gdy zginał ręce.
To nie Graham.

Znowu włączyłam wycieraczki – jeden przebieg – i zapaliłam długie światła.

Jego oczy.

Patrzyły na mnie dwie ciemne, puste jamy. Chryste.

Nie mogłam oddychać. Sięgnął do klamki.

Nie odrywając od niego wzroku, po omacku, gorączkowo odnalazłam bolec zamka i wcisnęłam go. Drzwi zablokowały się z obu stron.

Evan znał kiedyś kobietę, która urodziła pierwsze dziecko w pół godziny po tym, jak uznała, że dopadła ją grypa – ale i tak był zaskoczony, że poród Rachel poszedł tak szybko.

Dziecko było całkiem spore jak na wcześniaka i wydało kilka zdrowych wrzasków, zapowiadających, że wszystko będzie dobrze. Owinał noworodka jednym ze swoich czarnych T-shirtów, a potem

małą pikowaną narzutą. Zalała go fala czułości.

–Chłopiec. – Głos mu się łamał. Miał nadzieję, że Rachel tego nie zauważy. Ułożył zawiniątko w jej ramionach.

Była odmieniona. Włosy miała mokre od potu, a oczy zapadnięte z wysiłku, ale nie chodziło o to. Macierzyństwo już ją zmieniło. Evan wyczuwał subtelną siłę, której nie było w niej przedtem.

Próbował nad sobą panować, ale emocje dławily mu gardło i sprawiały, że był bliski łez. Rachel, kobieta, którą kochał, i ich dziecko. Tutaj. Z nim. W jego domu.

Po raz pierwszy od lat poczuł, że radość zakrada się do jego serca, i przyłapał się na myśli, że może jednak mają jakąś przyszłość. Może będą mieli swój wymarzony ogród. Może Rachel wniesie słońce w jego życie. Studiował przepelniające go, nieznane uczucia, aż w końcu rozpoznał nadzieję. Przeraziło go to.

–Wezmę komórkę i pójde do głównej drogi. Powinienem tam złapać sygnał. Zostaniesz sama przez pół godziny? Skinęła głową, nie odrywając oczu od dziecka, z wyrazem oszołomienia, ale i spokoju na twarzy. Na dole trzasnęły drzwi. Rachel spojrzała na niego pytająco. Kroki. Ktoś przeszedł przez kuchnię, korytarz i dotarł do podnóża schodów.

–To pewnie Graham. Widocznie pług oczyścił drogę. – Rachel i dziecko będą mogły dojechać do szpitala. Kroki na schodach.

Słowa miłości były blisko, ale Evan nie pozwolił, by się mu wymknęły. Nie teraz. To nie był dobry moment. Byłoby nie fair odkrywać przed nią swoje uczucia, kiedy była tak bezbronna. Nadzieja. Będzie ją pielęgnował.

Skrzypnęły drzwi.

Krew odpłynęła z twarzy Rachel. Evan obrócił się gwałtownie. W

drzwiach stał Richard Manchester, Nieśmiertelny.

Rozdział 50

Rachel z przerażeniem patrzyła na postać w drzwiach. Nie odrywając od niej oczu, szepnęła:

–Widzisz to co ja?

–Manchester.

Zmarli ukazywali się jej w różnych momentach życia, ale ta zjawa była inna. Miała w sobie żywotność, której tamci nie mieli. Gdyby nie oczy, a raczej ich brak, można by ją wziąć za człowieka. Przyszedł po dziecko. On chce dziecka, pomyślała gorączkowo.

–O Boże.

Mówiliśmy ci, żebyś trzymała się z daleka. Mówiliśmy ci, żebyś tu nie przyjeżdżała.

I nagle to przemówiło. Jezu, przemówiło. Wprost do niej, z uśmiechem na ustach.

–Florence.

Głosem bez brzmienia. Bez głębi, jakby wydobywał się z pękniętej skorupy.

Pracowała ze zmarłymi i wiedziała, że to niemożliwe. Spojrzała na dziecko w swoich ramionach, na jego małe czółko uma-zane krwią. Chciała je oczyścić, umyć biedactwo. Ale w pokoju był wampir.

Evan ani drgnął. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego bezruchu. Ledwie oddychając, z rękami u boków, wpatrywał się w drzwi. W to coś, co stało w drzwiach.

Nie patrząc na Rachel, wyciągnął w jej stronę rękę, jakby chciał ją powstrzymać przed wstaniem albo poruszeniem się.

–On jest prawdziwy. Nie możesz go zignorować, udając, że on nie

istnieje.

–Pójdzie sobie – powiedziała, choć tym razem nie była tego taka pewna. – Zawsze odchodzą.

–On nigdzie nie pójdzie, Rachel. Jest tu, gdzie chce być. Jest w domu.

Jej strach nagle wyparował, ustępując miejsca złości.

Gdyby nie tuliła w ramionach dziecka, gdyby przed chwilą nie urodziła, wygoniłaby go. Zepchnęłaby tę głupią, pustą kukłę ze schodów i patrzyła, jak rozsypuje się w proch. Dziecko wydało dziwny odgłos, jakby zachłysnęło się przez nos. I nagle zaczęło płakać, z szeroko otwartą bezzębną buzią i poczerwieniałą twarzą. Rachel pohuściła chłopca, wydając kojące dźwięki.

Manchester już przedtem był skupiony, ale teraz wydawało się, że każda komórka jego ciała koncentruje się na dziecku. Rzucił się przez pokój niczym dzikie zwierzę na widok zdobyczy. Rachel krzyknęła. Evan skoczył przed Nieśmiertelnego, zagrządzając mu drogę.

Zwarli się w walce. Z początku wyglądało na to, że żaden nie ma przewagi nad drugim.

Ale nagle Manchester uniósł Evana i rzucił nim z niesamowitą siłą. Evan uderzył o ścianę i z łoskotem osunął się na podłogę.

Rachel położyła dziecko na łóżku i powoli zaczęła się przesuwając na brzeg materaca. Chwyciła lampę - jedyną broń jaką miała pod ręką i wyrwała kabel z gniazdka. Manchester ruszył na Evana. Zaszarżowała na niego z lampą.

Manchester się obrócił. Poderwana do góry ręka odbiła cios. Wydarł lampę z dłoni Rachel, zamachnął się i uderzył kobietę w skroń. Zatoczyła się i padła na kolana, ogłuszona.

–Uciekaj – wysapał Evan. – Uciekaj stąd. Udało jej się podnieść.

Evan zrobił to samo i teraz Manchester stał pomiędzy nimi.

–On chce ciebie – powiedział Evan. – Chce dziecka. Rachel wciąż się wahała.

–Ma siłę dziesięciu mężczyzn – ostrzegł ją Evan. Manchester się uśmiechnęła, a jama jego ust była równie czarna i pusta jak oczy.

–Rozmawiacie, jakby mnie tu w ogóle nie było. – Wampir błyskawicznym ruchem złapał Rachel od tyłu, wykręcając jej rękę za plecami tak mocno, że bała się, iż zaraz wyrwie kości ze stawów. Drugą ręką otoczył ją w talii i przycisnął do siebie, szepcząc jej do ucha: – Chcę niemowlaka. Jego oddech był zimny i mokry, jak bagno.

–Zabiorę ci to, co dla ciebie najważniejsze. Tak jak ty wcześniej mnie.

–Co zrobisz z dzieckiem? – zapytała Rachel. Przycisnął usta do jej ucha i wyszeptał:

–A jak myślisz?

Miała wrażenie, że spada głową naprzód w otchłań rozkładu i deprawacji. Niewyobrażalnego zła.

Puścił ją, chwycił na nowo i cisnął nią o ścianę. Jej zakończenia nerwowe eksplodowały bólem. Jak przez mgłę widziała, że wampir i Evan znowu walczą. W końcu osunęła się na podłogę, pochłonięta przez ciemność. Kiedy odzyskała przytomność, leżała na plecach. Evan stał pod ścianą, przytrzymując jedną rękę, jakby była złamana.

–Przyszedłem po coś jeszcze – powiedział Manchester. – Nie tylko po dziecko. Nie tylko po mój dom. Domyślasz się, o co mi chodzi?

–O serce – odparł Evan, dysząc ciężko. – Nie ma go. Już go nie mam.

–Jego część jest w tobie. Czuję to. Jesteś mną.

–Nigdy nie będę tobą.

–Wszyscy ludzie są zdolni do ciemności.

–Ale nie wszyscy jej pragną.

–Nosisz moją apaszkę. To mi wiele mówi.

–Może mi zimno. Manchester się rozeźmiał.

–Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie chciałeś nikogo zabić? –
Koniec dygresji. – Gdzie jest serce? Wiem, że gdzieś tutaj. Wiem, że
jest blisko.

–Evan, nie dawaj mu go.

Evan, ignorując ją, sięgnął do szuflady komody i wyjął puszkę.

Rachel zamknęła oczy. Niedowierzenie i ból przetoczyły się po
niej jak walec. Kiedy znowu otworzyła powieki, Evan zdążył już zdjąć
wieczko. Potrząsnął puszką, zaglądając do środka.

–Zawsze się zastanawiałem, ile z tego wypilem. Myślę, że połowę.
Manchester wyciągnął rękę.

–Daj mi je. – Głos mu drżał. Pierwszy raz okazał emocje.

Oddychając płytko, Rachel cofnęła się do łóżka i podniosła
dziecko.

Poruszając się na kolanach i jednej ręce, skierowała się ku
drzwiom.

–Czy dzięki temu staniesz się całością? – zapytał Evan. – Będziesz
taki jak dawniej? Będziesz miał parę cholernych oczu?

–Dawaj mi to.

–Będziesz silniejszy, niż jesteś teraz? – Evan nie przestawał się
droczyć.

–Serce.

–Nie wiem, czy chcę, żebyś był jeszcze silniejszy. Rachel dotarła
do otwartych drzwi. Nie zwracali na nią uwagi.

–Jeśli serce doda ci siły, to logicznie rzecz biorąc, doda jej i mnie.

Evan sięgnął do puszki i wyjął coś pomarszczonego i brązowego, co wyglądało jak zasuszony grzyb.

Rachel patrzyła z przerażeniem, jak wpycha to sobie do ust. Manchester krzyknął. Rzucił się na Evana, chwycił go i powalił na podłogę. Złapał go za gardło i zaczął dusić.

–Oddawaj mi je! Dwóch obłąkańców.

Musiała wydać jakiś dźwięk, jęk desperacji. Manchester obrócił się gwałtownie.

Chwila nieuwagi wampira wystarczyła, by Evan zaparł się obcasem o podłogę i odepchnął się do tyłu, poza zasięg napastnika. Przełknął serce i oblał się potem.

Na oczach Rachel zaczął się zmieniać. Przybierał cechy Manchстера. Jego dziwną zmysłowość, jego bezczelność.

Nagle oczy wywróciły mu się w głąb czaszki i stracił przytomność.

Zerwała się i uciekła.

Rozdział 51

Graham był przemarznięty.

Nie czuł palców rąk i nóg. Twarz miał jak z drewna.

Zgubił się, ale teraz szedł już chyba we właściwym kierunku, bo nareszcie trafił na drózkę. Parasol drzew ułatwiał marsz i wiatr nie był tu tak silny, ale szkoda została już wyrządzona.

Nie był odpowiednio ubrany na taką pogodę i zaczynał myśleć, że Kristin miała rację. Szedł coraz wolniej. W jednej chwili podnosił wysoko nogi, by nie ugrzęznąć w śniegu, a w następnej brodził w zaspach. A może powinien pobiec?

Nie sprintem, oczywiście, ale truchtem, byle tylko pobudzić krążenie i szybciej dotrzeć na miejsce.

Podziałało.

Zaczął się rozgrzewać. Gdy ujrzał dom, jego palce rąk i nóg były już ciepłe.

Coś stało na podjeździe. Furgonetka. Przejechał ręką po zaśnieżonym boku. „Koroner”.

Zmarszczył brwi. Rachel? Poszedł na tył domu.

Rozdział 52

Przytrzymując dziecko w zgięciu łokcia, z wolną dłonią na poręczy, Rachel pędziła po schodach.

Jej pole widzenia pociemniało na obrzeżach, stopniowo się zwężając. Nie mogę zemdleć, pomyślała.

Gdy znalazła się na parterze, szybko przeszła do kuchni. Muszę się spieszyć. Zanim zejść na dół. Zanim straci przytomność. Śnieg buchał przez roztrzaskane okno. Naciągnęła kołdrę na głowę dziecka i zaczęła gorączkowo grzebać w szufladach, szukając czegoś, co nadałoby się na broń.

Znalazła długi nóż do mięsa.

Nagle drzwi na dwór otworzyły się z hukiem i stanęła w nich ciemna postać. Rachel uniosła nóż.

–Rachel! Zawahała się, zastygając z ręką w powietrzu.

–Graham?

–Jasna cholera! – Obrzucił wzrokiem jej zakrwawione ubranie, gołe nogi i nóż. – Co się dzieje?

Dziecko zakwiliło i oczy Grahama zrobiły się wielkie jak spodki. Rachel odłożyła nóż i wepchnęła tobolek w ramiona chłopaka.

–Biegnij. Musisz stąd uciekać. Bierz dziecko i uciekaj.

Nie ruszył się, więc obróciła go i pchnęła.

–Biegnij! I to już!

Kiedy Graham zniknął w ciemnościach, zatrzasnęła drzwi i oparła o nie czoło.

Właśnie posłała swoje przedwcześnie urodzone dziecko w szalejącą zamieć. Wiedziała jednak, że zamarznięcie jest i tak lepsze

niż śmierć z rąk Nieśmiertelnego.

Powłócząc zdrętwiałymi z zimna stopami, wróciła do stołu i chwyciła nóż.

Ci dwaj, tam, na górze. Zabije ich obu.

Roześmiała się w duchu na tę idiotyczną myśl. Jakby można było zabić dwóch ludzi, z których jeden był martwy już od dawna, a drugi w połowie. Osunęła się na podłogę.

Graham ścisnął dziecko w ramionach, nie wiedząc, gdzie są nogi, a gdzie głowa, nie mając pojęcia, czy maleństwo w ogóle żyje. Pochylił się na wściekłym wietrze, starając się osłonić je jak najlepiej potrafił.

Pewnie Evan musiał zwariować do reszty. Graham nie chciał zostawiać Rachel, ale dziecko... Musiał ratować dziecko. Śnieg sięgał mu do połowy łydki, a w miejscach, gdzie nawiało zasy, nawet wyżej, więc maszerował powoli. Stawiał długie, wysokie, niezgrabne kroki. Powierzchnia śniegu nie oddawała nierówności terenu, więc bez przerwy wpadał w dziury, łapiąc równowagę w ostatniej chwili.

Na szczęście drzewa wyznaczały drogę, ułatwiając przeprawę. Nawet nie próbował się domyślać, co wydarzyło się w domu ani co dzieje się tam teraz. Miał jeden cel: donieść dziecko do samochodu.

W końcu dostrzegł zniekształcony śniegiem zarys zasypanego auta. Światła były wyłączone, silnik nie chodził. Potykając się, ruszył w stronę samochodu, stawiając kolejne niezgrabne, czaple kroki. Zamknięte.

Drzwi były zamknięte. Wsunął latarkę pod pachę i zamaszystym ruchem odgarnął śnieg z szyby od strony kierowcy.

–Kristin!

Nic.

Zabębnił pięścią w maskę.

–Kristin!

Kliknął zamek. Graham otworzył drzwi i lampka pod sufitem oświetliła wnętrze kabiny. Kristin siedziała skulona w kącie fotela pasażera, z kolanami podciągniętymi do piersi.

–Graham?

–A spodziewałaś się kogoś innego?

–Tak. – Opuściła nogi. – Co to jest?

Podał jej zawiniątko.

–Dziecko.

Alastair drgnął na dźwięk telefonu. Dzwonił funkcjonariusz, który pojechał do muzeum. Było późno, ale Alastair nie spał. Za bardzo martwił się o Grahama i śnieżyce, żeby kłaść się do łóżka.

–Powinien pan tu przyjechać – powiedział policjant.

–Zajrzę rano, kiedy ucichnie zamieć. Mam już dość fałszywych alarmów.

–Trup i zaginiona mumia to raczej nie fałszywy alarm.

Graham włączył silnik i podkręcił ogrzewanie. Tobołek zaczął się wiercić i płakać. Kristin delikatnie odsunęła róg narzuty, odsłaniając twarzyczkę.

–Ma na sobie zaschniętą krew. Boże, Graham. Ono dopiero co się urodziło.

–Pójdę do Tuoneli i sprowadzę pomoc. A przynajmniej podejść kawałek, żeby komórka złapała zasięg.

–Nie. Wystarczająco ciężko było ci dojść do ojca. Do Tuoneli jest osiem kilometrów.

–Muszę. Zaczęła szlochać.

–Nie.

–Nic mi nie będzie.

–Zablokuj drzwi.

–Nie ma powodu robić tego w burzy.

–Zablokuj. Zrobił, o co prosiła. Dziecko zaczęło płakać.

–Nie możesz iść. Tam ktoś jest.

–Kristin...

–Widziałam kogoś.

–Ludzie widują tu różne rzeczy. Rzeczy, które naprawdę nie istnieją.

–On był tutaj naprawdę. – Bujała dziecko, wydając kojące dźwięki, ale niemowlę nie przestawało płakać. – Nieśmiertelny był tutaj.

Graham przypomniał sobie przerażoną twarz Rachel. Czy to możliwe? Czy Nieśmiertelny rzeczywiście krążył po okolicy?

–Zablokuj drzwi, kiedy wysiądę. I wyłącz silnik, jak tylko się rozgrzejesz. Nie wiadomo, jak długo będziesz czekać. Położyła dłoń na jego ramieniu i zająknęła się, jakby chciała się sprzeciwić, ale zrezygnowała.

–Uważaj na siebie.

Oboje wiedzieli, jak bezużyteczne są to słowa, ale przecież musiała mu to powiedzieć. Pochyliwszy się na siedzeniu, odnalazł w ciemności jej twarz i odwrócił w swoją stronę. Pocałował ją, niezgrabnie, na ślepo i poszedł.

Rozdział 53

Evan czuł, jak spowija go ciemność. Chwytała go za kostki i wciągała pod powierzchnię, wsączała się w pory skóry.

Kiedy otwierał usta, by odetchnąć, wsysał atramentową czerń jeszcze głębiej do płuc. Jego język był pokryty warstwą zła.

Smakowało wspaniale.

Czuł, że przegrywa walkę o siebie – o człowieka, który został zepchnięty na margines i zdominowany przez drugie, ja". Nie spodziewał się, że będzie tak potężne. Nie spodziewał się, że będzie tak uwodzicielskie. Chciał tylko nabrać dość sił, by stawić czoło Manchesterowi. By go pokonać.

Zamiast tego połknął pasożyta.

Pasożyty są silne. Zajmują organizm żywiciela, zmieniają jego myślenie. Myszy zaatakowane przez kocie pasożyty zaczynają się zachowywać bardziej jak koty niż myszy. Dlaczego Evanowi wydawało się, że z nim będzie inaczej?

Manchester obserwował go. Evan czuł z nim więź, której przedtem nie było. Rozumiał głód Nieśmiertelnego, jego żądzę i gniew.

Nawet gdy ten milczał, Evan wyczuwał jego rozbawienie obrotem wydarzeń.

Manchester przemówił. A może to była myśl?

–To też nie najgorsze rozwiązanie. Na dole huknęły drzwi.

Manchester przechylił głowę, nasłuchując. Ciekawy, ale spokojny. To była jego chwila. Czekał na nią sto lat i zamierzał się nią rozkoszować. Tak, porozumiewali się telepatycznie.

Manchester prawie przekroczył granicę, ale nie mógł zrobić

ostatniego kroku. Brakowało ostatniego ogniwa.

Dziecko jest tym ogniwem. Dziecko jest kluczem.

Owoc związku późnieumarłego i prawnuczki wampira. Do tej pory dziedzictwo nie było dość silne i potomkowie Florence byli w pełni ludźmi. Rachel była bezobjawową nosicielką. Ale teraz, gdy oboje rodzice byli nosicielami wampirzego genu... Dziecko będzie łącznikiem między dwoma światami – żywych i umarłych. Nadistotą. Czy Evan naprawdę kochał Rachel? Czy tylko podążał z góry wytyczoną ścieżką przeznaczenia?

–Tak – odpowiedział na drugie pytanie człowiek bez oczu. Evan nie chciał w to wierzyć.

–Ja ją kocham.

–To złudzenie.

A co nim nie jest? Każdy z nas postrzega świat przez pryzmat swojej przeszłości i odczuć. Ale czy to odbiera życiu wagę? Czy daje komuś takiemu jak Manchester prawo do niszczenia, tortur i morderstwa? Przemawiali do niego. Jeden zbiorowy umysł.

Teraz widział wszystko. To nie był jeden ciąg, ale raczej jezioro informacji, bez początku i bez końca. Pośrednia forma życia, stwór, który w odpowiednich okolicznościach mógł trwać wiecznie, pasąc się żywymi, a zwłaszcza dziećmi, pozbawiony jakiegokolwiek celu prócz zaspokojenia własnego głodu. Dla Manchestera ludzie byli tylko bydłem.

I wtedy pojawiła się Florence. Rozpaliła w nim iskrę i podstępnie ją podsyciała. Jej nienawiść i pragnienie zemsty były silniejsze niż pragnienie życia. Zrobiła wszystko, co konieczne, byle osiągnąć cel; by go zabić. Sypiała z nim. Urodziła jego dziecko.

Zamierzała uśmiercić je, gdy tylko przyjdzie na świat. Utopić je w

wiadrze wody, jak niechciane kocię. Ale kiedy spojrzała w oczy niemowlęcia, miłość macierzyńska wzięła górę i Florence nie była w stanie wykonać swojego planu.

A teraz narodziło się inne dziecko. Było na dole, tuż pod nimi...

Choć Evan wszedł w nieludzki umysł Manchстера, Nieśmiertelny nie dostrzegł jego człowieczeństwa. Nie było nawet elementem równania, bo ktoś pozbawiony ludzkich uczuć nie mógł brać go pod uwagę.

Czy to wystarczy?

Manchester słyszał jego myśli. Posłał mu czarny uśmiech i rzucił drwiąco:

–Nie pokonasz tego.

–Wcale nie chcę.

Podmuch zła przepłynął przez pokój i dotknął ramienia Evana. Chwycił go za rękę i pociągnął ku drzwiom, ku Rachel i dziecku.

Chodź. Razem zwyciężymy.

Evan czuł się silniejszy niż kiedykolwiek w życiu. Zmienił się fizycznie. Plecy miał proste. Jego pierś, choć wciąż blada i poznaczona bliznami, była szersza. Złamana ręka się zrosła.

Wskazał drzwi zamaszystym gestem.

–Skończmy to.

Rozdział 54

Alastair zadzwonił do wydziału dróg, by ktoś przyjechał po niego pługiem i zawiózł do centrum. Miał do wyboru to albo iść pieszo.

–Ofiara nazywa się Gabriella Nelson – poinformował go funkcjonariusz, kiedy Alastair dotarł na miej sce zbrodni w muzeum. – Ma podejrzięte gardło.

Krwawe ślady stóp prowadziły w górę po schodach, na parter. Alastair kucnął, by obejrzeć jeden z wyraźniejszych.

Wąski, z nierównościami, które wskazywały na znoszoną skórzaną podeszwę. Dostrzegł markę - czy raczej stempel - miejscowego zakładu szewskiego, który nie istniał od stu lat.

Zadzwoniła jego komórka. Wstał z kucek i odebrał.

Graham.

Musiał wyteżać słuch, by cokolwiek zrozumieć.

–Powtórz. – Myślał, że się przesłyszał. Nie.

–Już jadę. – Zamknął telefon i schował go do kieszeni.

Graham brodził środkiem jezdni. A przynajmniej tak mu się zdawało, sądząc po znakach drogowych, które mijał od czasu do czasu. Zastanawiał się, czy powinien spróbować wrócić do samochodu, czy raczej brnąć dalej w kierunku, gdzie, jak sądził, znajdowała się Tuonela? Za ciężko było zdecydować. Za ciężko było myśleć. Więc po prostu się zatrzymał.

Stał tak przez dłuższą chwilę. Zadarł głowę, poświecił latarką w niebo i patrzył na spadające płatki śniegu. Fajnie. Światło zgasło.

Potrząsnął plastikową latarką. Bez efektu.

Stracił poczucie kierunku. Skąd przyszedł. Może stamtąd. Nie.

Stamtąd? Możliwe. Albo i nie. Padł na kolana. Był taki zmęczony. A śnieg był miękki. Jak łożko... Zasnął. Na sekundę. A może na godzinę. Niski warkot.

A za nim słabe światła, które robiły się coraz jaśniejsze. Pojazd. Zmierzający w jego kierunku. Patrzcie państwo... Z trudem podniósł się z ziemi i stanął na rozstawionych nogach. Kiedy ciężarówka się zbliżyła, zaczął machać rękami. Ale nie podskakiwał. Był zbyt zmęczony na podskoki. Za ciężarówkąjechał drugi samochód.

Graham był trochę oszołomiony i dopiero po chwili dotarło do niego, że pług śnieżny toruje drogę karetce. Fajnie.

Pług się zatrzymał. Z szoferki wyskoczył Alastair. Podbiegł do Grahama i uściskał go z całych sił. Wsiadli do pług i ruszyli dalej, w stronę Starej Tuoneli, Kristin i dziecka.

Znaleźli ich bez trudu.

Wyciągnęli oboje z samochodu i wpakowali do karetki. Dwóch sanitariuszy pochyliło się nad maleństwem. Kristin usiadła w kącie ambulansu i patrzyła, obejmując się ramionami i drżąc z zimna. Alastair położył dłoń na ramieniu wnuka i pchnął go lekko.

–Wsiadaj.

Graham odwrócił się, by zaprotestować, i nagle osunął się na ziemię.

Ostatnio często mu się to zdarzało.

Z pomocą Alastaira pozbierał się jakoś i wgramolił do karetki. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Rozdział 55

Evan i Manchester zastali Rachel siedzącą na podłodze w kuchni. Evan popatrzył na kobietę z dziwną obojętnością. Jej usta były sine, a skóra półprzejrzysta. Wilgotne kosmyki ciemnych włosów okalały jej twarz. Nogi układały się w literę V; zakrwawiona flanelowa koszula zasłaniała miejsce między udami. Jedną rękę miała opartą na kolanie, drugą chowała za plecami. Jej oczy były podkrążone. Dygotała gwałtownie.

Manchester omiół kuchnię wzrokiem.

–Gdzie dziecko? Spojrzała na niego wojowniczo.

–Wylałam je z kąpielą.

Evan się roześmiał. Co za dobrane towarzystwo. Wszyscy byli szaleni. Cała trójka. Manchester płynnym ruchem chwycił Rachel za gardło, unosząc ją w powietrze.

–Gdzie jest dziecko?

W jej dłoni błysnął nóż. Uniosła go i zadała cios. Uderzała na oślep, rozpaczliwie.

–Nie możesz mnie zabić – powiedział Manchester.

Evan obserwował jej walkę.

Rachel.

Nagle jego uczucie do niej zawładnęło przeszłością i przyszłością. Spięło pokolenia i sięgnęło poza jego marną egzystencję.

Rzucił się na Nieśmiertelnego. Rachel opadła z łoskotem na podłogę, upuszczając nóż.

Manchester obrócił się, złapał nóż i ugodził Evana w ramię. Wyciągnął ostrze i zadał kolejny cios.

Evan chwycił go za rękę i zaczął nią uderzać o ścianę.

Musisz mu odciąć głowę.

Manchester też usłyszał ten głos.

Evan puścił go i odskoczył. Nie odrywając oczu od wampira, zaczął się cofać w stronę ciemnego kąta kuchni.

Jego palce zacisnęły się na rękojeści pałasza. Wydał z siebie ryk i ruszył naprzód, unosząc wysoko ciężką klingę.

Zamachnął się.

Jedno długie, czyste cięcie.

Alastair dostrzegł słabe światło w głębi domu. Wyskoczył z szoferki pługą i pobiegł do drzwi wejściowych.

Zamknięte. Usłyszał krzyk kobiety.

Wyciągnął służbowy pistolet, przestrzelił zamek i kopniakiem wysadził drzwi.

Coś potoczyło się po podłodze i zatrzymało na jego stopie. Potrzebował chwili, by zorientować się, że to odcięta głowa.

Uniósł wzrok i zobaczył swojego syna stojącego w kuchni, trzymającego oburącz rękojeść zakrwawionego pałasza.

Rozdział 56

Syknęły hydrauliczne hamulce. Autobus do Minneapolis zatrzymał się na dworcu. Chwyciłam swoje bagaże, wstałam i czekałam, aż przyjezdni wysiądą. Jako trzecia wysiadała młoda, może osiemnastoletnia dziewczyna. Ładna, z krótkimi, jasnymi włosami spiętymi żółtymi spinkami i puchatym płaszczykiem do kolan. Przy uchu trzymała komórkę.

–Właśnie dojechałam do Tuoneli. Zadzwoń później. –
Dziewczyna rozłączyła się i schowała komórkę do kieszeni.

I zniknęła.

Wsiadłam i zajęłam miejsce z tyłu, ale nie za blisko toalety. Autobus się zapełniał. Koło mnie usiadł dwudziestoparoletni gość. Wiercił się niespokojnie, wyraźnie podenerwowany.

–Nigdy nie wyjeżdżałem z Tuoneli – wyznał. – Jadę do Minneapolis, obejrzeć uniwersytet. A ty? Wyjeżdżałaś kiedyś?

–Byłam tu tylko z wizytą. Wracam do domu. To go chyba wystraszyło. Nie rozmawiaj z nieznajomymi.

Czy kiedykolwiek wrócę do Tuoneli? Nie miałam pojęcia. W tamtej chwili cieszyłam się tylko, że się z niej wynoszę.

Kierowca zamknął drzwi i wrzucił bieg. Kołyszając się ociężale, autobus wytoczył się z dworca. Minneapolis, nadchodzę.

Rozpięłam plecak, by się upewnić, że taśma wideo jest na swoim miejscu. Znalazłam ją w schowku w samochodzie Grahama. Były na niej zdjęcia masowego grobu i dwa wywiady: z Grahamem w Brzoskwince i ze staruszką przed barem 'U Betty'. Wiedziałam, że nawet z taśmą nikt mi nie uwierzy. Ale i tak postanowiłam zrobić swój

film.

Czy dzięki temu wyciągnę moje życie z szamba? Uśmiechnęłam się do chłopaka obok mnie i poczęstowałam go gumą. Pewnie nie.

Evan siedział przy kuchennym stole. Doktor Henderson otworzył czarną skórzaną torbę, którą miał, od kiedy Evan pamiętał. Wiele lat temu, kiedy Evan wrócił do domu po serii kompleksowych badań, doktor Henderson zajął się nim zgodnie z zaleceniami specjalistów, którzy zdiagnozowali u chłopca alergię na słońce. Znali się od bardzo dawna. Teraz Evan zdjął koszulę, a lekarz pochylił się i dokładnie obejrzał rany po nożu.

–Zdumiewające – powiedział. – Prawie się już zagoiły. Ale trudno nie zauważyć, że jesteś podenerwowany. Evan przestał podrzucać kolanem.

–Ostatnio miewam różne dziwne myśli. – Doktor Henderson był człowiekiem godnym zaufania, ale Evan nie zamierzał zwierzać mu się ze wszystkiego. A już na pewno nie ze swoich obaw, że jest na najlepszej drodze, by stać się stuprocentowym nieczłowiekiem.

–To zrozumiałe w twojej sytuacji. Czujesz się uwięziony, popadasz w klaustrofobię. Dziwię się, że wcześniej nie wspominałeś o takich objawach.

–Czy może mi pan coś na to zapisać?

–Dwa leki. Jeden z nich będziesz brał raz dziennie. Przytłumi pragnienia i frustracje typowe dla twojej choroby. Ja to nazywam tabletką na grzeczność. Drugi lek, o silnym działaniu uspokajającym, przyjmuj doraźnie, i tylko w razie konieczności. Po jednej tabletkie będziesz senny jak diabli, dwie uspiłyby słonia, więc uważaj. Evan skinął głową.

–Właśnie tego mi trzeba.

Zamierzał kontynuować wykopaliska. Miejskie Towarzystwo Historyczne zaoferowało pomoc. Ciała miały zostać należycie pochowane na cmentarzu w Starej Tuoneli. Victoria i jej córka miały spocząć obok siebie. Może to sprawi, że wreszcie zaznają spokoju – jeśli koniec Nieśmiertelnego nie wystarczy.

Doktor Henderson był lekarzem starej daty. Przesypał garść pigułek do brązowej aptecznej buteleczki i wypisał zalecenia. Evan podniósł butelkę.

–Lit? Myślałem, że to lek dla schizofreników? Doktor Henderson schował długopis do kieszeni.

–Jest ogromnie skuteczny w niektórych przypadkach, ale stosujemy go też przy innych zaburzeniach psychicznych. Wiem, że nie jesteś chory psychicznie, ale lit pomoże ci stłumić pewne niepożądane skłonności, myśli i tęsknoty. Myślę, że dobrze ci zrobi.

Evan pragnął normalnego życia. Chciał być przy tych, których kochał. Będzie brał te pigułki. Stłumi to, co w nim żyje – cokolwiek to było.

Alastair zapalił światło w piwnicy i zszedł na dół. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Zawsze to powtarzał. Miał sobie za złe, że podejrzewał Evana o morderstwa, ale czuł też ogromną ulgę, że wszystko się skończyło i życie wróciło do normy. Spalili ciało i głowę Manchestera na dwóch oddzielnych stosach. Gdy już spełnili ten nieprzyjemny obowiązek, umieścili prochy i resztki kości w dwóch pojemnikach. Jeden z nich zabrał do domu Evan, drugi Alastair zamknął w sejfie na górze. Nie dało się przewidzieć, co by się stało, gdyby zawartość pojemników została połączona. Pewnie nic, ale ostrożności nigdy za wiele.

Alastair otworzył zamrażarkę. Grzebał wśród paczek mięsa,

szukając skóry. Ją też zamierzał spalić. Raz na zawsze skończy z tą makabrą. Zaczną wszystko od nowa.

Nie było jej.

Przejrzał paczki jeszcze raz. Skóra zniknęła.

Graham zatrzasnął kasę i schylił się, żeby poukładać ciasta w ladzie chłodniczej. Miał nową pracę, w Brzoscwince.

Fucha była tymczasowa, bo na jesieni wyjeżdżał do college'u. Brzoscwinka była jednym z jego ulubionych miejsc spędzania czasu, więc w sumie fajnie wyszło.

–Poproszę dużą mokkę z syropem migdałowym i bitą śmietaną. Wprostował się gwałtownie i zagapił na dziewczynę stojącą po drugiej stronie ludy.

–Przestałeś odpowiadać na moje SMS-y – powiedziała Isobel. – Dlaczego? Patrzenie na nią sprawiało mu ból. Wszędzie. W sercu, w rękach, w oczach.

–Byłem trochę zajęty. Pokręciła głową. Nie wierzyła mu, ale udawała, że bierze to za dobrą monetę.

–Skoła?

–Innymi rzeczami.

–Jakimi rzeczami? Chwycił biały lniany ręcznik i zaczął bardzo starannie wycierać ręce.

–Niczym szczególnym. – Nie zamierzał się chwalić, że uratował życie dwojgu ludziom ani że pędziłby na złamanie karku, gdyby ktokolwiek próbował skrzywdzić jego małego braciszka.

–O której kończysz? Wzruszył ramionami.

–Mogę teraz. Uśmiechnęła się.

–A pomożesz mi wypić tę mokkę? Zrobił jej kawę. Próbowala zapłacić.

–Ja stawiam. – Zaniósł kawę do stolika w ciemnym kącie, z dala od nielicznych gości, którzy jeszcze zasiedzieli się w kawiarni.

Usiadł.

–Co ty tu robisz, Isobel?

Usiadła naprzeciw niego.

–A jak myślisz?

–Myślałem, że cię już nie zobaczę – powiedział Graham. – Dlatego nie odpowiadałem na twoje SMS-y. Tak świetnie się bawiłaś. Byłaś we Francji i we Włoszech. W Pradze. Na Abbey Road. Widziałaś Abbey Road, szczęściaro. Spotykałaś tylu fajnych ludzi. Do cholery, spotkałaś samą królową. – Dwoma palcami pchnął filiżankę w jej stronę.

–Królowa. – Isobel machnęła lekceważąco ręką. – Phi. Niezdolny spojrzeć jej w oczy, powtórzył:

–Myślałem, że nie wrócisz.

–Czy wszyscy nie wracają do Tuoneli? Tyle razy to słyszałam. Gdy masz ją już we krwi, nie pozbędziesz się jej.

–Tuonela? Więc dlatego wróciłaś?

–Głuptasie. Wróciłam do ciebie.

Uśmiechnął się i napięcie opuściło jego ciało. Isobel zawsze była tak cholernie pewna siebie. Lubił to w kobietach. Rachel siedziała na szpitalnym łóżku ze śpiącym synkiem w ramionach. Nie mogła przestać na niego patrzeć, zachwycać się nim. Maleńkie rączki. Maleńkie paznokietki. Maleńka doskonałość.

Usłyszała ruch; gdy uniosła wzrok, zobaczyła w drzwiach Evana. W sali było ciemno, ale słaby blask latarni poniżej okna przebijał się przez żaluzje i rzucał pasiasty wzór na ścianę po drugiej stronie. Zastanawiała się, czy wpadnie ją odwiedzić. Z Evanem nigdy nic nie

było wiadomo. Wszedł do środka i rzucił swój wełniany płaszcz na krzesło.

–Jak się miewasz? Jak nasz maluch?

–Lekarze mówią, że jeszcze nigdy nie widzieli tak zdrowego wcześniaka.

Evanowi wyraźnie ulżyło. Zaskoczył ją, siadając na łóżku plecami do zagłówka i obejmując ją ramieniem. Czuła jego spokój. Jego normalność.

Zjadł serce Nieśmiertelnego, ale nie był potworem. To prawda, że wydarzyło się wiele niewiarygodnych rzeczy. Richard Manchester chodził i mówił, i omal ich nie zabił. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale tak było i Rachel nie zamierzała już nigdy więcej zaprzeczać prawdzie. Ale z Evanem wszystko było w porządku. Z ich dzieckiem również, a prawda o jego pochodzeniu była bezpiecznie ukryta w sejfie w kostnicy. Evan pochylił się nad nią i pocałował ją w czubek głowy.

–Wybrałaś już imię?

–Jeszcze nie. Do tej pory myślałam, że nazwę go po moim tacie, ale on potrzebuje własnego imienia. Imienia, które nie wyrasta z przeszłości.

–Od kogo te stokrotki?

–Od Grahama i Kristin. Wpadli tu dzisiaj wcześniej. Kochane dzieciaki.

–A róże?

–Od Davida Spence'a.

–Tego ze szkoły?

–Tak.

–Myślałem, że jest żonaty.

–Już nie.

–Jest trochę sztywny, nie sądzisz?

–Nie bądź wredny.

–To było wredne? Nie mówię, że facet nie jest miły. Ale nudny i przewidywalny, owszem. Spojrzała na niego. W słabym świetle widziała czarny wachlarz rzęs i białą plamę podbródka.

–Nie każdy może być wampirem. Roześmiał się.

–Bardzo zabawne.

Niech myśli, że żartowała, ale przecież widziała, jak przybierał rysy i cechy Nieśmiertelnego. Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął małej, idealnej piąstki dziecka. Zupełnie stracił dla niego głowę.

–Myślałem o naszym ogrodzie – powiedział cicho. Czy to się mogło udać?

–Ja też.

–Jakie kwiaty zasadzimy? Poza jaśminem kwitnącym w nocy?

–Lilie. – W jaskrawych kolorach, czerwone i pomarańczowe.

–A co powiesz na lawendę?

–To chyba ziele, nie kwiat.

–Podoba mi się jej zapach. – Umilkł na chwilę. – Uwielbiam jej zapach.

Dziecko zakwiliło. Zaspane oczka otworzyły się, małe rączki zaczęły gorączkowo wymachiwać.

–Moje kochanie. Trzeba cię przewinąć?

Rachel wcisnęła guzik na pilocie łóżka i na pościel padło przytłumione, błękitnawe światło jarzeniówki. Ojciec i syn jednocześnie wzdrygnęli się i odwrócili twarze.

Przypisy

[1] Przeł. A.K.

[2] Edward Theodore Gein (1906-1984), seryjny morderca, znany głównie z zamiłowania do makabrycznych pamiątek, pozyskiwanych z ciał ekshumowanych na okolicznych cmentarzach (przyp. tłum.)

[3] Wicca – rozpowszechniona w USA i Europie religia neopogańska, której wyznawcy praktykują magię (przyp. tłum.)

[4] Tłumaczenie nazwy autentycznej strony internetowej: babelfish.yahoo.com (przyp. red.)